

ISAAC BASHEVIS  
SINGER

# Spinoza z ulicy Rynkowej

Tytuł oryginału:  
THE SPINOZA OF MARKET STREET

Przełożyła  
**Monika Adamczyk-Garbowska**

***Spinoza z ulicy Rynkowej** to zbiór jedenastu opowiadań Isaaca Bashevisa Singera, powstałych w najlepszym, najbardziej twórczym okresie życia artysty. Ich tematy ogniskują się wokół kluczowych ludzkich doświadczeń: miłości i namiętności, cierpienia i szaleństwa, poczucia grozy istnienia, radości życia, jego nieprzewidywalności i niemożności spełnienia.*

*Singer wskrzesza tu barwny świat małych, żydowskich miasteczek gdzieś na obrzeżach dawnej Polski z całą ich tradycyjną religijnością, kulturą i obyczajami, kreśląc niezwykły, fascynujący wizerunek tworzących je społeczności oraz pojedynczych ludzkich losów.*

## Spinoza z ulicy Rynkowej

### I

Doktor Nachum Fiszelson przechadzał się po swojej facjatce przy ulicy Rynkowej w Warszawie. Niskiego wzrostu, przygarbiony, miał szpakowatą brodę i byłby zupełnie łysy, gdyby nie kilka kosmyków pozostałych na karku. Jego nos był zakrzywiony jak dziób, a oczy duże, ciemne i zalęknione jak u jakiego ptaszyska. Mimo upału panującego w ten letni wieczór, doktor Fiszelson miał na sobie czarny surdut do kolan, szyję zaś okalał mu sztywny kołnierzyk przewiązany krawatem. Przemierzał wolnym krokiem przestrzeń od drzwi do mansardowego okna znajdującego się wysoko w pochyłej izbie, po czym wracał z powrotem. Aby przez nie wyjrzeć trzeba było wspiąć się po kilku stopniach. Na stole paliła się świeca w mosiężnym lichtarzu, wokół płomienia brzęczała chmara owadów. Coraz to któryś podlatywał zbyt blisko ognia i osmalał sobie skrzydła, albo nawet zapalał się i płonął przez chwilę przyklejony do knota. W takich chwilach doktor Fiszelson krzywił się i zagryzał wargi pod zwichrzonym wąsem, a jego pomarszczona twarz kurczyła się. W końcu wyjął z kieszeni chustkę do nosa i odgonił nią owady.

— Jazda stąd durne, bezmyślne istoty! — zbeształ je. — Nie ogrzejecie się tutaj, ale spalicie i tyle.

Owady rozpierzchły się, lecz po chwili wróciły i znowu kołowały nad drgającym płomieniem. Doktor otarł pot z pooranego zmarszczkami czoła i westchnął. „Podobnie jak ludzie nie pragną niczego poza chwilowym zadowoleniem”. Na stole leżała otwarta książka napisana po łacinie, na szerokich marginesach widniały adnotacje i uwagi sporządzone drobnym pismem doktora. Była to Etyka Spinozy, którą doktor Fiszelson studiował od trzydziestu lat. Znał na pamięć każde twierdzenie, każdy dowód, każdy wniosek i każdy

przypisek. Kiedy chciał znaleźć dany fragment, zwykle natychmiast otwierał książkę we właściwym miejscu, nie potrzebując go szukać. Ale mimo to dalej codziennie całymi godzinami ślęczał nad *Etyką* ze szkłem powiększającym w kościstej dłoni, mrużąc do siebie pod nosem i kiwając głową na znak zgody. Prawdę powiedziawszy, im głębiej wnikał w jej treść, tym więcej znajdował zagadkowych zdań, niejasnych ustępów i tajemniczych uwag. Każde zdanie zawierało ukryte myśli, nie zauważone dotąd przez żadnego z badaczy Spinozy. W istocie, filozof ten antycypował wszystkie krytyki czystego rozumu, tak Kanta, jak i jego następców. Doktor Fiszelson pisał komentarz do *Etyki*. W szufladach miał pełno notatek i zapisków, ale wyglądało na to, że nigdy nie będzie w stanie dokończyć swego dzieła. Dolegliwości żołądkowe, które nękały go od lat, z dnia na dzień stawały się bardziej dokuczliwe. Teraz dostawał bóleści nawet po spożyciu kilku zaledwie łyżek owsianki. „Oj niedobrze, mój Boże, bardzo niedobrze” — mawiał do siebie, używając przy tym tej samej intonacji, co jego błogosławionej pamięci ojciec, który był rabinem w Tyszowcach.

Doktor Fiszelson nie lękał się śmierci. Przede wszystkim nie był już młodzieniaszkiem. Po drugie, w czwartej części *Etyki* Spinoza stwierdza, że „człowiek wolny nie myśli o żadnej rzeczy tak mało, jak o śmierci, a mądrość jego jest rozmyślanie nie o śmierci, lecz o życiu”<sup>\*)</sup>. Po trzecie, powiada tam również, iż „umysł ludzki nie może być bezwzględnie zniszczony wraz z ciałem, lecz coś z niego pozostaje, co jest wieczne”.

A jednak wrzód (a może był to rak) nie przestawał dokuczać doktorowi. Język miał stale obłożony. Często mu się odbijało, a wtedy z jego ust wydobywał się nieprzyjemny zapach. Cierpiał na zgagę i skurcze żołądka. Czasami zbierało mu się na wymioty, to znów miał ochotę na czosnek, cebulę i smażone potrawy. Już dawno temu odstawił lekarstwa przepisane mu przez lekarzy i szukał własnych środków. Odkrył, że wielką ulgę sprawia mu zażywanie po posiłkach tartej rzodkwi i leżenie w łóżku na brzuchu, z głową zwisającą na bok. Ale te domowe sposoby przynosiły jedynie chwilową ulgę. Część lekarzy, których rad zasięgał, twierdziła, że nic mu nie jest. „To tylko nerwy — powiadali. — Może pan dożyć stu lat”.

---

<sup>\*)</sup> Tłumaczenia cytatów z *Etyki* Spinozy pochodzą z wydania jego dzieł z 1914 roku: B. Spinoza, *Dzieła*, tom I, Warszawa 1914, przekł. dr Ignacy Halpern.

Ale tego upalnego letniego wieczoru doktor Fiszelson poczuł, że siły go opuszczają. Nogi w kolanach mu drżały, puls był ledwo wyczuwalny. Kiedy zasiadał do lektury, miał przed sobą rozmazany obraz. Litery zmieniały barwę z zielonej na złotą. Linijki falowały i wskakiwały jedna na drugą, zostawiając białe odstępy, jak gdyby tekst zniknął w jakiś tajemniczy sposób. Upał stał się nie do zniesienia, z pokrytego blachą dachu spływał żar i doktor miał wrażenie, że znajduje się we wnętrzu pieca. Kilkakrotnie wspinał się po czterech stopniach do okna i wystawiał głowę, poddając się powiewom chłodnego, wieczornego wiatru. Pozostawał w tej pozycji tak długo, aż kolana zaczynały się pod nim uginać. „Ach, jaki cudowny wietrzyk — mrucał. — Doprawdy zachwycający.” I przypomniał sobie, że według Spinozy moralność i szczęście to jedno i że najbardziej moralnym czynem, jakiego człowiek może dokonać, jest zażywanie przyjemności, która pozostaje w zgodzie z rozumem.

## II

Stojąc na najwyższym stopniu przy oknie i wyglądając na zewnątrz, doktor Fiszelson mógł wejrzeć w dwa światy. Nad nim roztaczały się niebiosa, gęsto usiane gwiazdami. Nigdy wprawdzie nie zajmował się poważnie astronomią, potrafił jednak odróżnić planety, owe ciała obracające się podobnie jak Ziemia wokół słońca, od gwiazd stałych, w istocie odległych słońc, których światło dociera do nas po stu czy nawet tysiącu latach. Rozpoznawał gwiazdozbiory, wyznaczające bieg Ziemi w przestrzeni kosmicznej oraz tę mglistą wstęgę, zwaną Drogą Mleczną. W jego posiadaniu znajdowała się niewielka luneta, którą kupił w Szwajcarii, gdzie odbywał niegdyś studia; ze szczególną przyjemnością obserwował przez nią księżyc. Potrafił wyraźnie rozróżnić skąpane w świetle słonecznym wulkany i mroczne, tajemnicze kraterzy. Nigdy nie nużyło go wpatrywanie się w te szczeliny i pęknięcia. Wydawały mu się zarazem bliskie i dalekie, realne i nierealne. Od czasu do czasu widział, jak spadająca gwiazda zatacza szeroki łuk na niebie i znika, zostawiając za sobą ognisty ślad. Wiedział, że wówczas meteoryt dociera do atmosfery ziemskiej i być może jakiś nie spalony jego odłamek wpada do oceanu lub ląduje na pustyni czy nawet na zamieszkałym terenie. Gwiazdy wynurzające się stopniowo spoza dachu mansardy doktora wędrowały po niebie, aby w końcu zajaśnieć nad domem po drugiej stronie ulicy. Tak, kie-

dy wznosił oczy ku niebu, uświadamiał sobie tę nieskończoną rozciągłość, którą Spinoza uważał za jeden z przymiotów Boga. Pocieszała go myśl, że chociaż jest tylko słabym, nic nie znaczącym człowiekiem, zmieniającym się przejawem absolutnie nieskończonej substancji, stanowi jednak ułamek kosmosu, wykonany z tej samej materii, co ciała niebieskie; wiedział, że będąc do pewnego stopnia częstką Boga-Przyrody nie zostanie unicestwiony. W takich chwilach doświadczał *Amor Dei Intellectualis*, która zdaniem filozofa z Amsterdamu oznacza najwyższą doskonałość umysłu. Doktor Fiszelson odetchnął pełną piersią, uniósł głowę tak wysoko, jak tylko pozwalał na to sztywny kołnierzyk i rzeczywiście zdawało mu się, że wiruje wraz z Ziemią, Słońcem, gwiazdami Drogi Mlecznej i nieprzebraną chmurą galaktyk znanych wyłącznie nieskończonej myśli. Nogi nabierały lekkości, traciły ciężar, a doktor trzymał się obydwoma rękami ramy okiennej, jakby w obawie, że straci grunt pod nogami i uleci w wieczność.

Kiedy zmęczyło go obserwowanie nieba, przeniósł wzrok na leżącą w dole ulicę Rynkową. Widział długi szlak rozciągający się od kramów na podwórzu kamienicy Janasza aż po ulicę Żelazną, znaczony gazowymi latarniami, które łączyły się w sznur płonących punkcików. Dym dobywał się z kominów sterzących na ciemnych, pokrytych blachą dachach; piekarze rozpalali w piecach, gdzieś tam iskry mieszały się z czarnym dymem. Ulica nigdy nie sprawiała wrażenia tak gwarnej i zatłoczonej jak w letnie wieczory. Złodzieje, ulicznicy, hazardziści i paserzy wałęsali się po placu, który wyglądał z góry jak precel z makiem. Młodzi mężczyźni śmiali się ordynarnie, dziewczyny piszczały. Okrzyki handlarza z beczką lemoniady na plecach raz po raz przebijały się przez ogólną wrzawę. Sprzedawca arbułów wydawał z siebie dzikie wrzaski, a długi nóż, którego używał do krojenia owoców, ociekał przypominającym krew sokiem. Chwilami ulica jeszcze bardziej się ożywiła. Oto przetoczyły się, szczękając masywnymi kołami, sikawki strażackie ciągnięte przez silne kare konie, które trzeba było mocno ściągać lejcamy, by powstrzymać je od szalonego galopu. Następnie przejechał z wyciem jakiś ambulans. Potem wybuchła taka bójka wśród miejscowych zbirów, że trzeba było wezwać policję. Jeden z przechodniów został obrabowany i biegał teraz tam i z powrotem wzywając pomocy. Kilka wozów załadowanych drewnem opałowym usiłowało przedostać się na podwórza, gdzie mieściły się piekarnie, a ponieważ konie nie były w stanie przeciągnąć kół przez strome krawęż-

niki, woźnice obrzucali zwierzęta stekiem wyzwisk, chłostając je przy tym batami. Skry sypały się spod dźwięczących kopyt. Było już dobrze po siódmej, o której to godzinie przepisy nakazywały zamknięcie sklepów, ale handel właściwie dopiero się rozpoczął. Klientów wprowadzano ukradkiem przez tylne drzwi. Stójkowi, otrzymawszy łapówkę, niczego nie dostrzegali. Przekupnie dalej głośno zachwalali swoje towary, jeden usiłował przekrzyczeć drugiego.

— Złociutkie, złociutkie, złociutkie! — nawoływała kobieta sprzedająca zepsute pomarańcze.

— Słodziutkie, słodziutkie, słodziutkie! — krakał przekupień handlujący przejrzałymi śliwkami.

— Główki, główki, główki! — wrzeszczał chłopak sprzedający rybie łby.

Przez okno chasydzkiego domu nauki, mieszczącego się naprzeciwno, doktor Fiszelson widział chłopców z długimi pejsami, którzy kołysząc się i strojąc przeróżne miny, śpiewnymi głosami czytali święte księgi. Rzeźnicy, tragarze i sprzedawcy owoców raczyli się piwem w znajdującym się poniżej szynku. Przez otwarte drzwi para buchała jak z łaźni; dochodziły stamtąd również dźwięki hałaśliwej muzyki. Przed szynkiem ulicznice zaczęły pijanych żołnierzy i robotników wracających z fabryk do domów. Niektórzy mężczyźni dźwigali na plecach wiązki drewna, przywodząc doktorowi na myśl grzeszników, którzy muszą własnoręcznie rozniecać dla siebie ognie piekielne. Z otwartych okien niesły się głosy ochrypłych patefonów. Pieśni na Rosz Haszana przeplatały się z wulgarnymi piosenkami z wodewilów.

Doktor badał wzrokiem tę pogrążoną w półmroku wieżę Babel i wyteżał słuch. Wiedział, że zachowanie owej hałastry jest dokładną antytezą rozumu. Ludzie ci nurzali się w najbardziej bezsensownych namiętnościach, upajali się afektami, a przecież według Spinozy afekty nie wróżą nigdy niczego dobrego. Zamiast zadowolenia, za którym gonią, wszystko co udaje im się osiągnąć, to choroba i więzienie, hańba oraz cierpienia wynikające z niewiedzy. Nawet koty, które łąziły po tutejszych dachach, wydawały się bardziej barbarzyńskie i zapalczywe niż te z innych dzielnic miasta. Miauczały głosami rodzących kobiet i niczym demony biegały po murach, wskakując na balkony i okapy dachów. Jakiś kocur zatrzymał się przy oknie doktora Fiszelzo-

na i zawył, przejmując go dreszczem. Doktor odszedł od okna i wzięwszy miotłę, potrząsnął nią przed płonącymi zielonymi ślepiami czarnej bestii.

— A kysz, wynoś się, ty ciemny dzikusie! — I póty stukał kijem miotły o strop, aż kocur czmychnął.

### III

Kiedy doktor Fiszelson powrócił do Warszawy z Zurichu, gdzie odbywał studia filozoficzne, wrócono mu wspaniałą przyszłość. Przyjaciele wiedzieli, że pisze doniosłą książkę o Spinozie. Żydowsko-polski dziennik zaprosił go do współpracy, był częstym gościem w różnych bogatych domach, objął także funkcję naczelnego bibliotekarza w warszawskiej synagodze. Mimo, że już wtedy uchodził za starego kawalera, swaci proponowali mu kilka posażnych panien. Jednak doktor nie skorzystał z tych możliwości. Pragnął być równie niezależny, jak sam Spinoza. I był. Ale z powodu swych heretyckich poglądów wszedł w konflikt z rabinem i musiał zrezygnować z posady bibliotekarza. Następnie przez wiele lat zarabiał na życie udzielając prywatnych lekcji hebrajskiego i niemieckiego. Później, kiedy zachorował, gmina żydowska w Berlinie uchwaliła dla niego zasiłek w wysokości pięciuset marek rocznie. Stało się to możliwe dzięki interwencji słynnego doktora Hildesheimera, z którym korespondował na tematy filozoficzne. Aby utrzymać się z tak małej sumy, doktor Fiszelson przeprowadził się do izdebki na poddaszu i sam zaczął przyrządzać sobie posiłki na naftowej maszynie. Miał kredens o licznych szufladach, z których każda opatrzona była naklejką z nazwą produktu znajdującego się wewnątrz — kasza gryczana, ryż, groch, cebula, marchew, kartofle, grzyby. Raz w tygodniu doktor wkładał na głowę czarny kapelusz o szerokim rondzie, brał w jedną rękę koszyk, w drugą dzieło Spinozy i udawał się na targ po zakupy. Kiedy czekał, aby go obsłużono, otwierał *Etykę*. Handlarze znali go i zapraszali do swoich straganów.

— Może kawałek sera, panie doktorze! Wprost rozpływa się w ustach!

— Świeże grzyby, panie doktorze! Prosto z lasu!

— Przepuście doktora, moje panie! — wołał rzeźnik. — Proszę nie tarasować wejścia!



Przez pierwsze lata choroby doktor Fiszelson chodził jeszcze wieczorami do kawiarni odwiedzanej przez nauczycieli hebrajskiego i innych uczonych ludzi. Miał zwyczaj siedzieć tam i grać w szachy przy pół czarnej. Czasami zatrzymywał się przed witrynami księgarń na Świętokrzyskiej, gdzie tanio można było nabyć przeróżne stare książki i czasopisma. Pewnego razu były uczeń doktora umówił się z nim wieczorem w restauracji. Kiedy doktor Fiszelson przybył, zdziwił się niezmiernie, bo zastał tam grupę swych przyjaciół i wielbicieli, którzy zmusili go, aby zajął honorowe miejsce za stołem, oni zaś wygłaszali mowy na jego cześć. Ale to wszystko działo się dawno temu. Obecnie ludzie nie interesowali się już doktorem. Odizolował się niemal zupełnie i żył w zapomnieniu. Wydarzenia 1905 roku, kiedy to chłopcy z Rynkowej zaczęli organizować strajki, rzucać bomby w posterunki żandarmerii i strzelać do łamistrajków, a sklepy były pozamykane nawet w dni powszednie, znacznie wzmogły jego osamotnienie. Zaczął gardzić wszystkim, co wiązało się z pojęciem postępowego Żyda — syjonizmem, socjalizmem, anarchizmem. Ci młodzi ludzie wydawali mu się ciemnym motłochem zmierzającym do zniszczenia społeczeństwa, społeczeństwa, bez którego żaden rozumny byt nie może istnieć. W dalszym ciągu czytał od czasu do czasu hebrajskie czasopisma, czuł jednak odrazę do współczesnego hebrajskiego, którego korzenie nie sięgały ani Biblii, ani Miszny. Pisownia polskich słów również uległa zmianom. Doktor doszedł do wniosku, że nawet uczeni ludzie stracili rozsądek i robili co mogli, aby przypodobać się pospólstwu. Jak dawniej odwiedzał co pewien czas bibliotekę i wertował tam niektóre nowo powstałe historie filozofii, przekonał się jednak, że profesorowie nie rozumieją Spinozy, cytują go nieprawidłowo oraz przypisują mu swoje własne, mętne myśli. I chociaż był świadom, że złość jest afektem niegodnym tych, którzy kroczą drogą rozumu, ogarniała go wściekłość; z gniewem zamykał książkę i odsuwał ją od siebie. „Ignoranci — mamrotał, — osły, hochsztaplerzy”. I przyrzekał sobie solennie nigdy więcej nie zaglądać do nowoczesnej filozofii.

#### IV

Co trzy miesiące specjalny listonosz, który doręczał wyłącznie przekazy pieniężne, przynosił doktorowi osiemdziesiąt rubli. Tym razem doktor spo-

dziewał się tej sumy na początku lipca, ale kiedy dzień za dniem mijał, a wysoki mężczyzna z jasnym wąsikiem i błyszczącymi guzikami nie zjawiał się, doktora ogarnął niepokój. Nie miał już prawie ani grosza. Kto wie, może gmina berlińska cofnęła zasiłek albo, niech Bóg broni, umarł doktor Hildesheimer; a może poczta popełniła pomyłkę? Doktor Fiszelson wiedział, że każde wydarzenie ma swoją przyczynę. Wszystko jest zdeterminowane i konieczne, więc człowiek rozumny nie powinien się martwić. Mimo to niespokojne myśli dręczyły go i naprzykrzały się jak muchy. Przyszło mu do głowy, że w najgorszym wypadku popełni samobójstwo. Ale wnet przypomniał sobie, że Spinoza tego nie pochwała i ludzi, którzy próbują targnąć się na własne życie, porównuje do szaleńców.

Pewnego dnia, kiedy doktor Fiszelson wyszedł do sklepu, żeby kupić zeszyt, usłyszał, jak ludzie rozmawiają o wojnie. Gdzieś w Serbii zastrzelono jakiegoś austriackiego księcia i Austriacy wystosowali do Serbów ultimatum. Właściciel sklepu, młody mężczyzna o żółtej bródce i rozbieganych żółtych oczkach, oznajmił: „No to będziemy mieli wojenkę” i poradził doktorowi, aby zgromadził zapasy żywności, ponieważ w najbliższym czasie może jej zabraknąć.

Wszystko stało się tak nagle. Doktor Fiszelson nie zdecydował nawet jeszcze, czy warto wydawać cztery grosze na gazetę, a już rozwieszono plakaty ogłaszające mobilizację. Na ulicy spotykało się mężczyzn z okrągłymi metalowymi znaczkami w klapach, co oznaczało, że są powołani do wojska. Za nimi podążały, zanosząc się od płaczu, ich żony. Któregoś poniedziałku, kiedy doktor zszedł na dół, aby kupić za ostatnie kopiejki trochę jedzenia, zastał sklepy pozamykane. Właściciele stali z żonami na zewnątrz i wyjaśniali, że brakuje wszystkiego. Brali jednak na stronę niektórych co lepszych klientów i wpuszczali ich przez tylne drzwi. Na ulicy panowało ogólne zamieszanie. Widziało się żandarmów z obnażonymi szablami, jadących na koniach. Ogromny tłum zgromadził się koło szynku, gdzie na rozkaz cara wylewano do rynsztoka cały zapas wódki.

Doktor Fiszelson udał się do swojej starej kawiarni. Może spotka tam jakichś znajomych, którzy poradzą mu, co robić? Ale nie natknął się na ani jedną znajomą osobę. Postanowił więc odwiedzić rabina z synagogi, gdzie niegdyś był bibliotekarzem, ale szames w sześciokątnej jarmułce na głowie poinformował go, że rabin wraz z rodziną wyjechał do wód. Doktor Fiszelson

miał w mieście innych starych znajomych, ale żadnego z nich nie zastał w domu. Nogi bolały go od chodzenia, czarne i zielone plamki wystąpiły mu przed oczami i poczuł, że słabnie. Zatrzymał się i czekał, aż przejdą mu zawroty głowy. Jakaś czarnooka gimnazjalistka usiłowała wcisnąć mu do ręki jałmużnę. Mimo że wojna dopiero się rozpoczęła, żołnierze maszerowali w pełnym umundurowaniu, po ośmiu w rzędzie, pokryci pyłem i spaleni słońcem. Do boków mieli przymocowane menażki, a na piersiach przewieszane w poprzek pasy z rzędami naboii. Bagnety na karabinach migotały zimnym, zielonym blaskiem. Śpiewali ponurymi głosami. Wraz z ludźmi jechały działa, każde ciągnięte przez osiem koni; ze ślepych wylotów luf wiało posępną grozą. Doktor Fiszelson czuł, że dostaje mdłości. Bolał go żołądek, miał wrażenie, że wywracają mu się wnętrzności. Zimny pot pokrył mu twarz.

— Umieram — pomyślał. — To już koniec.

Zdołał jednak dowlec się do domu, gdzie opadł na żelazne łóżko i leżał, oddychając ciężko i z trudem łapiąc powietrze. Musiał chyba zapaść w drzemkę, bo wydawało mu się, że jest w swoim rodzinnym miasteczku, Tyszowcach. Bolało go gardło i matka zabrała się do owijania mu szyi pończochą wypchaną gorącą solą. Słyszał toczącą się w domu rozmowę, coś na temat świecy i o tym, jak nabawił się bólu gardła. Chciał wyjść na ulicę, ale nie pozwolono by mu na to, bo właśnie przechodziła katolicka procesja. Księża w długich szatach trzymali w dłoniach halabardy i śpiewali po łacinie kropiąc wokół święconą wodą. Błyszczały krzyże. Święte obrazy chwiały się na wietrze. Wokół rozchodziła się woń kadzidła i trupów. Nagle niebo zapłonęło czerwonym blaskiem i cały świat stanął w ogniu. Biły dzwony, ludzie biegali jak obłąkani. Nad głowami unosiły się skrzeczące stada ptaków. Doktor Fiszelson obudził się ogarnięty przerażeniem. Był zlany potem, gardło rzeczywiście go bolało. Próbował rozważyć ów niezwykły sen, aby znaleźć jakiś rozsądny związek między nim a tym, co działo się na jawie, i pojąć go *sub specie eternitatis*, ale żaden z wniosków nie miał sensu. „Niestety, mózg jest zbiornikiem niedorzeczności — pomyślał doktor. — Ten świat należy do szaleńców”.

I raz jeszcze zamknął oczy, raz jeszcze zapadł w drzemkę, raz jeszcze śnił.

## V

Wieczność najwyraźniej nie dopominała się jeszcze o swoje prawa do doktora Fiszelzona.

Na lewo od mansardy, którą zajmował, znajdowały się drzwi prowadzące do ciemnego, zawałonego pudłami i koszykami korytarza, w którym zawsze unosił się zapach smażonej cebuli i szarego mydła. Za tymi drzwiami mieszkała stara panna, zwana przez sąsiadów Czarną Dobe. Dobe była wysoka, chuda i czarna jak szufla piekarza. Miała złamany nos i wąsik nad górną wargą. Mówiła ochryłym męskim głosem i chodziła w męskich butach. Przez wiele lat sprzedawała chleb, bułki i bajgle w bramie kamienicy, gdzie mieściła się piekarnia. Ale pewnego dnia pokłóciła się z piekarzem, przeniosła się z handlem na targ i obecnie zajmowała się sprzedażą „stłuczek”, to znaczy nadtluczonych jajek.

Czarna Dobe nie miała szczęścia do mężczyzn. Dwa razy była zaręczona z czeladnikami od piekarza, ale w obu przypadkach zaręczyny zostały przez nich zerwane. W jakiś czas później otrzymała propozycję małżeństwa od starszego mężczyzny, szklarza, który utrzymywał, że jest rozwiedziony, ale, jak później wyszło na jaw, był w dalszym ciągu żonaty. Czarna Dobe miała w Ameryce kuzyna, szewca, i wielokrotnie chwaliła się, że kuzyn wysyła jej pieniądze na podróż; wciąż jednak pozostawała w Warszawie. Kobiety stale jej dokuczały, mówiąc: — Nie masz szans, Dobe. Przeznaczone ci jest umrzeć starą panną. — Nie będę harowała na chłopów — odpowiadała zawsze Dobe. — Niech ich wszystkich diabli wezmą.

Tego popołudnia Dobe otrzymała list z Ameryki. Zazwyczaj chodziła do Lejzera krawca, żeby jej przeczytał. Jednak tego dnia Lejzera nie było w domu i Dobe pomyślała sobie o doktorze Fiszelzonie, którego pozostali lokatorzy uważali za bezbożnika, jako że nigdy nie chodził do synagogi. Zapukała w drzwi izdebki doktora, ale nikt nie odpowiadał. „Pewno ten heretyk wyszedł” — pomyślała Dobe, ale mimo to zapukała ponownie i tym razem drzwi lekko się uchylily. Pchnęła je, weszła do środka i ogarnęło ją przerażenie. Doktor Fiszelzon leżał ubrany na łóżku, twarz miał żółtą jak z wosku, grdyka sterczała mu wydatnie, a broda wycelowana była w górę. Dobe wrzasnęła, przekonana, że doktor nie żyje, ale nie, poruszył się. Porwała ze stołu szklanę, wypadła na korytarz, napełniła ją wodą z kranu, przybiegła ponownie i wylała

wodę na twarz nieprzytomnego. Doktor Fiszelson poruszył głową i otworzył oczy.

— Co się panu stało? — zapytała. — Jest pan chory czy co?

— Dziękuję bardzo. Nie.

— Ma pan jakąś rodzinę? Wezwę ich.

— Nie mam rodziny — odparł doktor Fiszelson.

Dobe chciała sprowadzić felczera z przeciwka, ale doktor oznajmił, że nie życzy sobie jego pomocy. Ponieważ Dobe nie wybierała się tego dnia na targ, jako że „stłuczek” również brakowało, postanowiła spełnić dobry uczynek. Pomogła choremu podnieść się z łóżka i wygładziła kołdrę. Następnie rozebrała doktora i ugotowała mu na maszynie naftowej trochę kaszy. Do jej pokoju nigdy nie zaglądało słońce, tutaj natomiast na wyblakłych ścianach igrały kwadraciki światła. Podłoga była pomalowana na czerwono. Nad łóżkiem wisiał portret mężczyzny o długich włosach, w kryzie wokół szyi. „Taki stary, a jednak utrzymuje u siebie porządek” — pomyślała Dobe z uznaniem. Doktor Fiszelson poprosił o *Etykę*. Podała mu ją niechętnie. Była przekonana, że jest to modlitewnik używany przez gojów. Potem zaczęła się krzątać, przyniosła wiadro wody, zamiotła podłogę. Doktor zjadł, a gdy skończył, poczuł się nieco silniejszy i Dobe poprosiła go o przeczytanie listu.

Czytał wolno, papier drżał mu w dłoniach. List przyszedł z Nowego Jorku od kuzyna Dobe. Raz jeszcze pisał, że właśnie wysyła „naprawdę ważny list” i bilet do Ameryki. Dobe знаła już tę historię na pamięć, pomogła więc odcyfrować gryzmoły kuzyna.

— Łże — oznajmiła. — Dawno już o mnie zapomniał.

Wieczorem Dobe znowu przyszła. Świeca w mosiężnym lichterzu płonęła na krześle obok łóżka. Czerwonawe cienie drżały na ścianach i suficie. Doktor siedział oparty o wezglowie łóżka i czytał książkę. Świeca rzucała złociste światło na jego czoło, które wyglądało jak rozplątane na dwoje. Jakiś ptak wleciał przez okno i usiadł na stole. Na chwilę Dobe ogarnął lęk. Widok tego człowieka przywodził jej na myśl czarownice, zwierciadła spowite kirem oraz upiory, które blakają się po nocy, strasząc kobiety. Zrobiła jednak kilka kroków w jego stronę i zapytała:

— No, jak się pan czuje? Lepiej?

— Trochę lepiej, dziękuję.

— To prawda, że z pana jest konwertyta? — zapytała, chociaż nie była całkiem pewna, co oznacza to słowo.

— Ja, konwertyta? Ależ skąd, jestem Żydem jak każdy inny — odparł doktor Fiszelson.

Zapewnienia te sprawiły, że Dobe poczuła się rażniej. Znalazła butelkę nafty i zapaliła maszynkę, a potem przyniosła szklanekę mleka ze swojego pokoju i zabrała się do gotowania kaszy. Doktor dalej studiował *Etykę*, ale tego wieczoru nie mógł odnaleźć sensu w twierdzeniach i dowodach odwołujących się do aksjomatów, definicji i innych twierdzeń. Drżącą dłonią uniósł książkę do oczu i przeczytał: „Idea jakiegokolwiek pobudzenia ciała ludzkiego nie zawiera w sobie wiedzy dorównanej o tymże ciele ludzkim. Idea idei jakiegokolwiek pobudzenia umysłu ludzkiego nie zawiera w sobie wiedzy o nim”.

## VI

Doktor Fiszelson był pewien, że teraz już lada dzień umrze. Sporządził swoją ostatnią wolę, przekazując wszystkie książki i rękopisy bibliotece w synagodze. Ubrania i sprzęty miała zabrać Dobe ze względu na sprawowaną nad nim opiekę. Śmierć jednak nie nadchodziła. Raczej w zdrowiu doktora nastąpiła poprawa. Dobe znowu zajęła się handlem, odwiedzała go jednak kilkakrotnie w ciągu dnia, gotowała mu kaszę, zostawiała szklanekę herbaty i przynosiła wieści o wojnie. Niemcy zajęli już Kalisz, Będzin i Częstochowę, a teraz maszerowali na Warszawę. Ludzie powiadali, że w ciche ranki można usłyszeć huk dział. Dobe donosiła, że jest mnóstwo ofiar.

— Padają jak muchy — mówiła. — Co za straszne nieszczęście dla tych kobiet.

Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale ciągnęło ją do izdebki doktora. Lubiała wyjmować z biblioteki książki o złoconych brzegach, ścierać z nich kurz i wietrzyć je na parapecie. Wspinała się po kilku stopniach do okna i patrzyła przez lunetę. Zasmakowała także w rozmowach z doktorem. Opowiadał jej o Szwajcarii, gdzie niegdyś studiował, o wielkich miastach, przez które prze-

jeźdźał, o wysokich górach nawet latem pokrytych śniegiem. Jego ojciec był rabinem i zanim on, doktor Fiszelson, został studentem, uczęszczał do jesziwy. Zapytała go, ile zna języków i okazało się, że potrafi mówić i pisać po hebrajsku, rosyjsku, niemiecku i francusku, a na dodatek po żydowsku. Znał również łacinę. Dobe dziwiła się, że taki wykształcony człowiek mieszka na poddaszu przy Rynkowej. Ale największym zdumieniem napawał ją fakt, że chociaż nosił tytuł doktora, nie mógł sporządzać recept. — Czemu pan nie został prawdziwym doktorem? — pytała. — Jestem doktorem — odpowiadał — tyle, że nie lekarzem. — A jakimże to doktorem? — Doktorem filozofii. Aczkolwiek nie miała pojęcia, co to znaczy, czuła, że musi to być rzecz, wielkiej wagi. — Oj, mamuniu kochana — mówiła, — skąd się u pana wzięła taka głowa?

A kiedyś wieczorem, gdy Dobe podała mu sucharki i szklanę herbaty z mlekiem, zaczął ją wypytywać, skąd pochodzi, kim byli jej rodzice, dlaczego nie wyszła za mąż. Dobe zdziwiła się. Nikt nigdy nie zadawał jej takich pytań. Cichym głosem opowiedziała mu historię swego życia i została aż do jedenaściej. Jej ojciec był tragarzem w koszernych jatkach. Matka skubała kurczęta w rzeźni. Rodzina mieszkała w suterenie przy ulicy Rynkowej 19. Kiedy Dobe skończyła dziesięć lat, poszła na służbę. Człowiek, u którego służyła, był paserem, skupował kradzione rzeczy od złodziei na placu przy Krochmalnej. Miała brata, który poszedł do rosyjskiego wojska i nigdy już nie wrócił. Jej siostra poślubiła furmana z Pragi i umarła przy porodzie. Dobe opowiedziała doktorowi o walkach toczonych między przestępczym półświatkiem a rewolucjonistami w 1905 roku, o ślepym Icze i jego bandzie, jak to pobierali haracz od właścicieli sklepów, o zbirach, którzy napadali na młode dziewczęta i chłopców w czasie sobotnich spacerów, jeśli nie dostali wcześniej okupu. Mówiła również o stręczycielach, którzy jeździli powozami i uprowadzali kobiety na sprzedaż do Buenos Aires. Dobe zaklinała się, że jacyś mężczyźni usiłowali ją nawet zwabić do burdelu, ale im uciekła. Skarżyła się na tysiące krzywd, które jej wyrządzono. Została ograbiona, odbito jej narzeczonego, jakiś konkurent wlał jej kiedyś do kosza z bajglami pół kwarty nafty, jej własny kuzyn, szewc, oszukał ją przed swoim wyjazdem do Ameryki na sto rubli. Doktor Fiszelson przysłuchiwał się jej z uwagą. Zadawał pytania, kiwał głową i mruzczał coś pod nosem:

— Hm, a czy pani wierzy w Boga? — zapytał ją w końcu.

— Bo ja wiem — odparła. — A pan?

— Tak, wierzę.

— To dlaczego nie chodzi pan do bóżnicy?

— Bóg jest wszędzie. W bóżnicy. Na targu. W tym oto pokoju. My sami jesteśmy częstkami Boga.

— Niech pan przestanie mówić takie rzeczy, — powiedziała Dobe. — Straszny mnie pan.

Wyszła z pokoju i doktor Fiszelson był przekonany, że poszła spać. Zastanawiał się tylko, dlaczego nie powiedziała dobranoc. „Pewnie wypłoszyłem ją tą moją filozofią” — pomyślał. Niemal w tej samej chwili usłyszał jej kroki. Weszła dźwigając stos ubrań, niczym wędrowny handlarz.

— Chciałam to panu pokazać — oznajmiła. — To moja wyprawa.

I zaczęła rozkładać na krześle suknie — wełniane, jedwabne, aksamitne. Brała każdą po kolei i przykładała do siebie. Nie pominęła niczego — bielizny, butów, pończoch.

— Nie wyrzucam pieniędzy w błoto — powiedziała. — Ciulaczka ze mnie. Starczy mi i na te Ameryke.

Wtem zamilkła, twarz jej oblał ceglasty rumieniec, spojrzała na doktora spod oka, bojaźliwie, badawczo. Doktor Fiszelson zaczął drżeć, jakby nagle dostał dreszczy.

— Bardzo ładne, bardzo piękne rzeczy — powiedział. Zmarszczył brwi i szarpał dwoma palcami brodę. Smutny uśmiech pojawił się na jego bezzębnych ustach, a wielkie zalęknione oczy spoglądające w dal przez okno facjatki również uśmiechnęły się ze smutkiem.

## VII

W dniu, kiedy Czarna Dobe zjawiła się u rabina i oznajmiła, że zamierza poślubić doktora Fiszelsona, jego żona pomyślała, że Dobe zwariowała. Ale wieści dotarły już także do Lejzera krawca i rozeszły się w piekarni oraz w innych sklepach. Byli tacy, co uważali, że starą pannę spotyka wielkie szczęście. Doktor, jak twierdzili, ma schowane mnóstwo pieniędzy. Ale byli



i tacy, co utrzymywali, że jest on skończonym degeneratem, który zarazi ją kiłą. Aczkolwiek doktor Fiszelson nalegał, aby ślub był skromny i cichy, w pokojach rabina zgromadził się tłum gości. Czeladnicy od piekarza, którzy zwykle chodzili boso, w samych koszulach i papierowych torbach na głowach, teraz nałożyli jasne ubrania, słomkowe kapelusze, żółte buty i jaskrawe krawaty oraz przynieśli ze sobą ogromne pierniki i blachy pełne ciasteczek. Udało im się nawet zdobyć butelkę wódki, mimo że picie alkoholu było w czasie wojny zakazane. Kiedy młoda para ukazała się w rabinackiej izbie, przez tłum przeszedł szmer. Kobiety nie wierzyły własnym oczom. Ta, którą zobaczyły, nie była osobą, którą znały. Miała na głowie kapelusz z szerokim rondem, obficie przystrojony wiśniami, winogronami i śliwkami, ubrana była w suknię z białego jedwabiu z trenem i złote buciki na wysokich obcasach, a z jej cienkiej szyi zwisał sznur sztucznych pereł. To nie wszystko. Palce Dobe iskrzyły się pierścieniami o lśniących oczkach. Twarz jej osłaniał welon. Wyglądała niemal jak jedna z tych bogatych panien, których wesela odbywają się w Sali Wiedeńskiej. Czeladnicy wydali z siebie szydery gwizd. Jeśli chodzi o doktora, to odziany był w swój czarny surdut i buty o szerokich nosach. Ledwo szedł, opierając się na Dobe. Kiedy ujrzał zgromadzony tłum, ogarnęło go przerażenie i zaczął się cofać, ale piekarz, były chlebobawca Dobe, zbliżył się doń mówiąc: — Wejdźże, wejdźże, panie młody. Nie wstydz się. Teraz wszyscyśmy bracia.

Ceremonia odbywała się zgodnie z przyjętym obrzędkiem. Rabin, ubrany w znoszony, atlasowy chałat, spisał akt ślubu, a następnie kazał oblubienicy i oblubieńcowi dotknąć swojej chusteczki na znak zgody i wytarł stalówkę o jarmułkę. Kilku tragarzy wezwanych z ulicy w celu dopełnienia minjanu podtrzymywało chupę. Doktor Fiszelson wdział kitł, symbol przypominający o dniu śmierci, a Dobe, jak tego wymagał zwyczaj, obeszła go dokoła siedem razy. Światła hawdałowych świec migotały na ścianach. Cienie chwiały się. Wławszy wino do kielicha, rabin odśpiewał smutnym głosem błogosławieństwa. Dobe chlipnęła tylko jeden raz. Co się zaś tyczy innych kobiet, to wyjęły koronkowe chusteczki i stały z nimi w dłoniach, robiąc przy tym przeróżne miny. Kiedy chłopcy od piekarza zaczęli szeptać między sobą i dowcipkować, rabin położył palec na ustach i mruknął: „Ej, nu, o!” na znak, że rozmawianie jest zabronione. Nadszedł moment wsunięcia obrączki na palec oblubienicy, ale ręka oblubienca zaczęła drżeć i z trudem odnalazł palec wskazujący Dobe.

Następnie, zgodnie ze zwyczajem, należało rozbić kielich, ale mimo iż doktor uderzał nim kilka razy, kieliszek pozostał cały. Dziewczęta spuściły głowy, rozbawione; szczypały jedna drugą i chichotały. W końcu któryś z czeladników uderzył weń obcasem i kielich rozbił się na kawałki. Nawet rabin nie mógł powstrzymać uśmiechu. Po ceremonii goście pili wódkę i jedli ciastka. Piekarz podszedł do doktora Fiszelzona i powiedział:

— Mażł tow, oblubieńcze. Niechaj los twój będzie równie dobry jak twoja żona.

— Dziękuję, dziękuję — wymamrotał doktor, — ale ja nie oczekuję szczęścia.

Pragnął wrócić jak najszybciej na swoje poddasze. Czuł ściskanie w żołądku i klucie w piersiach. Twarz mu pozieleniała. Nagle Dobe zapłonęła gniewem. Ściągnęła welon i krzyknęła do tłumu:

— Czego się śmiejecie? Teatr, czy co? — I nie zabrawszy nawet poszewki, w której znajdowały się podarunki, wróciła ze swym małżonkiem do izdebki na piątym piętrze.

Doktor Fiszelzon położył się na świeżo posłanym łóżku w swoim pokoju i przystąpił do studiowania *Etyki*. Dobe udała się z powrotem do siebie. Wyjaśnił jej już wcześniej, że jest starym człowiekiem, schorowanym i pozbawionym sił. Niczego jej nie obiecywał. Pomimo to wróciła ubrana w jedwabną koszulę i bambosze z pomponikami; włosy miała rozpuszczone. Uśmiechała się zawstydzona i niezdecydowana. Doktor Fiszelzon zadrżał. *Etyka* wypadła mu z rąk. Świeca zgasła. Dobe odszukała po omacku doktora i pocałowała go w usta.

— Mężu mój drogi — szepnęła. — Mażł tow.

To, co zaszło tej nocy, śmiało można nazwać cudem. Gdyby doktor nie był przekonany, że każde wydarzenie jest zgodne z prawami natury, pomyślałby, że Czarna Dobe rzuciła na niego urok. Obudziły się w nim siły, od tak dawna uśpione. Mimo że wypił tylko jeden łyk weselnego wina, zachowywał się tak, jakby był pijany. Całował Dobe i wyznawał jej miłość. Cisnęły mu się na usta dawno zapomniane cytaty z Klopstocka, Lessinga i Goethego. Ustąpiły skurcze i bóle. Objął Dobe i przytulił ją do siebie, czuł, że jest znowu młody. Dobe słabła ze szczęścia, szeptała przez łyż jakieś słowa w warszawskim żargonie, których nie rozumiał. Później doktor zapadł w głęboki, młodzieńczy

sen. Śniło mu się, że jest w Szwajcarii i wspina się po górach — biegnie, upada, wznosi się do lotu. O brzasku otworzył oczy. Wydawało mu się, że ktoś dmucha mu w uszy. Dobe chrapała. Cichutko wyślizgnął się z łóżka. Zbliżył się do okna, odziany w długą koszulę, wspiał się po stopniach i wyjrzał zdumiony. Ulica Rynkowa, pogrążona we śnie, tchnęła głęboką ciszą. Migotały lampy gazowe. Żelazne sztaby zabezpieczały ciemne żaluzje sklepów. Wiał chłodny wietrzyk. Doktor Fiszelson uniósł oczy ku niebu. Czarne sklepienie było gęsto usiane gwiazdami — zielonymi, czerwonymi, żółtymi i błękitnymi, gwiazdami wielkimi i małymi, jedne mrugały, drugie płonęły równomiernym blaskiem. Niektóre tworzyły zwarte grupy, inne znów jaśniały w odosobnieniu. W sferze niebieskiej najwyraźniej nie zwrócono szczególnej uwagi na fakt, że niejaki doktor Fiszelson poślubił u schyłku swego życia osobę zwaną Czarną Dobe. Widziana z góry, nawet wielka wojna była zaledwie chwilową grą modusów. Miliardy gwiazd stałych nie przestawały wędrować przeznaczonymi im szlakami w nieskończonej przestrzeni. Wokół nich krążyły komety, planety, planetoidy i asteroidy. Światy rodziły się i umierały w kosmicznym wrzeniu. W chaosie mgławic formowała się pierwotna materia. Raz po raz odrywała się jakaś gwiazda i zakreślała szeroki łuk na niebie, zostawiając za sobą ognistą smugę. Był sierpień, miesiąc, kiedy to spadają deszcze meteorów. Tak, boska substancja jest rozciąglą, nie ma ani początku, ani końca, jest absolutna, niepodzielna i wieczna, niezależna od czasu, nieskończona w swych przymiotach. Jej fale i pęcherzyki tańczą w kotle wszechświata, podlegając bezustannym zmianom, ścigając się w nieprzerwanym łańcuchu przyczyn i skutków, a on, doktor Fiszelson, poddany nieuniknionemu losowi, stanowi cząstkę tego wszystkiego. Przymknął powieki, wiatr chłodził mu spocone czoło i muskał włosy brody. Odetchnął głęboko nocnym powietrzem, oparł drżące ręce o parapet i wyszeptał: — Wybacz mi boski Spinozo. Zwariowałem.

## Czarne wesele

### I

Aron Naftali, rabin Cewkowa, utracił trzy czwarte zwolenników. Mówiono po rabinackich dworach, że to on sam jest odpowiedzialny za odstraszenie swoich chasydów. Dwór rabinacki musi być czujny, stale trzeba zdobywać nowych wyznawców. Należy znajdować takie sposoby, żeby ich liczba nie zmniejszała się. Ale rabin Aron Naftali popadł w apatię. Dom nauki był stary i na ścianach bezkarnie panoszył się grzyb. Mykwa leżała w ruinie. Szamesami byli ledwie trzymający się na nogach starcy, głusi i na pół ślepi. Rabinowi czas upływał na praktykowaniu Kabały. Mówiono, że chce naśladować sztuczki dawnych mędrców, toczyć wino ze ściany i stwarzać gołębie za pomocą kombinacji świętych imion. Twierdzono nawet, że w tajemnicy ulepił na strychu golema. Co więcej, rabin Naftali nie miał męskiego następcy, a jedynie córkę imieniem Hindele. Kto by przyjeżdżał do takiego rabina? Wrogowie utrzymywali, że rabin Naftali pogrążony jest w melancholii tak jak jego żona i Hindele. Ta ostatnia w wieku piętnastu lat czytała już tajemne księgi i od czasu do czasu udawała się w odosobnienie na podobieństwo świętych mędrców. Szeptano, że Hindele nosi pod sukienką mały tałes jak jej święta babka, po której otrzymała imię.

Rabin Aron Naftali miał dziwne zwyczaje. Zamykał się w swojej izbie na całe dni i nikogo nie przyjmował. Kiedy się modlił, nakładał dwie pary filakterii naraz. W piątkowe popołudnia czytał wyznaczony fragment Pięcioksięgu nie z książki, ale z pergaminowanego zwoju. Rabin nauczył się kaligrafować litery z mistrzostwem dawnych skrybów i używał tego pisma do sporządzania amuletów. Malutki woreczek z jednym z takich amuletów wisiał na szyi każdego z jego wyznawców. Wiadomo było, że rabin prowadzi nieustanną

wojnę ze złymi duchami. Jego dziadek, stary rabin z Cewkowa, wypędził dybuka z młodej dziewczyny i złe duchy mściły się teraz na jego wnuku. Staruszkowi nie były w stanie zaszkodzić, bowiem chroniło go błogosławieństwo cadyka z Kozienic. Jego syn, rabin Hirsz, ojciec rabina Arona Naftalego, zmarł młodo. Wnuk, rabin Aron Naftali, musiał zmagać się z mściwymi diabłami przez całe życie. Kiedy zapalał świecę, zaraz ją gasiły. Kiedy stawiał jakiś tom na półce, zrzucały go. Kiedy rozbierał się w mykwie, chowały mu jedwabną kapotę i mały tałas. Często z komina domu, w którym mieszkał rabin wydawały się dochodzić odgłosy śmiechu i zawodzenia. Za piecem coś szeleściło. Na dachu słyhać było czyjeś kroki. Drzwi same się otwierały. Schody skrzypiały, mimo że nikt po nich nie stąpał. Kiedyś rabin położył na stole pióro, a ono uleciało przez otwarte okno jakby niesione niewidzialną ręką. Rabin osiwał w wieku czterdziestu lat. Był przygarbiony, ręce i nogi drżały mu jak u stuletniego starca. Hindele często cierpiała na ataki ziewania; czerwone plamy wykwitwały jej na policzkach, bolało ją gardło, brzęczało jej w uszach. W takich chwilach konieczne były zaklęcia odpędzające złe duchy.

— Nie zostawią mnie w spokoju nawet na chwilę — mawiał rabin. Tupał nogą i kazał szamesowi, aby podał mu laskę dziadka. Ostukiwał nią wszystkie kąty pokoju i wykrzykiwał: — Nie będziecie mnie dręczyć swoimi złośliwymi sztuczkami!

Ale czarne zastępy mimo to zdobywały władzę. Pewnego jesiennego dnia rabin zachorował na różę i wkrótce okazało się, że nie wyjdzie już z tej choroby. Wysłano do pobliskiego miasta po doktora, ale po drodze złamała mu się oś w powozie i nie mógł dojechać. Wezwano drugiego lekarza, ale koło od jego powozu odpadło i potoczyło się do rowu, zaś koń zwichnął nogę. Żona rabina poszła do grobowca postawionego ku czci zmarłego dziadka jej męża, aby się pomodlić, ale mściwe demony zerwały jej czepiec z głowy. Rabin leżał w łóżku ze spuchniętą twarzą i ściągniętą brodą; przez dwa dni nie wymówił ani słowa. Nagle otworzył jedno oko i wykrzyknął:

— Zwyciężyły!

Hindele, która nie opuszczała wezglowia ojca, załamała ręce i zaczęła zawodzić w rozpacz:

— Ojczy, co ze mną będzie?

Broda rabina zadrżała. — Musisz milczeć, jeśli chcesz ocalić życie.

Odbył się wspaniały pogrzeb. Przyjechali rabini z połowy Polski. Kobiety przewidywały, że żona rabina długo nie pożyje. Była biała jak trup. Nie miała dość siły w nogach, żeby iść za karawanem i dwie niewiasty musiały ją podtrzymywać. Przy grzebaniu zwłok próbowała rzucić się do grobu i z trudem ją powstrzymano. Przez siedem dni żałoby nic nie jadła. Próbowano zmusić ją do wypicia łyżki rosółu, ale nie była w stanie go przełknąć. Kiedy minęło trzydzieści dni żałoby, rabinowa dalej nie opuszczała łóżka. Sprowadzano do niej lekarzy, ale na próżno. Sama przewidziała dzień śmierci i przepowiedziała ten moment co do minuty. Po jej pogrzebie uczniowie rabina zaczęli rozglądać się za partią dla Hindele. Próbowali znaleźć jej męża jeszcze zanim umarł ojciec, ale rabina trudno było zadowolić. Zięc musiałyby w końcu zająć miejsce rabina, a kto był godzien tego zaszczytu? Kiedy rabin w końcu wyrażał zgodę, jego żona znajdowała w młodzieńcu wady. Poza tym Hindele znana była z tego, że choruje, zbyt wiele pości i mdleje, kiedy sprawy nie układają się po jej myśli. Nie była też urodziwa. Niska, wątła, miała dużą głowę, cienką szyję i płaskie piersi. Włosy jej zawsze były zmierzwione, a w czarnych oczach tliło się szaleństwo. Jednakże, ponieważ posag Hindele stanowiło tysiące chasydzkich wyznawców, znalazł się kandydat, reb Szymon, syn jampolskiego rabina. Jego starszy brat umarł i reb Szymon miał w związku z tym zostać po śmierci ojca rabinem Jampola. Jampol i Cewków miały ze sobą wiele wspólnego. Jeśliby się połączyły, odzyskałyby dawną świetność. To prawda, że reb Szymon był rozwodnikiem z pięciorgiem dzieci. Ale ponieważ Hindele była sierotą, kto miałby protestować? Chasydzi z Cewkowa stawiali jeden warunek: po śmierci ojca reb Szymon musi zamieszkać w Cewkowie.

Zarówno mieszkańcom Cewkowa, jak i Jampola zależało bardzo na tym związku. Natychmiast po spisaniu umowy zaręczynowej zaczęto przygotowania do wesela, bowiem w Cewkowie brakowało rabina. Hindele nie widziała jeszcze swojego przyszłego męża. Powiedziano jej, że jest wdowcem, ale nie wspomniano słowem o pięciorgu dzieciach. Wesele było huczne. Zjechali się chasydzi ze wszystkich stron Polski. Jampolscy i cewkowscy chasydzi zaczęli mówić sobie po imieniu. W gospodach było tłoczno. Szynkarz znosił ze strychu sienniki ze słomą i rozkładał je w korytarzach, spichrzach i komórkach, aby pomieścić wielką rzeszę ludzi. Ci, którzy byli przeciwni temu małżeństwu, przepowiadali, że Jampol pochłonie Cewków. Chasydzi z Jampola znani byli z braku ogłady. Kiedy się bawili, stawali się gwałtowni. Żłopali wódkę

z blaszanych kubków i upijali się. Tańczyli z takim zapalem, że ugięła się pod nimi podłoga. Kiedy przeciwnik jampolskiego dworu wyraził się ostro o ich rabinie, został pobity. W Jampolu panował zwyczaj, że kiedy żona młodego mężczyzny urodzi dziewczynkę, ojca kładzie się na stole i wymierza mu się trzydzieści dziewięć razy rzemieniem.

Stare kobiety przysły do Hindele ostrzec ją, że niełatwo będzie jej jako synowej na jampolskim dworze. Przyszła teściowa, staruszka, słynęła z niegodziwości. Reb Szymon i jego młodszy bracia byli nieokrzesani. Matka wybierała dla swoich synów dorodne kobiety i wzięła Hindele nie mogła jej zadowolić. Zgodziła się na to małżeństwo tylko ze względu na jampolskie ambicje względem Cewkowa.

Od czasu rozpoczęcia swatów aż do samego wesela Hindele ustawicznie płakała. Płakała na uroczystości spisywania umowy zaręczynowej, płakała, kiedy krawcy szyli jej wyprawę, płakała, gdy prowadzono ją do mykwy. W mykwie wstydziła się rozebrać na oczach łaziebnych i innych kobiet, aż musiały siłą zedrzeć z niej kaftan i majtki. Nie pozwoliła sobie zdjąć z szyi woreczka zawierającego amulet z bursztynu i zęb wilka. Bała się zanurzyć w wodzie. Dwie łaziebne prowadzące Hindele do kąpieli trzymały ją mocno za nadgarstki, a ta drżała jak kogut ofiarny w przeddzień Jom Kipur. Kiedy po weselu reb Szymon zdjął welon z twarzy Hindele, ujrzała go po raz pierwszy w życiu. Był wysokim mężczyzną w sztrajmlu na głowie, o zwichrzonej, czarnej jak smoła brodzie, pałających ogniem oczach, szerokim nosie, grubych wargach i długich wąsach. Patrzył na nią jak zwierzę. Sapał głośno i czuć było od niego potem. Kępki włosów wyrastały mu z nozdrzy i uszu. Jego dłonie również pokryte były włosami gęstymi jak futro. Kiedy Hindele go ujrzała, pojęła, że stało się to, co od dawna podejrzewała — jej oblubieniec jest demonem, a wesele niczym innym jak czarną magią, szatańską sztuczką. Chciała zawołać: „Słuchaj, Izraelu!”, ale przypomniała sobie wypowiedziane przez ojca na łożu śmierci ostrzeżenie, aby milczeć. Jakże to dziwne: z chwilą gdy Hindele zrozumiała, że jej mąż jest złym duchem, natychmiast była w stanie odróżnić prawdę od fałszu. Chociaż widziała, że siedzi w matczynym salonie, wiedziała, że tak naprawdę znajduje się w lesie. Wydawało się być jasno, ale ona wiedziała, że jest ciemno. Otaczali ją chasydzi w sztrajmlach i atlasowych kapotach oraz kobiety w jedwabnych czepcach i aksamitnych pelerynach, ale Hindele wiedziała, że wszystko to pozory i że wyszukane

stroje kryją głowy porośnięte kołtunami, gęsie stopy, nieludzkie pępki, długie ryje. Pasy młodych mężczyzn były w rzeczywistości wężami, ich sobole czapy jeżami, a brody kłębowiskiem robaków. Mężczyźni mówili po żydowsku i śpiewali znane jej pieśni, ale tak naprawdę głosy, jakie wydawali, przypominały ryki wołów, syczenie żmij, wycie wilków. Muzykantom sterczały ogony, a z ich głów wyrastały rogi. Panny towarzyszące Hindele miały kocie łapy, cielece kopyta, świńskie ryje. Marszelik składał się z samej brody i języka. Tak zwani krewni ze strony pana młodego byli lwami, niedźwiedziami, dzikami. W lesie tym padało i wył wiatr. Grzmiało i błyskało. Niestety nie było to ludzkie wesele, ale Czarne Gody. Hindele wiedziała z lektury świętych ksiąg, że demony czasami poślubiają ludzkie dziewice, aby później porwać je za czarne góry, tam z nimi współżyć i płodzić dzieci. W takim przypadku można było zrobić tylko jedno – nie ulegać im, nigdy się nie poddać z własnej woli, opierać się tak, aby musiały użyć siły, bowiem jedno uprzejme słowo wypowiedziane do szatana równa się składaniu ofiary bożkom. Hindele pamiętała historię Josefa della Reiny i nieszczęście, jakie go spotkało, kiedy zrobiło mu się żal złego ducha i poczęstował go szczyptą tabaki.

## II

Hindele nie chciała iść pod chupę, z całej mocy przywarła stopami do podłogi, ale druhny zawlokły ją tam siłą. Na pół ciągnęły ją, na pół niosły. Chochliki pod postacią dziewcząt trzymały świece i torowały jej przejście. Chupa spleciona była z gadów. Rabin prowadzący uroczystość związany był umową z Samaelem. Hindele nie ustępowała. Nie chciała wysunąć palca do obrączki – trzeba ją było do tego zmusić. Nie chciała pić z kielicha – wlano jej więc trochę wina do ust. Chochliki odprawiały całą ceremonię weselną. Zły duch, który pojawił się pod postacią reb Szymona nosił kitł. Nastąpił kopytem na nogę narzeczonej, aby móc nią władać. Potem roztrzaskał kielich. Po ceremonii jakaś czarownica z kołaczem w dłoniach zaczęła zbliżać się do oblubienicy tanecznym krokiem. Następnie młoda para dostała niby złoty rosół, ale Hindele wypluła wszystko do chusteczki. Klezmerzy zagrali kozaka, taniec złości, taniec nożyczek i taniec wodny. Spod ich szat wystawały błoniaste kogucie pazury. Sala weselna była niczym innym jak leśnym



bagnem pełnym żab, maszkar i potworów; każdy z nich mrugał i wykrzywił się na własny sposób. Chasydzi dali młodej parze różne prezenty, ale był to tylko sposób na schwytanie Hindele w szatańskie sidła. Marszelik recytował smutne i wesołe wierszyki, a głos jego był głosem papugi.

Wywołano Hindele do mycwe tanc, mającego przynieść szczęście nowożeńcom, ale ona nie chciała wstać, wiedząc, że jest to tak naprawdę taniec nieszczęścia. Ponaglano ją, popychano, szczypano. Małe chochliki wbijały jej szpilki w uda. W trakcie tańca dwie diablice złapały ją za ręce i zawiodły do sypialni, która faktycznie była ciemną jaskinią pełną ostów, nieczystości i śmieci. Kiedy szeptały jej o obowiązkach żony napluły jej do ucha. Potem rzucono ją na kupę błota, która niby miała być pościelą. Przez długą chwilę Hindele leżała w tej jaskini otoczona ciemnością, trującymi chwastami i wszami. Jej lęk był tak wielki, że nie mogła się nawet modlić. Potem do sypialni wszedł diabeł, któremu została zaślubiona. Potraktował ją okrutnie, zdarł z niej ubranie, udręczył ją, zbrukał, okrył hańbą. Chciała wzywać pomocy, ale powstrzymała się, wiedząc, że jeśli wyda choć jeden dźwięk, zostanie zgubiona na zawsze.

Przez całą noc Hindele czuła, że leży we krwi i ropie. Ten, który ją zgwałcił, chrapał, kaszlał, syczał jak wąż. Tuż przed świtem chmara wiedźm wpadła do pokoju, wyciągnęła spod niej prześcieradło, obejrzała je, obwąchała, zaczęła tańczyć. Ta noc nie miała końca. Co prawda wzeszło słońce, ale nie było to prawdziwe słońce, lecz krwawa kula zawieszona przez kogoś na niebie. Przyszły niewiasty, aby podstępnie, gładkimi słówkami, udobruchać młodą żonę, ale Hindele nie zwracała uwagi na to, co plotły. Pluły na nią, pochlebiały jej, odmawiały zakłęcia — ona im nie odpowiadała. Później wezwano do niej doktora, ale Hindele zorientowała się, że to rogaty kozioł. Nie, czarne moce nie mogły nią zawiązać, Hindele dalej robiła im na złość. Cokolwiek kazały jej czynić, postępowała inaczej. Wylała zupę i wyrzuciła marcepan do wiadra z pomyjami. Kurczaki i kapłona, które dla niej upieczono, cisnęła do wychodka. W mrocznym lesie znalazła stronę z psalterza i odmawiała teraz ukradkiem psalmy. Pamiętała także kilka fragmentów z Tory i proroków. Nabierała coraz większej odwagi, aby modlić się do Boga Wszchemocnego o ratunek. Wspominała imiona świętych aniołów, jak również swych znakomitych przodków takich jak Baal Szem Tow, rabbi Lejb syn Sary, rabbi Pinchas z Korca i inni.

To dziwne, że choć była sama jedna, a ich całe zastępy, nie mogli jej pokonać. Ten, który był przebrany za jej męża, próbował przekupić ją słodką mową i podarunkami, ale ona nie chciała mu ulec. Kiedy przychodził do niej, odsuwała się. Całował ją wilgotnymi wargami i pieścił lepkimi palcami, ale ona nie dopuszczała go do siebie. Chciał ją brać siłą, lecz Hindele szarpała go za brodę, ciągnęła za pejsy, drapała w czoło. Uciekał od niej pokrwawiony. Hindele zrozumiała, że jej moc jest nie z tego świata. Ojciec się za nią wstał. Przychodził do niej w całunie i pocieszał ją. Ukazywała się jej też matka i udzielała rad. To prawda, ziemia pełna jest złych duchów, ale tam w górze unoszą się anioły. Czasami Hindele słyszała, jak anioł Gabriel walczy i zмага się z Szatanem. Stada czarnych psów i wron przybywały demonowi z pomocą, ale święci odganiaли je liśćmi palmowymi i okrzykami wznoszonymi na chwałę Boga. Szczekanie i krakanie zagłuszała pieśń, którą dziadek Hindele śpiewał zwykle w sobotnie wieczory i która nazywała się „Synowie dworu”.

Ale najstraszniejsze było to, że Hindele zaszła w ciążę. W jej łonie rósł diabeł. Widziała go przez swój własny brzuch jak przez pajęczynę: pół-żaba, pół-małpa, z oczami cielęcia i skórą jak rybia łuska. Zżerał jej ciało, wysysał z niej krew, drapał ją szponami, wgryzał się w nią ostrymi zębami. Zaczynał już gaworzyć, nazywał ją matką, przeklinał ohydny językiem. Musiała się go pozbyć, nie mogła pozwolić, by dłużej kąsał jej wątrobę. Nie była też w stanie znosić jego bluźnierstw i drwin. Poza tym oddawał mocz w jej ciele i brukał ją kałem. Jedynym wyjściem było poronienie, ale jak je wywołać? Hindele uderzała się w brzuch pięścią. Skakała, rzucała się, pełzała, wszystko po to, by pozbyć się tego diabelskiego pomiotu, ale na próżno. Rósł szybko i przejawiał nadludzką siłę, rozpychał się i szarpał jej wnętrzności. Miał czaszkę z miedzi i usta z żelaza. Przejawiał dziwne zachcianki. Kazał jej zjadać wapno ze ścian, skorupki jajek, przeróżne śmieci. A gdy odmawiała — ścisnął ją za woreczek żółciowy. Cuchnął jak tchórz i Hindele mdlała od tego smrodu. Raz kiedy popadła w omdlenie, ukazał się jej olbrzym z jednym okiem na czole. Przemawiał do niej z dziupli drzewa: — Poddaj się, Hindele, jesteś jedną z nas.

— Nie, nigdy.

— Zemścimy się.

Biczował ją ognistą różgą i obrzucał wyzwiskami. Głowa ciążyła jej z przeżenienia jak kamień młyński. Palce rąk zrobiły się duże i twarde jak wałki do

ciasta. Usta jej spierzchły, jakby najadła się niedojrzałych owoców. Wydawało jej się, że w uszach ma pełno wody. Hindele nie czuła się już wolna. Szatańskie zastępy tarzały ją w gnoju, błocie, szlamie. Nurzały ją w kadziach ze smołą. Obdzierały ze skóry. Ciągnęły obcęgami za sutki. Dręczyły ją bezustannie, lecz ona milczała. Ponieważ diabły nie mogły jej przekonać,abrały się za nią diabllice. Wybuchaly szalonym śmiechem, oplatały ją włosami, dusiły, łaskotały i szczypały. Jedna chichotała, druga płakała, jeszcze inna wiała się jak dziwka. Brzuch Hindele był duży i twardy jak bęben, a w jej łonie siedział Belial. Rozpychał się łokciami i napierał na nią głową. Hindele leżała w połogu. Jedna z diabolic była akuszerką, a druga jej pomocnicą. Pozawieszały nad jej łozem z baldachimem przeróżne talizmany, a pod poduszkę włożyły nóż i *Księgę Stworzenia*, bowiem złe duchy naśladowają we wszystkim ludzi. Hindele wiała się z bólu, ale pamiętała, że nie wolno jej jęczeć. Jedno westchnienie i zostanie zgubiona. Musi powstrzymać się od tego przez pamięć o świętych przodkach.

Nagle szatański stwór znajdujący się w jej wnętrzu zaczął przeć z całą mocą. Przerażliwy krzyk wyrwał się z gardła Hindele i pochłonięła ją ciemność. Dzwoniły dzwony jak na chrześcijańskie święto. Wybuchł piekielny ogień. Był czerwony jak krew, szkarłatny jak trąd. Ziemia otwarła się niczym w czasach Koracha i łozę Hindele zaczęło pogrążyć się w otchłani. Straciła wszystko, ten świat i świat przyszły. Lecąc prosto do zamku Asmodeusza, gdzie rządzą Lilit, Nama, Machla i Hurmizasz, słyszała w oddali płacz kobiet, klaskanie w ręce, błogosławieństwa i życzenia.

W Cewkowie i okolicach rozeszła się wieść, że Hindele urodziła reb Szymonowi z Jampola męskiego potomka. Matka zmarła przy porodzie.

## Opowieść o parze kłamców

### I

Kłamstwo może żyć tylko w oparciu o prawdę; kłamstwom gromadzonym jedno za drugim brakuje podstaw. Opowiem wam, w jaki sposób manipulowałem parą kłamców, sprawiając, że tańczyli jak im zagrałem.

Glike Genendł przybyła do Janowa kilkanaście dni przed Pesach, twierdząc, że jest wdową po rabinie z Sandomierza; powiedziała, że nie ma dzieci i bardzo pragnie powtórnie wyjść za mąż. Wyjaśniła, że aby to zrobić, nie musi dopełnić obowiązku chality, bowiem jej mąż nie miał braci. Zamierzała osiedlić się w Janowie, ponieważ jakaś wróżka przepowiedziała, że w tym właśnie miasteczku spotka przyszłego męża. Chwaliła się, że jej zmarły mąż studiował wraz z nią Talmud i na dowód tego przeplatała rozmowę cytatami. Stale przyprawiała mieszkańców miasteczka o zdziwienie. To prawda, nie była piękna. Nos jej przypominał szofar, ale miała ładną jasną cerę i wielkie ciemne oczy; broda jej była spiczasta, a język giętki. Poruszała się tanecznym krokiem i gdzie nie przyszła, sypała dowcipami jak z rękawa.

Cokolwiek by się nie wydarzyło, ona zawsze przypominała sobie podobne zdarzenie; na każdy smutek miała w zanadrzu pocieszenie, na każdą chorobę — lekarstwo. Chodziła wystrojona w wysokie botki zapinane na guziczki, wełnianą suknię, jedwabny szal z frędzlami i czepek ozdobiony drogocennymi kamieniami. Aby ominąć błoto, przeskakiwała zgrabnie z kamienia na kamień i z deski na deskę, trzymając wdzięcznie spódnicę w jednej ręce, a sakiewkę w drugiej. Gdziekolwiek szła, niosła ze sobą radość, mimo że zbierała datki, ale nie były one, Boże broń, dla niej. Wszystko co zebrała przekazywała biednym narzeczonym i ubogim przyszłym matkom. Jako że

czyniła tyle dobrego, mieszkała w gospodzie za darmo. Gościom podobały się jej żarciki i opowieści i możecie być pewni, że szynkarz nic na tym nie tracił.

Natychmiast zasypano ją różnymi propozycjami małżeństwa, a ona nikomu nie odmawiała. W jednej chwili wszyscy miejscowi wdowcy i rozwodnicy skakali sobie do gardła: każdy chciał zdobyć ją dla siebie. Tymczasem rosły rachunki za suknie i bieliznę, a ona zajadała pieczone kapłony i lane kluski. Bardzo ją obchodziły sprawy gminy — pomagała przygotować młyn na Pesach, sprawdzała snopy paschalnej pszenicy, doglądała pieczenia macy, żartowała z piekarzami, kiedy ugniatali i wałkowali ciasto, kładli na blachę, robili w nim dziurki i cięli na kawałki. Poszła nawet do rabina, aby dopełnić obrzędu i sprzedać chumec, który zostawiła w Sandomierzu. Rabinowa zaprosiła Glike Genendł na seder. Przyszła wystrojona w białą suknię z atłasu, obwieszona klejnotami i recytowała Hagadę płynnie jak mężczyzna. Swoją kokieterią wzbudziła zazdrość w córkach i synowych rabina. Janowskie wdowy i rozwódki po prostu zżerała wściekłość. Wyglądało na to, że ta sprytna kobieta złapie w sidła najbogatszego wdowca w miasteczku i jak gdyby nigdy nic zostanie najbogatszą gospodynią w Janowie. Ale to ja, zły duch, jejcer hore, zadbałem o jej męża.

Pojawił się w Janowie w czasie Pesach; przyjechał ozdobną bryczką wynajętą na tę okazję. Twierdził, że przybywa z Ziemi Świętej po kweście i że podobnie jak Glike stracił niedawno żonę. Miał ze sobą kufer z mosiężnymi okuciami; palił nargile, a taśes nosił w torbie ze skóry. Kiedy się modlił, nakładał dwie pary filakterii, a w rozmowie wtrącał aramejskie słowa. Powiedział, że nazywa się reb Jomtow. Był wysokim, chudym mężczyzną o spiczastej brodzie i choć ubierał się jak każdy inny obywatel miasteczka — w sztrajmł, spodnie do kolan i pończochy, jego smągła twarz i ogniste oczy nasuwały na myśl Sefardyjczyków z Jemenu lub Persji. Utrzymywał, że na własne oczy widział Arkę Noego na górze Ararat i że drzazgi, które sprzedaje po sześć groszy, pochodzą z jednej z desek. Posiadał również monety, na które reb Jehuda Chasyd rzucił zaklęcie, a także woreczek z kredową ziemią z grobu Racheli. Woreczek widocznie nie miał dna, bo zawsze był pełny.

On także zatrzymał się w gospodzie i wkrótce ku obopólnej radości reb Jomtow i Glike Genendł zostali przyjaciółmi. Kiedy przyjrzeni się bliżej swojemu pochodzeniu, odkryli, że są dalekimi krewnymi, pochodzącymi od jakiegoś świętego. Rozprawiali ze sobą i snuli różne plany do późna w nocy.

Glike Genendł dała mu do zrozumienia, że podoba się jej. Nie musiała mu tego mówić wprost — rozumieli się bez słów.

Bardzo im się spieszyło. To znaczy, ja, Samael, tak ich popędzałem. Spisano list zaręczynowy i kiedy narzeczona go podpisała, przyszły mąż dał jej w zaręczynowym prezencie pierścień i naszyjnik z pereł. Powiedział, że otrzymał je od pierwszej żony, pochodzącej z bogatej rodziny w Bagdadzie. Glike Genendł podarowała narzeczonemu wyszywaną szafirami serwetkę na chałę, którą odziedziczyła po zmarłym ojcu, słynnym dobroczyńcy.

Aż tu pod koniec Pesach w miasteczku powstało zamieszanie. Jeden z zasobniejszych gospodarzy, reb Katriel Aba poskarżył się rabinowi, że Glike Genendł z nim się zaręczyła i że dał jej trzydzieści guldenów na wyprawę.

Wdowę oburzyły te pomówienia.

— To czysta złośliwość — oznajmiła. — Wszystko dlatego, że nie chciałam z nim grzeszyć.

Zażądała, aby oszczerca zapłacił jej trzydzieści guldenów odszkodowania. Ale reb Katriel Aba nie cofnął swojego oskarżenia — gotów był złożyć przysięgę przed Arką Przymierza. Glike Genendł była równie zdecydowana bronić swego zdania przy czarnych świecach. Ponieważ jednak w tym czasie szalała w miasteczku epidemia i kobiety bały się, że całe to składanie przysięg pociągnie za sobą śmierć ich dzieci, rabin ostatecznie zawyrokował, że Glike jest niewątpliwie uczciwą kobietą i polecił, aby reb Katriel przeprosił ją i wypłacił pieniądze.

Niedługo potem z Sandomierza przywędrował żebrak i zaskoczył wszystkich, twierdząc, że żona zmarłego rabina nie może być w Janowie, bowiem — chwała niech będzie Bogu — przebywa w Sandomierzu wraz z mężem, który w najmniejszym stopniu nie jest nieboszczykiem. Zapanowało wielkie poruszenie i mieszkańcy miasteczka ruszyli do gospody, aby ukarać fałszywą wdowę za jej niecne kłamstwo. Ale ona wcale się tym nie przejęła i wyjaśniła, że powiedziała, iż jest z „Kazimierza”, a nie „Sandomierza”. Znowu wszystko było w porządku i dalej trwały przygotowania do wesela, które wyznaczono na Lag ba-Omer.

Ale przed weselem miało miejsce jeszcze jedno wydarzenie. Z takiego czy innego powodu Glike uznała, że trzeba zapytać złotnika o perły, które reb Jomtow jej podarował. Ten zważył je i obejrzawszy dokładnie, oświadczył, że

są sztuczne. — Wesela nie będzie — oświadczyła Glike Genendł i powiadomiła o tym narzeczonego. Ten natychmiast zaczął się bronić: po pierwsze złotnik nie zna się na rzeczy: nie ma wątpliwości co do autentyczności pereł, bowiem on, reb Jomtow, osobiście zapłacił za nie w Stambule dziewięćdziesiąt pięć drachm; po drugie, jak Bóg da, zaraz po uroczystości weselnej zastąpi fałszywe perły prawdziwymi, a poza tym chce mimochodem nadmienić, że serwetka na chałę, подарowana mu przez Glike Genendł nie jest wyszywana szafirami, lecz paciorkami, i to w dodatku takimi, które można dostać na jarmarku, tuzin za trzy grosze. Tak więc obojgu kłamstwa uszły bezkarnie i pogodziwszy się, stanęli pod chupą.

Jednakże jeszcze tego samego wieczora emisariusz z Ziemi Świętej odkrył, że nie poślubił młodego dziewczęcia. Genendł zdjęła perukę, ujawniając mnóstwo siwych włosów. Stała przed nim stara wiedźma, a on na gwałt wysiłał mózg, aby znaleźć jakieś wyjście. Ale jako że był nie w ciemną bity, zrobił dobrą minę do złej gry. Mimo to Glike Genendł wolała nie ryzykować: aby zapewnić sobie miłość ukochanego wyrwała sobie parę włosów z łona i opłótła je wokół guzika męzowskiego szlafroka; poza tym umyła piersi w wodzie, którą później dołała mu do napoju. Dokonując tych ważkich czynności śpiewała:

*Tak jak drzewo ma swój cień,  
Tak ty przy mnie w noc i w dzień.  
Tak jak wosk w ogniu topnieje,  
Niech twe serce miłością goreje.  
Teraz i zawsze w sidłach pożądania,  
Dopóki wszystko prochem się nie stanie  
Amen. Sela.*

## II

— Czy jest jakiś powód, dla którego mielibyśmy zostać w Janowie? — zapytał reb Jomtow, kiedy minęło siedem dni ślubnych błogosławieństw. — Wolalbym wrócić do Jerozolimy. Ostatecznie czeka tam na nas piękny dom w pobliżu Ściany Płaczu. Ale najpierw muszę odwiedzić z kwestą kilka miast w Polsce. Powinienem pomyśleć o moich studentach jesziwy, a poza tym trzeba zebrać pieniądze na wzniesienie domu modlitwy na grobie reb Szy-

mona Bar Jochaja. To bardzo kosztowne przedsięwzięcie, wymaga wiele pieniędzy.

— Jakie miasta chcesz odwiedzić? I jak długo cię nie będzie? — zapytała Glike Genendł.

— Zamierzam zatrzymać się we Lwowie, w Brodach i w kilku innych miasteczkach w tamtych stronach. Wrócę, jeśli Bóg da, w połowie lata. Będziemy w Jerozolimie na czas, aby świętować tam Rosz Haszana.

— Dobrze — powiedziała Glike. — Wykorzystam ten czas na odwiedzenie grobów moich bliskich i pożegnanie się z krewnymi w Kaliszu. Niechaj Bóg ci dopomoże, nie zapomnij drogi do domu.

Ucałowali się, uściskali i Glike Genendł dała mu trochę konfitur i ciastek oraz słoik kurzego smalcu. Podarowała mu także amulet mający chronić go przed zbójcami i reb Jomtow wyruszył w drogę.

Kiedy dotarł nad San, przystanął, zawrócił furę i wjechał na drogę wiodącą do Lublina. Jego celem były Piaski, małe miasteczko w pobliżu Lublina. Mieszkańcy Piask cieszyli się szczególną sławą. Mawiano, że jeśli nie chce się, aby skradziono tam filakterie, nie należy zakładać tałesu; znaczyło to, że w Piaskach nie wolno zasłonić oczu nawet na tak krótką chwilę. Cóż, to właśnie w tym słynnym miejscu emisariusz z Jerozolimy wyszukał sędziego sądu rabinackiego i kazał kopiście wypisać list rozwodowy dla Glike Genendł. Potem przez posłańca wysłał papiery do Janowa. Cała sprawa kosztowała reb Jomtowa pięć guldenów, ale uważał, że warto było wydać te pieniądze.

Następnie reb Jomtow zajechał do Lublina i wygłosił kazanie w słynnej bóżnicy Maharszal. Miał talent krasomówczy; tym razem postanowił mówić z litwackim akcentem. Za kozackimi stepami i krainą Tatarów, mówił, mieszkają ostatni Chazarowie. Ten starożytny lud żyje w jaskiniach, walczy za pomocą łuków i strzał, składa ofiary jak za biblijnych czasów i mówi po hebrajsku. Ma przy sobie list od ich wodza Jedidi Ben Achitowa, wnuka chazarzkiego króla — mówiąc te słowa pokazał zwój pergaminu, na którym widniały imiona licznych świadków. Owi mieszkający daleko Żydzi, którzy toczą zażartą wojnę przeciwko wrogom Izraela i jako jedyni znają tajemną drogę nad rzekę Sambation, pilnie potrzebują pieniędzy. Zwróciwszy uwagę na ten fakt, wszedł w tłum, aby zbierać pieniądze dla Chazarów.



Kiedy tak krążył pośród ludzi, podszedł do niego młody jasnowłosy mężczyzna i zapytał go, jak się nazywa.

— Salomon Symeon — odparł reb Jomtow, kłamiąc z przyzwyczajenia.

Młody człowiek chciał się dowiedzieć, gdzie się zatrzymał i kiedy usłyszał, że w szynku, pokręcił głową.

— Taki niepotrzebny wydatek — stwierdził. — I po co mieszać się z byle hołotą? Mam, chwała niech będzie Bogu, duży dom. Jest w nim pokój gościnny i święte księgi nie używane przez nikogo. Cały dzień zajmuję się interesami, a że nie mam dzieci, oby was taki los nie spotkał, nikt nie będzie wam przeszkadzał. Moja żona poczyta sobie za zaszczyt, jeśli w naszym domu zatrzyma się taki uczony mąż, a moja teściowa, która właśnie u nas gości, jest wykształconą kobietą i w dodatku swatką. Jeśli zechcecie się ożenić, zapewniam was, że znajdzie wam najlepszą partię.

— Niestety, jestem wdowcem — odparł rzekomy reb Salomon Symeon przyjmując ponury wyraz twarzy, — ale nie potrafię na razie myśleć o małżeństwie. Moja ukochana żona była rodzoną wnuczką rabina Sabataja Kohena i chociaż odeszła trzy lata temu, nie mogę o niej zapomnieć. — Reb Jomtow nie przestawał żałośnie wzdychać.

— Kimże jesteśmy, by poddawać w wątpliwość mądrość Wszechmocnego? — zapytał młody człowiek. — Jest napisane w Talmudzie, że nie wolno smuć się zbyt długo.

W drodze do domu mężczyźni prowadzili ożywioną dyskusję na temat Tory, czyniąc od czasu do czasu dygresje na bardziej przyziemne tematy. Młody człowiek zdumiony był wiedzą i mądrością swego gościa.

Kiedy weszli na schody, reb Jomtow poczuł wspaniałe zapachy, które wprawiły go w zachwyt. Ślina napłynęła mu do ust. Pieczono drób, gotowano kapustę. „Błogosławione niechaj będzie Imię Pana — pomyślał sobie. — Lublin zapowiada się całkiem nieźle. Jeśli jego żona chce uczonego męża, to niechże go ma. I kto wie, może zdołam dokonać cudu i jeszcze doczekają się męskiego potomka. No, a jeśli pojawi się jakaś bogata partia, to także nią nie pogardzę”.

Drzwi się otwarły i reb Jomtow znalazł się w kuchni o ścianach obwieszonych miedzianymi rondlami. Z sufitu zwisała lampa olejna. W izbie znajdowały się dwie kobiety: pani domu i służąca; stały przy piecu, w którym piekła

się gęś. Kiedy młody człowiek przedstawił gościa (rzecz jasna był dumny, że sprowadza do domu takiego męża), jego żona uśmiechnęła się serdecznie.

— Mój mąż nie każdego tak wysoko ceni — powiedziała. — Musicie być naprawdę niezwykłym człowiekiem. Cieszę się z naszego spotkania. Moja matka jest w jadalni i zajmie się wami. Jeśli czegoś wam potrzeba, nie wahać się jej powiedzieć.

Reb Jomtów podziękował i udał się we wskazanym kierunku, zaś gospodarz został jeszcze trochę w kuchni, niewątpliwie chcąc porozmawiać o tym, jakiego to mają znakomitego gościa.

Reb Jomtów ucałował nabożnie mezuzę i otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju. Ukazał mu się jeszcze wspanialszy widok. Pokój był urządzony z wielkim smakiem. Ale nagle przystanął. Czy go oczy nie mylą? Serce mu zamarło i zaniemówił. Nie, to niemożliwe, to sen. To przywidzenie, czary. Stała bowiem przed nim jego niedawna oblubienica, ukochana z Janowa. Nie mógł mieć co do tego wątpliwości. Była to Glike Genendł.

— Tak to ja — powiedziała, a on raz jeszcze usłyszał dobrze mu znany, chytry głos.

— Co tu robisz? — zapytał. — Powiedziałaś, że wybierasz się do Kalisza.

— Przyjechałam odwiedzić córkę.

— Córkę? Mówiłaś mi, że nie masz dzieci.

— Myślałam, że jesteś w drodze do Lwowa — odparła.

— Nie dostałaś papierów rozwodowych?

— Jakich papierów?

— Tych wysłanych przez posłańca.

— Zapewniam cię, że niczego nie otrzymałam. Niechaj wszystkie moje złe sny spadną na twoją głowę.

Reb Jomtów zobaczył teraz, jak sprawy wyglądają: wpadł w pułapkę. Nie było możliwości ucieczki. Lada chwila wejdzie gospodarz i wszystko się wyda.

— Sam ponoszę winę za swoją wielką głupotę — powiedział zbierając się na odwagę. — Ci ludzie myślą, że jestem podróżnikiem, który właśnie wrócił z kraju Chazarów. Powinno ci zależeć, żeby mnie nie wydać. Nie chcesz chy-

ba, aby wygnano mnie z miasta, bo wtedy zostaniesz aguną. Nic nie mów, a zaklinam się na brodę i pejsy, że nie pożałujesz.

Glike Genendł chciała obrzucić go przekleństwami, ale wtedy właśnie wyszedł jej zięć. Był rozpromieniony.

— Mamy w domu znakomitego gościa — oznajmił. — To reb Salomon Symeon z Litwy. Właśnie wrócił z kraju Chazarów, którzy jak wiadomo mieszkają bardzo blisko Dziesięciu Zagubionych Plemion. Po czym zwrócił się do reb Jomtowa: — Moja teściowa ma wkrótce wyjechać do Ziemi Świętej. Poślubiła niejakiego reb Jomtowa, emisariusza z Jerozolimy i potomka domu Dawida. Może o nim słyszeliście?

— Oczywiście — powiedział reb Jomtów.

Tymczasem Glike Genendł odzyskała na tyle panowanie nad sobą, by powiedzieć:

— Siadajcie, reb Salomon Symeon, i opowiedzcie nam o Dziesięciu Zaginionych Plemionach. Czy rzeczywiście widzieliście jak rzeka Sambation miota kamienie? Czy udało wam się przekroczyć ją bezpiecznie i spotkać króla?

Ale kiedy tylko jej zięć wyszedł z pokoju, zerwała się sycząc:

— No i jak, reb Salomon Symeon, gdzie ta moja zapłata?

Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, złapała go za kłapy i zanurzyła rękę do wewnętrznej kieszeni kapoty. Znalazła tam woreczek z dukatami, który w mgnieniu oka włożyła sobie do pończochy. Na dodatek wyrwała mu garść włosów z brody.

— Dam ci nauczkę — oznajmiła. — Niech ci się nie zdaje, że uda ci się stąd ujść cało. Piętno takiego kłamcy ciążyć będzie na tobie do dziesiątego pokolenia. — I splunęła mu w twarz. On wyjął chusteczkę i wytarł ślinę. Zaraz potem weszła pani domu ze służącą, aby nakryć do stołu. Na cześć gościa gospodarz zszedł do piwnicy po butelkę wytrawnego wina.

### III

Po kolacji Glike Genendł posłała gościowi łóżko.

— Właż — powiedziała — i żebyś mi ani mrugnął. Kiedy wszyscy zasną, przyjdę na małą pogawędkę.

I aby uniemożliwić mu ucieczkę, zabrała jego kapotę, czapkę i buty. Reb Jomtow pomodlił się i położył do łóżka. Leżał, rozmyślając nad tym, jak się wydostać z opałów; i to właśnie w tym momencie ja, jejcer hore, przyszedłem do niego i pytam:

— Czego tu sterczysz, jak spętane ciele czekające na rzeź? Otwieraj okno i uciekaj.

— Ale jak? — on na to. — Bez ubrania i butów?

— Jest dosyć ciepło — mówię. — Nie zachorujesz. Obyś tylko znalazł się w Piaskach, a tam już sobie poradzisz. Wszystko lepsze niż zostać z tą wiedźmą.

Jak zwykle usłuchał mojej rady. Wstał z łóżka, otworzył na oścież okno i zaczął schodzić. Zadbalem jednak o to, aby na jego drodze pojawiła się przeszkoda: stracił grunt pod nogami i upadł, skręcając sobie nogę w kostce. Przez chwilę leżał nieprzytomny na ziemi. Ale ocuciłem go.

Zdołał się jakoś podnieść. Była bardzo ciemna noc. Boso, na pół nagi, kulejąc, ruszył drogą prowadzącą do Piask.

W tym samym czasie Glike Genendł zajęta była czym innym. Usłyszawszy chrapanie córki i zięcia, dochodzące z ich sypialni, wstała, narzuciła na siebie szlafrok i na palcach pobiegła do sypialni ukochanego. Ku swemu zdumieniu zobaczyła, że łóżko jest puste, a okno otwarte. Zanim jednak zdążyła wrzasnąć, pojawiłem się przed nią.

— No i jaki to ma sens? — zapytałem. — Czy to zbrodnia, jeśli ktoś wstanie z łóżka? Niczego nie ukradł. To ty właściwie dokonałaś kradzieży i jeśli go złapią, powie o pieniądzach, które mu zabrałaś. To ty będziesz cierpiała.

— W takim razie co mam robić? — ona na to.

— Nie widzisz? Ukradnij córce szkatułkę z biżuterią, a potem zacznij krzyczeć. Jeśli go złapią, wsadzą go do więzienia. Tym sposobem dokonasz zemsty.

Pomysł ten trafił jej do przekonania i posłuchała mojej rady. Wystarczyło parę okrzyków, żeby wszyscy się obudzili. Natychmiast okazało się, że brakuje klejnotów, a wynika z tego wrzawa sprowadziła sąsiadów. Oddział mężczyzn wyposażonych w latarnie i pałki ruszył za złodziejem.

Widząc, że szlachetny młody altruista jest dogłębnie wstrząśnięty postępkom gościa, skorzystałem z okazji, żeby z niego szydzić.

— Widzisz, co się dzieje, kiedy sprowadzasz kogoś do domu — wytknąłem mu.

— Póki żyję, żaden przybłęda nie przekroczy mojego progu — obiecał.

Tymczasem mężczyźni przeszukiwali ulice w pogoni za zbiegiem. Dołączyli do nich nocni wartownicy i żandarmi. Nietrudno było ująć reb Jomtowa, kulejącego i na pół nagiego. Znalaziono go, jak siedział pod jakimś balkonem, na próżno usiłując nastawić zwichniętą kostkę. Natychmiast zaczęli go okładać pałkami, mimo że zapewniał o swojej niewinności.

— No pewnie — śmiali się, — niewinni ludzie zawsze wychodzą z domu przez okno w samym środku nocy.

Pojawiła się młoda gospodyni i zaczęła obrzucać go wszelkimi możliwymi wyzwiskami: — Złodziej! Morderca! Zbój! Gdzie są moje klejnoty? Moje klejnoty!

Powtarzał uparcie, że nic nie wie na temat kradzieży, ale na próżno. Strażnicy wrzucili go do celi i spisali nazwiska świadków.

Glike Genendł wróciła do łóżka. Cóż to za rozkosz leżeć pod ciepłą kołdrą, kiedy wróg gnije w więzieniu. Podziękowała Bogu za łaskę, jaką ją obdarzył i obiecała przekazać osiemnaście groszy na dobroczynność. Ponieważ cała ta bieganina ją wyczerpała, pragnęła teraz zasnąć, ale ja przyszedłem do niej i nie dałem jej odpocząć.

— Z czego się tak znowu cieszyć? — mówię. — To prawda, jest w więzieniu, ale teraz nie uzyskasz od niego rozwodu. Powie wszystkim, czym jest mężem i ty, i cała twoja rodzina zostaniecie okryci hańbą.

— Co mam robić? — pyta.

— Wysłał ci list rozwodowy przez posłańca z Janowa. Jedź do Janowa i zdobądź te dokumenty. Po pierwsze, pozbędziesz się go. Po drugie, jeśli cię tu nie będzie, nie wezwą cię na świadka. A jeśli nie będzie cię na rozprawie, kto uwierzy w jego gadanie? Wrócisz, kiedy sprawa przycichnie.

Moje argumenty ją przekonały i zaraz następnego ranka wstała o świcie i wyjaśniła córce, że udaje się do Warszawy na spotkanie z mężem, reb Jomtowem. Jako że jej córka była dalej w szoku, nie stawiała specjalnego oporu.

Glike Genendł właściwie chciała zwrócić córce skradzioną biżuterię, ale ja ją od tego odwiódłem.

— Po co się spieszyć? — mówię. — Jeśli klejnoty się znajdą, wypuszczą tego kłamcę, a komu to zaszkodzi jak nie tobie? Lepiej niech zostanie za kratkami. Dostanie nauczkę, że nie igra się z taką zacną i uczciwą niewiastą jak ty.

Krótko mówiąc Glike Genendł wyruszyła do Janowa z zamiarem osobistego spotkania się z posłańcem lub przynajmniej dowiedzenia się, gdzie go można znaleźć. Kiedy pojawiła się na rynku, wszyscy utkwili w niej wzrok. Wiedzieli już dobrze o posłańcu i liście rozwodowym. Udała się do rabina. Rabinowa potraktowała ją obcesowo; córka rabina, która ją wpuściła do środka, nie przywitała się z nią ani nie poprosiła, by usiadła. Ale tak czy owak rabin powiedział jej, jak sprawa się przedstawia: posłaniec przybył do Janowa, aby wręczyć jej list rozwodowy, ale nie znalazłszy jej w miasteczku — wyjechał. Rabin pamiętał, że posłaniec miał na imię Lejb i pochodził z Piask. Miał jasne włosy i rudą brodę. Kiedy Glike Genendł to usłyszała, natychmiast wynajęła furę, która miała ją zabrać do Piask. Dłuższe pozostawanie w Janowie nie miało sensu, bowiem ludzie jej unikali.

Tymczasem reb Jomtow wciąż przebywał w areszcie. Siedział w towarzystwie złodziei i morderców. Łachmany pełne robactwa stanowiły jego jedyne odzienie. Dwa razy dziennie dostawał suchy chleb i wodę. W końcu nadszedł dzień rozprawy i reb Jomtow stanął przed sędzią, człowiekiem gwałtownym, który ledwo słyszał.

— No to co z tymi klejnotami? — burknął sędzia. — Ukradłeś je?

Reb Jomtow twierdził, że jest niewinny. Niczego nie ukradł.

— No dobrze, nie jesteś złodziejem. W takim razie dlaczego uciekłeś z domu w środku nocy?

— Uciekałem od żony — wyjaśnił reb Jomtow.

— Jakiej żony? — zapytał ze złością sędzia.

Reb Jomtow zaczął cierpliwie tłumaczyć: teściowa człowieka, w domu którego się zatrzymał, jest nikim innym tylko jego żoną... Ale sędzia nie dał mu dalej mówić.

— Niezła historia — zawołał. — Niewątpliwie jesteś skończonym kłamcą!

Mimo to kazał wezwać Glike Genendł. Jako że ta wyjechała już z miasta, przyszła jej córka i zeznała, że to prawda, iż jej matka jest mężatką, lecz jej mężem jest wielce szanowany człowiek z Jerozolimy, słynny mędrzec reb Jomtow. Ściśle mówiąc, właśnie pojechała, żeby się z nim spotkać.

Więzień spuścił wzrok i wykrzyknął:

— To ja jestem reb Jomtow!

— Ty i reb Jomtow! — zawołała kobieta. — Wszyscy wiedzą, że nazywasz się reb Salomon Symeon.

Po czym znowu zaczęła go przeklinać w najbardziej wyszukany sposób.

— Starczy już tej komedii — powiedział stanowczo sędzia. — Mamy tu już dosyć łajdaków. Nie potrzeba nam nowych. Po czym zarządził, aby więźniowi wymierzono dwadzieścia pięć razów, a następnie powieszono.

Lubelscy Żydzi szybko dowiedzieli się o wyroku: jeden z nich, w dodatku uczony mąż, miał zostać powieszony. Wysłali więc delegację do gubernatora, aby wstawiła się za więźniem. Ale tym razem nie udało im się niczego wskórać.

— Dlaczego wam Żydom zawsze tak zależy na wykupywaniu waszych złoczyńców? — zapytał gubernator. — My wiemy, jak postępować z naszymi, ale wy pozwalacie waszym ujść cało. Nic dziwnego, że jest wśród was tylu rzezimieszków. — Po czym poszczuł delegację psami, a reb Jomtow pozostał w więzieniu.

Leżał w swojej celi z ręką i nogą przykutą łańcuchem, czekając na egzekucję. Gdy przewracał się tak na wiązce słomy, myszy wyskakiwały ze szpar w ścianach i gryzły go po całym ciele. Przeklinał je i odganiał, a one pospiesznie zmykały do kryjówki. Na zewnątrz świeciło słońce, ale w jego lochu było zawsze ciemno jak w nocy. Uznał, że jego położenie przypomina los proroka Jonasza, kiedy znajdował się on głęboko w brzuchu wieloryba. Otworzył usta do modlitwy, lecz ja, Szatan Niszczyciel, przybyłem do niego i powiedziałem: — Czy jesteś aż tak głupi, że wciąż wierzysz w moc modlitwy? Pamiętasz jak Żydzi modlili się w czasie czarnej zarazy, a mimo to padali jak muchy? A co powiesz o tysiącach zarżniętych przez Kozaków? Czyż nie modlono się dosyć, kiedy przybył Chmielnicki? Jaka była odpowiedź na te błagania? Dzieci grzebano żywcem w ziemi, niewinne niewiasty gwałcono, a potem rozpruwano im brzuchy i zaszywano w nich koty. Dlaczego Boga miałyby obchodzić twoje

modlitwy? On ani nie słyszy, ani nie widzi. Nie ma żadnego sędziego. Nie ma żadnego sądu.

Tak właśnie z nim rozmawiałem, na modłę filozofów, i wkrótce jego usta straciły chęć do modlitwy.

— Jak mogę siebie ocalić? — zapytał. — Co mi radzisz?

— Przechrzczij się — powiedziałem. — Niechaj księża pokropią cię święconą wodą. W ten sposób uratujesz życie i w dodatku dokonasz zemsty. Chcesz chyba zemścić się na swoich wrogach? A kimże są twoi wrogowie jak nie Żydami, którzy chcą cię zobaczyć na szubienicy z tego tylko powodu, że jakaś Żydówka wymyśliła kłamstwa, by cię zniszczyć?

Słuchał uważnie tych mądrych słów i kiedy dozorca więzienny przyniósł mu jedzenie, reb Jomtów oznajmił, że pragnie zmienić wiarę. Zawiadomiono księży, po czym przysłano mnicha, aby porozmawiał z więźniem.

— Co sprawia, że chcesz zostać chrześcijaninem? — zapytał mnich. — Czy tylko po to, by ratować własną skórę? Czy też może Jezus Chrystus wstąpił do twego serca?

Stało się to w czasie snu, wyjaśnił reb Jomtów. Miał wizję, że przyszedł do niego dziadek. Ów święty mąż powiedział mu, że Jezus znajduje się pośród najbardziej wychwalanych postaci w niebie i zasiada z patriarchami w raj. Kiedy tylko słowa reb Jomtowa dotarły do biskupa, więźnia zabrano z celi, umyto i uczesano. Ubrany w czyste szaty, został umieszczony w towarzystwie mnicha, który miał go uczyć katechizmu, a słuchając o znaczeniu hostii i krzyża, zjadał wyborne potrawy. Co więcej, najlepsze rodziny z okolicy przychodziły do niego w odwiedziny. W końcu zaprowadzono go na czele procesji do klasztoru i ochrzczono. Teraz był pewien, że jego udreki się skończyły i że wkrótce zostanie uwolniony. Tymczasem zaprowadzono go z powrotem do celi.

— Kiedy jest się skazanym na śmierć — wyjaśnił mu ksiądz — nie ma ratunku. Ale nie pogrążaj się w smutku; Zjawisz się na tamtym świecie z czystą duszą.

Teraz reb Jomtów zdał sobie sprawę, że utracił oba światy. Smutek jego był tak wielki, że zaniemówił i nie powiedział ani jednego słowa, kiedy kat zaciskał mu stryczek na szyi.



## IV

W drodze z Janowa do Piask Glike Genendł zatrzymała się u krewnej w małym miasteczku. Spędziła tam szabat, a potem Szawuot. Pomagała gospodyni ozdabiać okna na święta zjadając kruche ciasteczka. W dzień po święcie wyruszyła w dalszą drogę do Piask.

Oczywiście nie przyszło jej do głowy, że jest już wdową. Ani też, zapewniam was, że zmierza do pułapki, pułapki, którą ja na nią zastawiłem. Podróżowała niespiesznie, zatrzymując się po drodze w karczmach, objadając się biszkoptami i popijając słodką nalewkę. Nie zapominała o woźnicy, jemu także kupowała biszkopty i wódkę, a on w dowód wdzięczności umościł jej wygodne legowisko na wozie i pomagał jej wchodzić i schodzić. Przyglądał jej się pożądliwie, ale ona nie mogła się zdobyć na zażyłość z takim prostakiem.

Pogoda była ładna. Pola zieleniły się pszenicą. Bociany kołowały nad głowami, skrzeczały żaby, cykały świerszcze; wszędzie roiło się od motyli. W nocy, kiedy wóz toczył się przez głęboki las, Glike Genendł rozpięła się na słomie jak królowa i rozpięła nieco bluzkę, aby lekki wietrzyk chłodził jej skórę. Była daleko posunięta w latach, ale jej ciało broniło się przed starością i żądza wciąż płonęła w niej jasnym płomieniem. Już planowała, że znajdzie sobie nowego męża.

Aż wreszcie pewnego ranka dotarła do Piask o tej porze, kiedy kupcy otwierali sklepy. Trawa była jeszcze mokra od rosy. Bose dziewczęta zmierzwały do lasu z płachtami i sznurkiem do drzewa na opał i z koszami na grzyby. Glike Genendł wyszukała sędziego rabinatu i zapytała go, czy wie coś na temat jej rozwodu. Ten przyjął ją serdecznie, wyjaśniając, że list rozwodowy został przez niego osobiście spisany i podpisany w jego obecności. Dokument znajdował się teraz w rękach Lejba Furmana. Kiedy Glike Genendł zaproponowała, żeby posłano po niego szamesa, sędzia odparł:

— Dlaczego nie pójdziesz do niego do domu? Sama z nim wszystko ustalisz.

Glike Genendł udała się więc do domu Lejba, czyli chatki przycupniętej na szczycie wzgórza za jatkami. Dach domu pokryty był przegniłą słomą, a w oknach zamiast szyb, wisiały krowie pęcherze. Chociaż było lato, ziemia wokół domu była wilgotna i śliska, co nie przeszkadzało jednak obszarpanym,

na pół nagim dzieciakom, które zabawiały się starymi miotłami i piórami. Wynędzniałe kozy, utyłane błotem jak świnie, biegały w tę i z powrotem.

Lejb Furman nie miał żony ani dzieci. Był niskim, barczystym mężczyzną o wielkich dłoniach i stopach; miał gułę na czole i ognistorudą brodę. Ubrany był w kubrak i łapcie; na głowie nosił podszewkę od czapki, spod której sterczały kępki żółtych włosów.

Jego widok napęłnił Glike Genendł odrazą, ale mimo to powiedziała:

— To wy jesteście Lejb?

— A kto? Może wy? — odparł zuchwale.

— Macie list rozwodowy?

— A co to was obchodzi? — zapytał.

— Jestem Glike Genendł. Wypisano mi rozwód.

— To wy tak twierdzicie — on na to. — Skąd mogę wiedzieć, że mówicie prawdę? Nie macie przecież imienia wypisanego na czole.

Glike Genendł zrozumiał, że trudno się będzie z nim dogadać, powiedziała:

— O co chodzi? Zależy wam na pieniądzach? Nie martwcie się, dobrze wam zapłacę.

— Przyjdźcie wieczorem — odrzekł.

A kiedy zapytała, czy to konieczne, odparł, że jeden z jego koni właśnie zdycha i w związku z tym nie jest w stanie dłużej rozmawiać. Poprowadził ją do wąskiego zaułka. Leżała tam wycieńczona szkapa o skórze pokrytej wrzodami; z pyska toczyła się jej piana, a brzuch wznosił się i opadał jak miech kowalski. Chmary much brzęczały nad zdychającym stworzeniem, a w górze kracząc kołowały wrony w oczekiwaniu na żer.

— No dobrze, wrócę wieczorem — powiedziała Glike Genendł z uczuciem kompletnego obrzydzenia. Jej nogi w wysokich, zapinanych na guziczki bucikach poniosły ją jak mogły najszybciej od tych ruin i nędzy.

Cóż, tak się złożyło, że poprzedniej nocy złodzieje z Piask wyjeżdżali w interesach; zajechawszy do Łącznej furami i bryczkami, opróżnili sklepy do cna. Jako że był to akurat wieczór poprzedzający dzień targowy, nie brakowało towaru do zabrania. Ale ten bogaty łup nie zadowolił zbójów; włama-

li się także do kościoła i obłupili go ze złotych łańcuchów, koron, talerzy i klejnotów. Ogołocili figury świętych. Następnie pospiesznie umknęli do domu i prawdę powiedziawszy, koń, którego końca Glike Genendł była świadkiem, stanowił ofiarę tej wyprawy; został wysmagany tak bezlitośnie podczas ucieczki, że padł, kiedy tylko rzezimieszki dotarły na miejsce.

Oczywiście Glike Genendł nic o tym nie wiedziała. Poszła do gospody i zamówiła pieczoną kurę. Aby zapomnieć o widoku zdychającego konia, wypłała pół kwarty miodu. Rzecz jasna zawarła znajomość ze wszystkimi mężczyznami, wypytyując każdego o nazwisko, rodzinne miasto i interesy prowadzone w tych stronach. Siłą rzeczy mówiła także o swym szlachebnym pochodzeniu, znajomości hebrajskiego, bogactwie, klejnotach, umiejętności gotowania, szycia, szydełkowania. Potem, kiedy obiad się skończył, poszła do swojego pokoju, żeby się zdrzemnąć.

Kiedy się obudziła, zobaczyła, że słońce zachodzi a krowy wracają z pastwisk do domów. Z kominów w miasteczku wydobywał się dym — to gospodynie przygotowywały wieczorny posiłek.

Raz jeszcze Glike Genendł udała się ścieżką wiodącą do chaty Lejba. Kiedy weszła do środka, zostawiła za sobą szkarłatny zmierzch i znalazła się pośród nocy tak ciemnej jak wnętrze komina. Tylko jeden mały knot palił się w skorupie z olejem. Ledwo dojrzała Lejba, który siedział okrakiem na przewróconym wiadrze. Naprawiał siodło. Lejb sam nie był złodziejem, służył im jedynie za woźnicę.

Glike Genendł od razu przeszła do rzeczy, ale on na nowo zaczął biadolić.

— Skąd mam wiedzieć, że to wasz rozwód?

— Proszę weźcie te dwa guldeny i przestańcie gadać bzdury — odparła.

— Nie chodzi o pieniądze — mruknął.

— To o co właściwie chodzi?

Zawahał się przez chwilę.

— Jestem przecież mężczyzną — odparł — a nie psem. Lubię to samo co inni. — Po czym mrugnął lubieżnie okiem i wskazał na ławę pokrytą słomą, która służyła mu za łóżko. Glike Genendł niemal zemdląła z obrzydzenia, ale ja, książę ciemności, pospiesznie szepnąłem jej do ucha:

— Nie warto się targować z takim ciemniakiem.

Zacząła go błagać, aby najpierw dał jej list rozwodowy. Chodzi tylko o zmniejszenie grzechu. Czyż nie widzi, że lepiej będzie dla nich obojga, jeśli pójdzie do łóżka z rozwódką, a nie mężatką? Ale on był na to za sprytny.

— O, nie — odparł — jak tylko dam ci papiery, zmienisz zdanie.

Zamknął drzwi na skobel i zdmuchnął płomyk. Chciała krzyczeć, ale ją stłumiłem jej okrzyk. Co dziwniejsze, bała się tylko częściowo, częściowo zaś pałała pożądaniem. Lejb pociągnął ją na słomę; cuchnął skórą i końmi. Leżała tak w milczeniu, zdumiona.

— Że też coś takiego mogło mi się przytrafić! — dziwiła się sama sobie.

Nie wiedziała, że to ja, zły duch, doprowadziłem jej krew do wrzenia i pomieszałem rozum. Na zewnątrz już czyhała na nią zguba.

Nagle rozległ się tętent koni. Drzwi rozwarły się jakby od huraganu i do izby wpadli żandarmi i strażnicy z latarniami w rękach. Stało się to tak szybko, że cudzołźnicy nie zdążyli nawet przerwać tego, co robili. Glike Genendł wydała z siebie okrzyk i zemdląła.

Najazdem dowodził dziedzic z Łęcznej, który przybył ze swoimi pachółkami, aby ukarać złodziei. Jego ludzie wtargnęli do domów wszystkich znanych przestępców. Towarzyszył im donosiciel. Lejb ugiął się zaraz po pierwszym ciosie i wyznał, że jest woźnicą bandy. Dwóch żołnierzy wyprowadziło go na zewnątrz, ale zanim odjechali, jeden z nich zapytał Glike Genendł: — A ty, dziwko, jak się nazywasz?

I kazał ją przeszukać.

Oczywiście protestowała, mówiąc, że nic nie wie o złupieniu Łęcznej, ale donosiciel powiedział: — Nie słuchajcie tej kokoty! Sięgnął jej ręką za gorset i wyciągnął stamtąd prawdziwy skarb: biżuterię córki i woreczek ze złotem reb Jomtowa. W świetle pochodni dukaty, diamenty, szafiry i rubiny błyszcząły złowrogim blaskiem. Glike Genendł nie mając już wątpliwości, że spotkało ją nieszczęście, rzuciła się do stóp dziedzica błagając o łaskę. Ale mimo próśb i zaklęć zakuto ją w kajdany i zabrano wraz w innymi złodziejami do Łęcznej.

Na rozprawie przysięgała, że klejnoty należą do niej. Jednak pierścionki nie pasowały na jej palce, a bransolety na nadgarstki. Zapytano ją, ile jest pieniędzy w sakiewce, a ona nie wiedziała, bowiem reb Jomtow miał tam

tureckie monety. Kiedy prokurator chciał się dowiedzieć, skąd dostała dukaty, odparła:

— Od męża.

— A gdzie jest twój mąż?

— W Lublinie — palnęła bezmyślnie — w więzieniu.

— Mąż jest złodziejaszkiem — stwierdził prokurator — a ona dziwką. Biżuteria wyraźnie nie jest jej własnością, w dodatku nie wie nawet, ile pieniędzy znajduje się w jej posiadaniu. Czy ktoś ma wątpliwości co do wyroku?

Wszyscy stwierdzili, że nie mają żadnych wątpliwości.

Glike Genendł uświadomiła sobie teraz, że jej szanse są znikome i przyszło jej na myśl, że jedynym wyjściem jest złożenie oświadczenia, że ma w Lublinie córkę i zięcia i że biżuteria należy do córki. Ale wtedy ja się wtrąciłem: — Po pierwsze ci nikt nie uwierzy. A jeśli nawet uwierzą, to pomyśl, co się stanie. Sprowadzą tutaj córkę, a ona dowie się, że nie tylko ukradłaś jej klejnoty, ale w dodatku grzeszyłaś z tym parszywcem jak zwykła ladacznicą. Ta hańba ją zabije i w ten sposób i tak zostaniesz ukarana. Co więcej, reb Jomtow wyjdzie na wolność i uwierz mi, będzie śmiać się z twojego położenia. Nie, lepiej siedź cicho. Prędzej zgiń niż ulegnij własnym wrogom.

I choć moja rada prowadziła ją do zguby, nie stawiała oporu, bowiem jak dobrze wiadomo, moi ludzie są próżni i za próżność gotowi są oddać życie. Bo czymże jest pogoń za przyjemnością jak nie pychą i ułudą?

I tak to Glike Genendł została skazana na szubienicę.

W noc przed egzekucją przyszedłem do niej i zachęcałem, aby się ochrzciła, tak jak to zrobiłem w przypadku nieżyjącego już i zapomnianego przez wszystkich reb Jomtowa, ale ona odparła:

— Czy to większy honor mieć za matkę przechrztę niż dziwkę? Nie, pójdę na śmierć jako dobra Żydówka.

Nie sądźcie, że nie dokładałem wszelkich starań! Prosiłem ją jak mogłem, ale na niewiastę — jak wiadomo — przypada dziewięć miarek uporu.

Następnego dnia w Łęcznej wzniesiono szubienicę. Kiedy miejscowi Żydzi dowiedzieli się, że ma zostać powieszona córa Izraela, ogarnęła ich gorączka i poszli się za nią wstawić u dziedzica. Ale jako że ograbiony został kościół, dziedzic nie chciał skorzystać z prawa łaski. Z sąsiednich terenów zjechali

zatem chłopci i szlachta i zebrali się na miejscu egzekucji w furach i karetach. Chrześcijańscy rzeźnicy zachwalali kielbasy. Żłopano piwo i wódkę.

Dla Żydów zapadła czarna noc, pozamykali więc okiennice w środku dnia. Tuż przed egzekucją wśród chłopów niemalże wybuchła bójka, kto stanie najbliżej szubienicy, aby zdobyć kawałek stryczka na szczęście.

Najpierw powieszono złodziei, a wśród nich Lejba Furmana. Potem na stopnie wprowadzono Glike Genendł. Zanim nałożono jej kaptur na głowę, zapytano, jakie jest jej ostatnie życzenie, a ona poprosiła, aby wezwano rabinę, który by wysłuchał jej spowiedzi. Rabin przybył i Glike Genendł wyznała mu całą prawdę. Chyba po raz pierwszy życiu nie kłamała. Rabin odmówił z nią spowiedź i obiecał raj.

Wydaje się jednak, że łeczycki rabin miał niewielkie wpływy w niebie, bowiem zanim Glike Genendł i reb Jomtow zostali wpuszczeni do raju, musieli odpokutować za każdy grzech. Tam nie ma żadnej taryfy ulgowej.

\* \* \*

Kiedy opowiedziałem tę historię Lilit, bardzo się ubawiła i postanowiła odwiedzić tę parę grzeszników w gehennie. Poleciałem z nią do czyścica i pokazałem, jak wiszą zaczepieni za języki, co stanowi przepisową karę dla kłamców.

Pod ich stopami znajdowały się kotły pełne rozpalonych, gorących węgli. Diabły chłostały ich ciała ognistymi biczami. Zawołałem do grzeszników: — No i kogo oszukaliście tymi kłamstwami? Cóż, tylko sobie możecie dziękować. Wasze wargi przędły nić, a usta tkwały sieć. Bądźcie jednak dobrej myśli. Wasz pobyt w gehennie potrwa tylko dwanaście miesięcy, włączając w to szabat i święta.

# Cień kołyski

## I

### Przybycie doktora Jareckiego

Ni z tego ni z owego pewnego dnia do miasta przybył nowy doktor. Przyjechał wynajętą furą z całym, mieszczącym się w jednym koszu dobytkiem, stertą obwiązanych rzemykiem książek, papugą w klatce i pudłem. Miał trzydzieści parę lat, był niski, smagły, o czarnych oczach i wąsach, i wyglądałby na Żyda, gdyby jego nos nie był zadarty jak u Polaka. Ubrany był w elegancką staromodną pelisę, getry i kapelusz z szerokim rondem jak te noszone przez Cyganów, sztukmistrzów i wędrownych druciarzy. Stojąc wraz ze swoim dobytkiem na samym środku rynku, zwrócił się do Żydów łamanym jidysz, jakim czasami mówią goje:

— Hej, wy tam, Żydzi, chcę tu mieszkać. Ja doktor. Doktor Jarecki... Boleć głowa, co? Pokazać język!

— Skąd pan jest? — zapytali Żydzi.

— Z daleko, z bardzo daleko!

— Szaleniec! — zawyrokowali Żydzi. — Szalony doktor!

Zamieszkał w domu w bocznej uliczce, w pobliżu pól. Nie miał ani żony, ani mebli. Kupił żelazne łóżko i rozklekotany stolik. Stary doktor, Chwaszczyński, liczył sobie pięćdziesiąt groszy za wizytę i pół rubla za odwiedziny u chorych poza miasteczkiem, natomiast doktor Jarecki brał tyle, ile mu dawano, i nie licząc wpychał pieniądze do kieszeni. Lubił żartować z pacjentami. Wkrótce w mieście utworzyły się dwie frakcje: tych, którzy twierdzili, że jest szarlatanem i nie potrafi odróżnić stopy od łokcia, oraz tych, którzy zaklinali się, że jest znakomitym lekarzem. Jedno spojrzenie na pacjenta —

twierdzili jego zwolennicy — i diagnoza gotowa. Przywraca umierających do życia.

Aptekarz, naczelnik miasta, rejent i całe naczalstwo trzymali z doktorem Chwaszczyńskim. Jako że Jarecki nie chodził do kościoła, ksiądz stwierdził, że nie jest chrześcijaninem, ale bezbożnikiem, prawdopodobnie Tatarem i poganinem. Niektórzy uważali, że może nawet truje ludzi. Niewykluczone, że jest czarownikiem. Ale ubodzy Żydzi z ulicy Mostowej i Piasków hołubili doktora Jareckiego. Chłopi także zaczęli korzystać z jego porad i wkrótce doktor Jarecki umeblował sobie gabinet i najął służącą. Dalej jednak chodził byle jak ubrany i nie miał przyjaciół. Samotnie spacerował wysadzaną dębami aleją Zamojską. Samotnie robił codzienne zakupy, bowiem jego służąca była głuchoniema i nie potrafiła ani pisać, ani się targować. Właściwie rzadko kiedy w ogóle wychodziła z domu.

Wkrótce rozeszła się wieść, że służąca jest w ciąży. Jej brzuch zaczął się powiększać, ale w końcu znowu zrobił się płaski. Oskarżano Jareckiego zarówno o ciążę, jak i poronienie. W klubie, gdzie zbierało się naczalstwo, zastanawiano się, czy nie postawić doktora przed sądem, ale prokurator był nieśmiałym człowiekiem i bał się przeszywającego spojrzenia czarnych oczu Jareckiego i jego diabelskiego uśmiechu pod najeżonym wąsem. Co więcej, Jarecki posiadał dyplom lekarski uniwersytetu w Petersburgu, a ponieważ nie bał się nikogo, możliwe, że miał chody w wyższych sferach. Kiedy odwiedzał żydowskie domy, kpił z doktora Chwaszczyńskiego, aptekarza nazywał pijawką, złorzeczył na gubernatora, naczelnika powiatu, naczelnika miasta i naczelnika poczty, wymyślając im od złodziei, pucybutów, lokajów. Nauczył nawet brzydkich słów swoją papugę. Jak można było z nim zaczynać wojnę? Do czego by to doprowadziło? Jego specjalnością były trudne porody. Jeśli trzeba, robił operację. Bez zbędnych ceregieli przecinał nożem wrzody i czyraki. Nazywano go rzeźnikiem, ale mimo to jego pacjenci wracali do zdrowia. Doktor Chwaszczyński był stary, ręce mu się trzęsły, głowa kiwała na boki, niedosłyszał. Sam często chorował i ludzie musieli chodzić do Jareckiego. Kiedy naczelnik miasta był jego pacjentem, doktor Jarecki zwracał się do niego po żydowsku, jakby ów dygnitarz był Żydem,

— Boleć głowa, he? Pokazać język! — i połaskotał naczelnika pod pachą.

Doktor jeszcze bardziej skandalicznie zachowywał się w stosunku do kobiet. Zanim zdążyły powiedzieć, co im dolega, kazał się rozbierać. Dmu-



chał im dymem z fajki prosto w twarz. Podczas poboru do wojska, kiedy doktor Chwaszczyński był chory, Jarecki został asystentem lekarza wojskowego, starszego pułkownika z Lublina, który zawsze był pijany. Doktor Jarecki dał Żydom do zrozumienia, że za sto rubli wyda zaświadczenie na niebieskim papierze oznaczające zwolnienie w czasie pokoju, za dwieście — na białym oznaczające zupełne zwolnienie, za dwadzieścia pięć zaś odroczenie służby co najmniej o rok. Matki ubogich rekrutów przychodziły z płaczem do Jareckiego, a ten opuszczał im cenę. Tego roku prawie żadnego Żyda nie wzięto do wojska. Ktoś wysłał do Lublina donos i skutkiem tego do miasta przysłano komisję wojskową, aby zbadała sprawę. Doktor Jarecki został jednak uniewinniony. Niewątpliwie przekupił ich lub zupełnie omamił. W żydowskich domach mawiał: „Kacap to świnia, no nie? Cuchnie ten Wania!”

Po śmierci doktora Chwaszczyńskiego szlachta zaczęła zabiegać o względy doktora Jareckiego. Naczalstwo zawarło z nim pokój, aptekarz zaprosił na herbatkę. Damy chwaliły jego talenty połoźnicze.

Pani Wojciechowska, zażywna jejmość w czarnej chuście na głowie, która co rano i wieczór chodziła do kościoła, trzymając w dłoni wytłaczany złotem modlitewnik, pełniła w miasteczku rolę chrześcijańskiej swatki. Miała całą listę kawalerów i panien na wydaniu. Odwiedzała co lepsze domy. Chwalała się, że kojarzy małżeństwa przy pomocy anioła, który ukazuje się jej w snach, ujawniając, kto jest komu przeznaczony. Jak na razie żadna ze skojarzonych przez nią par nie kłóciła się, nie żyła w separacji, ani nie okazała się bezdzietna.

Pani Wojciechowska przysłała do doktora Jareckiego z propozycją wysoce korzystnej partii. Panna Helena pochodzi z jednej z najświetniejszych rodzin w Polsce. Jej owdowiała matka jest właścicielką folwarku leżącego tuż za miastem. Chociaż panna Helena nie jest już pierwszej młodości, wciąż żyje samotnie; nie z braku kandydatów na męża, jak zapewniła doktora Jareckiego pani Wojciechowska, ale dlatego, że była zbyt wybredna. Przebierała i wybrzydzała tak długo, że pozostała panną. Helena gra pięknie na pianinie, mówi po francusku i czyta poezję. Znana jest z miłości do zwierząt, w błękitnym pokoju trzyma akwarium ze złotymi rybkami oraz chowa w swej wiejskiej posiadłości parę papużek. W jej stajni znajduje się osiołek zakupiony od tureckiego handlarza lukrecją. Pani Wojciechowska zaklinała się doktorowi Jareckiemu, że widziała we śnie jak kłęczą obok panny Heleny przed ołta-

rzem w kościele. Nad ich głowami wisiała aureola promieniująca światłem — nieomylny znak, że są sobie przeznaczeni. Doktor Jarecki wysłuchał jej cierpliwie.

— Kto panią przysłał? — zapytał kiedy skończyła. — Matka czy córka?

— O słodki Jezu! Żadna z nich nawet nic nie podejrzewa.

— Po co mieszać do tego Jezusa? — zapytał doktor Jarecki. — Jezus był tylko parszywym Żydem...

Pani Wojciechowska natychmiast zalała się łzami.

— Łaskawy panie, co pan mówi? Niechaj Bóg Panu wybaczy!

— Nie ma Boga!

— A co jest?

— Robaki...

— Nieszczęsna duszo, jakże mi cię żal! Niech Bóg zlituje się nad panem! On jest miłościwy. Lituje się nawet nad tymi, którzy go obrażają...

Pani Wojciechowska wyszła, skreśliwszy doktora Jareckiego ze swojej listy. Wkrótce potem dostała napadu czkawki i minęło sporo czasu, nim atak minął.

## II

### Helena szuka zemsty

Pani Wojciechowska opowiedziała tę historię swojej przyjaciółce, pani Markiewicz, która z kolei przekazała ją w sekrecie swojej teściowej, pani Król. Służąca pani Król powtórzyła ją dojarce pracującej w folwarku, a ta powiedziała o wszystkim Helenie, podczas gdy panienska karmiła osiołka chlebem i kostkami cukru. Kiedy panna Helena, i tak zwykle blada, dowiedziała się o tym zajściu, zrobiła się biała jak ów cukier. Pobiegnęła do matki krzycząc: — Mamo, nigdy ci tego nie wybaczę, nawet na łożu śmierci!

Dziedziczka zaprzeczyła, że wie cokolwiek o tej sprawie, ale nie zdołała przekonać panny Heleny, która pobiegła do swojej błękitnej sypialni i kazała pokojówce usunąć akwarium. Chciała być całkiem sama, nawet bez złotych rybek. Zaryglowała drzwi, opuściła story i zaczęła przechadzać się po pokoju.

Panna Helena wiele w życiu wycierpiała. Dzień, w którym jej ojciec powiesił się na jabłoni w sadzie, był najstraszniejszym dniem w jej życiu, ale nawet tamto wydarzenie było łatwiejsze do zniesienia niż obecna sytuacja. Doktor Jarecki, ten barbarzyńca, ten antychryst, ten plebejusz, wymierzył jej policzek, pograżył w smutku jej duszę. Skoro wie o tym nawet jej służąca, wszyscy już pewnie plotkują na ten temat. To prawda, jej matka przysięgała, że nie wysyłała swatki, ale kto by w to uwierzył? Ona, Helena, została okryta hańbą. Pewnie cała okolica się z niej śmieje.

Ale co może na to poradzić? Czyż ma zniknąć tak zupełnie, żeby już nikt nigdy o niej nie usłyszał? Czy ma utopić się w stawie? Czy powinna zemścić się na tym szarlatanem, Jareckim? Ale jak? Gdyby była mężczyzną, wyzwalałaby go na pojedynek, ale co może zrobić kobieta? Serce panny Heleny ogarnięte było furią. Honor stanowił jedyną rzecz, jaka jej pozostała. Teraz i to jej odebrano. Została pohańbiona. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko umrzeć.

Przestała jeść. Nie karmiła już papużek i osiołka. Nie zmieniała wody w akwariu. Z natury szczupła, jeszcze bardziej wychudła: smukła panna o bladej twarzy, wysokim czole i spłowiałych włosach, dawniej koloru złota, teraz słomy. Uwidocznily się siwe włosy. Skóra zrobiła się przezroczysta, siateczka błękitnych żyłek pokrywała jej skronie. Niedożywienie i utrapienia odebrały jej siły, spędzała teraz całe dni leżąc na otomanie. Nawet boska poezja Słowackiego przestała ją interesować.

Kiedy dziedziczka uzmysłowiła sobie, że jej jedyna córka powoli gaśnie, postanowiła działać. Ale Helena nie zgodziła się na odwiedziny u ciotki w piotrzkowskiej guberni. Nie chciała także skorzystać z porady lubelskich lekarzy i wakacji w nałęczowskim uzdrowisku. Noc w noc przewracała się bezsennie w łóżku, obmyślając różne sposoby zemsty na Jareckim. Gorąca krew jej ojca dziedzica i innych szlachetnie urodzonych przodków nie dawała jej spokoju. Wyobrażała sobie, że jest rycerzem-mścicielem: każe rozebrać Jareckiego do naga i wychłostać na rynku. Po wychłostaniu przywiązuje go do końskiego ogona i wlecze na rogatkę. A potem, po tych wszystkich torturach, wrywa mu kawałki ciała i leje kwas na rany. Jednocześnie każe powiesić tego babsztyla, tę przeklętą swatkę Wojciechowską.

Ale na co zdały się te fantazje? Jedyne dręczyły umysł i wzmagaly bezsilność.

### III

#### Panna Helena idzie na bal

Któż jest w stanie zrozumieć kobiecą duszę? Nawet jeśli kobieta jest aniołem, kryje w sobie demony, chochliki i diabły. Te złe istoty zachowują się występnie, szydzą z ludzkich uczuć, brukają świętości. Na przykład w Szczepreszynie podczas mowy pogrzebowej nad umarłym dziedzicem, hrabią Wolskim, wdowa po nim nagle wybuchnęła śmiechem. Stała nad trumną i śmiała się w tak niepohamowany sposób, że wszyscy żałobnicy, a nawet krewni zmarłego zaczęli śmiać się razem z nią. Innym razem w Zamościu żona właściciela browaru poszła do felczera, żeby jej wyrwał ząb. Kiedy ten włożył jej palec do ust, kobieta go ugryzła. Potem zaczęła jęczeć i dostała ataku epilepsji. Takie rzeczy często się zdarzają. Wszystko to przejaw przewrotności tak typowej dla niewieściej natury.

Było to tak. Naczelnik poczty, Rosjanin żonaty z Polką, córką dziedzica spod Hrubieszowa, wydawał bal z okazji urodzin czy imienin żony. Zaprosił całe naczalstwo, jak również co znamienitszych polskich mieszczan i okoliczną szlachtę, w tym pannę Helenę i jej matkę. W przeszłości panna Helena zawsze znajdowała jakąś wymówkę, żeby uniknąć obowiązków towarzyskich. Mijały lata, a ona nigdzie nie bywała. Ale tym razem postanowiła pójść. Jej matka nie posiadała się z radości. Wezwała Arona Lejba, najlepszego damskiego krawca w mieście i dała mu sztukę jedwabiu, z której miał uszyć balową suknię dla córki. Materiał leżał w domu od lat. Aron Lejb wziął miarę z panny Heleny i pochwalił jej szczupłą figurę. Większość pań była przysadzista i krępa, a ubrania leżały na nich jak worki. Pierwszy raz w życiu panna Helena pozwoliła się dotknąć mężczyźnie. W przeszłości niemal niemożliwością było zdjęcie jej miary, ale tym razem nie robiła trudności. Była nawet uprzejma wobec Żyda i zapytała go o rodzinę. Zanim wyszła, dała mu rubla dla najmłodszej córki. Aron Lejb dziękował Bogu, że wszystko poszło tak gładko, Helena bowiem uchodziła za dziwaczkę.

Zwykle panna Helena przyjmowała zaproszenie dopiero wtedy, gdy dokładnie przejrzała listę gości. Każdego człowieka miała skrzętnie zanotowanego w głowie. Ten jej nie odpowiadał, tamten był z niższych sfer, inny wyrządził krzywdę ojcu lub dziadkowi — w każdym znajdowała wady. Bardzo często, jeśli gospodyni pragnęła, aby panna Helena przyszła, musiała skre-

ślać niektórych gości z listy, bo jeśli nie chciała ustąpić, Helena wpadała we wściekłość i zrywała z nią znajomość. Tym razem jednak nie stawiała żadnych warunków. Wydawało się, że zapomniała o swojej dawnej mizantropii; obudziła się w niej kobieca próżność. Nalegała na kilkakrotne mierzenie sukni, zamówiła w Lublinie balowe pantofelki i każdego dnia przymierzała inny klejnot, aby zobaczyć, który będzie najlepiej pasował. Stała się ożywiona, gadatliwa, wzmógł się jej apetyt, lepiej spała. Matka była uszczęśliwiona. Ostatecznie jak długo, dziewczyna może się dąsać i żyć z dala od ludzi? Może Bóg wysłuchał w końcu prośb wdowy i sprawił, że córka zaczęła zachowywać się, jak przystało. Dziedziczka pokładała wielkie nadzieje w tym balu. Oprócz żonatych mężczyzn miało tam być kilku kawalerów do wzięcia. Wynajęto dwie orkiestry, wojskową i cywilną.

Kiedy Helena była młodsza, uważano ją za doskonałą tancerkę. Nie tańczyła jednak od wielu lat, a teraz w modzie były inne tańce. Poprosiła więc matkę, aby zatrudniła miejscowego tanecmistrza, profesora Rajanca. Zaczął on udzielać lekcji Helenie. Służba przyglądała się w osłupieniu, jak panna Helena wiruje w salonie z kościstym profesorem, który — jak mówiono — był chory na gruźlicę i nosił perukę, aby ukryć łysinę. Pan Rajanc był zdumiony, widząc jak szybko Helena chwyta nowe kroki. W jego czarnych oczach szklily się łzy uznania; coraz to dostawał ataków kaszlu i pluł krwią w jedwabną chusteczkę. Dziedziczka częstowała go kieliszkiem wiśniówki i kawałkiem ciasta, a on oblizywał palce i wznosił toasty:

— Za zdrowie szanownych pań! Oby pani wkrótce zatańczyła na weselu panny Heleny!

I zgrabnie obrócił guzik na lakierku z wysoką cholewką, aby mieć pewność, że toast się sprawdzi.

Suknia przerosła wszelkie oczekiwania. Pasowała na pannę Helenę jak ulał. Kwiat na ramiączku i złota, ozdobiona chwaścikami szarfa wokół talii nadały jej szyk i elegancję rzadko spotykaną nawet w wielkich miastach.

Dzień, w którym miał się odbyć bal, był słoneczny, a wieczór ciepły. Karety, bryczki i faetony podjeżdżały pod klub oficerski, gdzie odbywały się bale. Konie i pojazdy wypełniły teren, na którym zwykle ćwiczyli żołnierze. Lokaje w liberii mieszały się ze zwykłymi woźnicami. Damy w olśniewających sukniach zdobionych zakładkami i wstążkami, eskortowane przez panów w ga-

lowych mundurach i wieczorowych strojach z rzędami orderów na piersiach, starały się przyćmić jedna drugą. Jakiś stary polski szlachcic o wąsach sięgających ramion towarzyszył swojej malutkiej i okrągłutkiej żonie, która niosła zdobioną frędzlami parasolkę, mimo że na niebie nie było jednej chmurki. Wojskowe czapki i szable wisały w holu. Wokół klubu zebrało się wielu młodych ludzi z miasteczka, aby zobaczyć gości i posłuchać tanecznej muzyki. Konie zachowywały się tak, jak zwykle: przeżuwały owies i machały ogonami. Od czasu do czasu jeden z nich zaczynał rzeć, ale inne nie zwracały na niego uwagi. Jakie znaczenie ma rzenie jakiegoś tam konia? Żadne, nawet dla nich samych.

Panna Helena z matką przybyły późno, kiedy rozbrzmiewała już muzyka. Gdy stangret otworzył drzwiczki powozu i panna Helena wyszła na zewnątrz, powitały ją pełne zachwyty okrzyki dziewcząt i gwizdy łobuziaków. Wyglądała jak z obrazka.

#### IV Pocałunek w rękę

Panna Helena z matką zostały powitane przez naczelnika poczty i jego żonę. Inni goście też przyszliz się z nimi przywitać. Panowie całowali je w dłoń, panie prawily komplementy. Helena miała wrażenie, że unosi się w górę. Mówiła, nie wiedząc co i dlaczego. Jej oczy nieświadomie kogoś szukały. Nagle wypatrzyła doktora Jareckiego. Stał w otoczeniu młodych, atrakcyjnych dam, żon i córek szlachty i naczalstwa. Był chyba jedynym mężczyzną na sali, który nie nosił orderów. Dni, kiedy Jareckiego określano mianem Cygana, żydowskiego cyrulika i diabła, należały już dawno do przeszłości.

Damy z miasteczka, zwłaszcza te młode i znane, darzyły go uwielbieniem. Powtarzały jego pikantne dowcipy i wychwalały lekarskie umiejętności. Wybaczaly mu nawet jego kawalerski stan i to, że mieszkał z głuchoniemą służącą. Był śmiały wobec pań — u niektórych przecież asystował przy porodzie, inne widział rozebrane w swoim gabinecie.

Kiedy Helena go zobaczyła, momentalnie osłupiała. Prawie już o nim zapomniała — czy też zmusiła się, aby zapomnieć? Wyglądał tak wytwornie we fraku i lakierkach. Czarne oczy sprawiały wrażenie mądrych i rozbawio-

nych. Jakaś młoda kobieta próbowała kokieteryjnie umieścić kwiat w jego klapie pozbawionej chyba butonierki. Kobiety śmiały się i klaskały w dłonie, bowiem doktor Jarecki wystąpił z ripostą, jedną z tych zuchwałych uwag, których żaden inny z obecnych mężczyzn nie odważyłby się wypowiedzieć w mieszanym towarzystwie. „Czy dalej go nienawidzę?” — zadawała sobie pytanie Helena i pytając, z góry znała odpowiedź. Jej niechęć znikła w tajemniczy sposób, zastąpiła ją ciekawość równie silna jak dawniej wrogość — być może nawet silniejsza. Zdała sobie jeszcze z czegoś sprawę: wcale nie zapomniała o doktorze Jareckim, lecz stale o nim myślała, opętana niczym we śnie, kiedy człowiek myśli każdą tkanką mózgu, nie wiedząc o tym. „Czy ktoś nas sobie przedstawi? — zastanawiała się. — Muszę z nim porozmawiać, zatańczyć”.

Była zazdrosna o nadskakujące mu kobiety, które flirtowały z nim tak swobodnie. Jakby czytając w jej myślach, naczelnik powiedział:

— Czy szanowna panna Helena zna naszego doktora Jareckiego? Sekundkę, jeśli pani pozwoli...

Podszedł do Jareckiego, szepnął mu coś do ucha, ujął go pod ramię i do brodusznie podprowadził do panny Heleny. Pozostałe damy zaprotestowały, pół żartem, że zabiera im kawalera. Kilka z nich podążyło nawet za nimi, nie wiedząc, jak mają się zachować. Upojny wieczór, muzyka, aromat kwiatów i perfum oraz trunki, które damy już wypily, przyczyniały się do frywolnej atmosfery; Jarecki uklonił się Helenie, jego ogniste oczy wydawały się mówić: — Tak, czas abyśmy się poznali. Przewidziałem to spotkanie! — i podał jej rękę.

I wtedy stała się jedna z tych dziwnych rzeczy, jedna z tych tajemnic, które stanowią zagadkę dla ludzkiego umysłu. Helena podniosła rękę doktora Jareckiego do ust i pocałowała ją. Stało się to tak szybko, że nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Wybuchnęła dziwnym śmiechem. Jej matka zdusiła w sobie okrzyk. Panie osłupiały. Naczelnik robił wrażenie sparalizowanego — stał z otwartymi ustami. Jedynie dwaj młodzi oficerowie zaczęli rechotać i klepać się po udach w prążkowanych spodniach. Sam doktor Jarecki zbladł, ale szybko opanował się i powiedział: — Skoro Mahomet nie przyszedł do góry, góra przysłała do Mahometa... Jako że nie pocałowałem panny Heleny w rękę, ona mnie pocałowała — po czym ujął jej dłoń i pocałował trzy razy, dwa razy w rękawiczkę i raz w odsłonięty nadgarstek. Dopiero

teraz panie zaczęły chichotać i paplać. W okamgnieniu wiadomość o zajściu rozeszła się po sali balowej. Goście nie mogli w to uwierzyć. Wszystkich ogarnęła ciekawość i poczucie skandalu. Miasteczko będzie miało o czym plotkować przez następne miesiące. Nawet lokaje, stangreci i służące znajdujący się na zewnątrz szybko dowiedzieli się o zajściu. Oczy zrobiły im się okrągłe ze zdumienia. Zwariowała? Czyżby kochała się w nim do szaleństwa? A może ktoś rzucił na nią urok? Muzycy nabrali życia jakby pobudzeni tym nierozważnym zachowaniem i obie orkiestry zaczęły grać ze zdwojoną siłą. Śpiewały skrzypce, buczały altówki, piszczały flety, zawodziły trąby, pulsowały bębny. Stopy tancerzy nabrały lekkości przyjmując z zadowoleniem widok czyjegoś upadku. Wszyscy ulegli nieco rozwiązłej atmosferze. Pary, które do tej pory zachowywały się skromnie, tańczyły w korytarzach lub na dziedzińcu i otwarcie się obejmowały. Skoro Helena mogła w obecności wszystkich pocałować dłoń doktora Jareckiego, to po co ta cała fasada?

Po dziesięciu minutach dziewcziczka wraz z Heleną opuściły bal. Matka trzymała tren sukni w jednej ręce, a drugą ciągnęła za sobą córkę. Helena nie szła, lecz powłóczyła nogami. Stangreci drwili z niej, wytykali ją palcami, robili szeptem różne aluzje. Stangret wdowy szybko podszedł, żeby pomóc paniom wsiąść do powozu. Dziedziczka nie była w stanie podnieść nóg; musiał ją podsadzić za biodra. Helena opadła na siedzenie powozu. Stangret skoczył na siodło, zaciął z bata, a zewsząd dobiegły gwizdy i kocia muzyka. Dzieci, które dawno powinny już spać, biegły wraz z dorosłymi za powozem wrzeszcząc jak opętane, rzucając kamieniami i końskim łajnem. Ktoś na balu usłyszał, jak wdowa karciała Helenę:

— Nieszczęsna dziewczyno, cóż ci teraz pozostało jak tylko wykopać sobie grób i się w nim położyć?

Po wyjściu wdowy i Heleny panie otoczyły doktora Jareckiego ze zdwojonym zapalem. Paplały, uśmiechały się, uwodziły go wzrokiem, jakby każda z nich była śmiertelnym wrogiem Heleny i rozkoszowała się jej hańbą. Próbowwały wydobyć z doktora Jareckiego choćby jedno słowo, jakieś wyjaśnienie, rzuconą przelotnie uwagę, nawet żart — cokolwiek, co by można później powtórzyć. Doktor Jarecki wydawał się zmieszany, twarz miał pobladłą. Bez odpowiedzi i słowa przeprosin wy dostał się z kręgu otaczających go ludzi. Opuścił salę balową nie głównym wyjściem, lecz bocznymi drzwiami. Jako że mieszkał w pobliżu klubu, przyszedł na bal piechotą i teraz pieszo skierował



się w stronę domu. Ktoś, na kogo omal nie wpadł, twierdził, że doktor nie szedł, a biegł.

Kiedy znalazł się w końcu w swoim gabinecie, zadał sobie na głos pytanie: — Co to wszystko ma znaczyć?

Nie zapalił lampy naftowej, lecz siedział na kanapie w ciemności. Od przybycia do miasta przeżył wiele triumfów, ale dzisiejszy podbój był mu nie w smak. Nie ulegało wątpliwości, że Helena darzy go szaleńczą miłością, ale co z tego? Nie była chętną do romansu mężatką, tylko starą panną. Nie chciał obarczać się żoną, zostać ojcem, wychowywać synów i córki — po co mu pakować się w to wszystko? Miał wystarczającą ilość pieniędzy i roman-sów. Na tejże kanapie doświadczał takich przygód, które by uznał za patologiczne kłamstwa, gdyby kto inny mu o nich opowiadał. Już dawno temu doszedł do wniosku, że życie rodzinne to obłuda, bagno przyciągające głup-ców, bowiem oszustwo jest równie typowe dla kobiet, jak przemoc dla męż-czyzn. Było mało prawdopodobne, że Helena będzie go oszukiwać, ale po co mu ona? Podobał się kobietom, bo był kawalerem. Kiedy mężczyzna się oze-ni, inne kobiety traktują go jak trędowatego. — Udam, że nic się nie stało — postanowił doktor Jarecki. — Będą o tym plotkować, aż zapomną. Każdy skandal w końcu się nudzi.

Poszedł do sypialni i położył się do łóżka, ale sen nie przychodził. Wciąż słyszał muzykę dochodzącą z balu — polki, mazurki, marsze wojskowe. Dobiegały go śmiechy i odgłosy szamotaniny. Ciepły wietrzyk niósł spod okna zapach trawy, liści i kwiatów. Cykały świerszcze, kumkały żaby. Noc roiała się od stworzeń, każde z nich nawoływało po swojemu. Psy ujadły, koty miauczały. Dziecko któregoś z sąsiadów obudziło się w kołysce. Księżyc, wcześniej niewidoczny, pojawił się teraz zawieszony w cudowny sposób na niebie. Wokół niego różnymi barwami skrzyły się gwiazdy. — Co ona we mnie widzi? Dlaczego jej miłość jest tak silna? — zastanawiał się doktor Jarecki. — To jedynie odwieczne pragnienie prokreacji. — Doktor uważał się za wyznawcę Schopenhauera. Nikt nie rozumiał prawdy tak dobrze jak ten pesymistyczny filozof. Jego dzieła zebrane, oprawne w skórę, wytłaczane złotem, stały w biblioteczkę doktora Jareckiego. Tak, to tylko ślepa wola rozmnażania się, zadawania cierpienia, odwieczna ludzka tragedia. Ale w jakim celu? Dlaczego ulegać ludzkiej woli, jeśli jest się świadomym jej ślepoty? Po

to darowano człowiekowi kroplę intelektu, aby mógł obnażać instynkty i demaskować ich fortele.

Doktor zdał sobie sprawę, że nie uda mu się zasnąć. Skończył mu się nawet brom, którego zażywał w podobne noce. Ubrał się. Nagle nabrał ochoty na spacer. Może później łatwiej zaśnie.

## V

### Okno w izbie rabinackiej

Doktor Jarecki szedł, nie wiedząc, dokąd idzie. Czy miało to jakieś znaczenie? Czuł się niezwykle raźnie i żwawo. Jego stopy od wielu lat nie wydawały mu się tak lekkie. Zauważył, że chociaż triumf odniesiony tego dnia wprowadził go tylko w zakłopotanie, jego układ nerwowy zareagował tak jak na poprzednie podboje. Jego ciało czuło się lekkie, jakby pocałunek Heleny zmniejszył skutki działania grawitacji. Oddychał głębiej. Jego zmysły wyostrzyły się. — Gdybym teraz miał pójść na polowanie — pomyślał — złapałbym jelenia gołymi rękami. Chwyciłbym go za rogi i pogruchotał mu kości. Miał chęć wystrzelić z pistoletu, ale zostawił broń w domu. Chciał załomotać w okiennicę i przestraszyć jakiegoś Żyda, ale się opanował. Ostatecznie lekarz nie może zachowywać się jak łobuziak.

Jarecki spoważniał. Przypomniawszy sobie owo popołudnie wiele lat temu, kiedy to pociąwszy kartkę papieru na wiele części, z których każda nosiła nazwę innego powiatu w Królestwie, wyciągnął z kapelusza to właśnie miasto. Co by się stało, gdyby wyciągnął inną? Czy jego życie potoczyłoby się inaczej? Na skutek tego wyboru wszystko, co mu się przydarzyło, było czystym przypadkiem. Ale co to właściwie takiego przypadek? Skoro wszystko jest z góry ustalone, przypadek w ogóle nie istnieje. Zatem jeśli przyczynowość jest niczym innym jak kategorią rozumu, nie ma rzecz jasna przypadków. Myśl ta szybko zawiodła go nawet dalej. Przyznając Schopenhauerowi rację, należy uznać, że to, co Kant nazwał rzeczą samą w sobie, to wola. Ale czy z tego wynika, że wola jest ślepa? Jeśli wola świata mogła wydać intelekt Schopenhauera, to dlaczego nie może być obdarzona inteligencją? — Będę musiał sięgnąć po tom *Świat jako wola i wyobrażenie* — postanowił doktor

Jarecki. — Musi być tam jakaś odpowiedź. Strasznie zaniedbałem się w lekturze.

Uzmysłowił sobie, że znajduje się na ulicy Bóźniczej w pobliżu domu rabina. Okiennica w izbie rabinackiej była otwarta. Na stole obok pieca w mosiężnym świeczniku migotała świeca. Obok piętrzyły się książki i rękopisy. Czcigodny rabin o rozwichrzonej białej brodzie, w jarmułce na wysokim czole, w rozpiętej kapocie na żółto-szarym małym tałesie, siedział zatopiony w lekturze jakiejś księgi; w rękę trzymał szklankę z herbatą. Po jego jednej stronie znajdował się samowar, po drugiej miotłka z kurzych piór używana najprawdopodobniej do podsycania ognia. Wydawało się, że wszystko znajduje się dokładnie tam, gdzie powinno. Stary rabin zgłębiał jeden z teologicznych traktatów, a doktor Jarecki wpatrywał się w niego zdumiony. Czy rabin zawsze tak siedzi do późna czy też już wstał, aby zacząć dzień? I co w tej książce tak go pochłania? Rabin wydawał się być oderwany od świata. Doktor znał staruszka. Leczył go na katar i hemoroidy. On, Jarecki, traktował rabina z większym szacunkiem niż pozostałych pacjentów, nie mówił: „powiedz aaaa”, nie pytał „boleć głowa, he?” Żydzi z miasteczka czcili swojego rabina, opowiadali o jego ogromnej wiedzy. Wielkie szare oczy, wysokie czoło, cała jego postać nasuwały na myśl wiedzę, zrozumienie, charakter — i jeszcze coś, co przypominało o obcej, nieprzenikalnej kulturze. Szkoda, że rabin nie znał polskiego ani rosyjskiego, bo choć Jarecki nauczył się w młodości trochę jidysz, nie rozumiał tego języka na tyle, aby z nim porozmawiać. Tego dnia staruszek wydawał się bardziej uduchowiony niż zazwyczaj. Stapiając się w jedno z nocą przypominał starożytnego mędrca, świętego i filozofa, hebrajskiego Sokratesa lub Diogenesa. Jego cień sięgał aż do sufitu. — Skąd im się biorą takie wysokie czoła? — zastanawiał się Jarecki. Pamiętał, co mówili mu inni Żydzi: że rabin jest *gaonem*, geniuszem. Ale jakim geniuszem? Czy tylko w zgodzie z obowiązującymi dogmatami? I jak mógł pogodzić się ze światem pełnym smutku? Dałbym sto rubli, aby dowiedzieć się, co ten starzec czyta! — powiedział do siebie Jarecki. — Jedno jest pewne — nie wie nawet, że dzisiaj odbywa się bal. Fizycznie mieszkają tuż obok nas, ale duchem znajdują się gdzieś w Palestynie, na Górze Synaj czy Bóg wie gdzie. Może nie jest nawet świadom, że mamy dziewiętnasty wiek. Z pewnością nie wie, że jest w Europie. Istnieje poza czasem i przestrzenią...

Jarecki przypomniał sobie o czymś, co przeczytał w jakimś czasopiśmie:

Żydzi nie zapisują swojej historii, nie mają poczucia chronologii. Mogłoby się wydawać, że instynktownie wiedzą, iż czas i przestrzeń to jedynie złudzenie. Gdyby tak było, może potrafiliby przedrzeć się przez kategorie czystego rozumu i stworzyć rzecz samą w sobie, to, co znajduje się poza zjawiskami?

W doktorze Jareckim rosło pragnienie porozmawiania z rabinem. Już miał zapukać w okno, ale się powstrzymał. Wiedział z góry, że nie będzie w stanie porozumieć się ze staruszką. — Kto wie? Być może to właśnie pragnienie pozostania na osobności powstrzymywało ich od uczenia się innych języków. Judaizm można podsumować jednym słowem — izolacja. Jeśli Żydzi nie byli siłą zapędzani do getta, tworzyli je dobrowolnie, jeśli nie zmuszano ich do noszenia żółtej łaty, nosili ubrania, które sąsiedzi uważali za dziwne.

Z kolei Żydzi, którzy uczą się języków i mieszają się z chrześcijanami, są nudni...

## VI Scena miłosna

Miał już odchodzić, kiedy coś jeszcze przyciągnęło jego wzrok. Otworzyły się drzwi z tyłu pokoju i weszła staruszka, maleńka, o pochylonych plecach, ubrana w obszerny szlafrok i zniszczone kaptcie. Właściwie nie szła, lecz posuwała się — schyloną głowę okrytą miała chustką, twarz pomarszczoną jak liść kapusty, worki zwisały pod wiekowymi oczyma. Dowlokła się do stołu, cicho podniosła miotełkę z kurzych piór i roznieciła żar pod samowarem. Doktor Jarecki dobrze ją znał. Była żoną rabina. Dziwne, że rabin nie odezwał się do niej, lecz dalej trzymał oczy utkwione w książce. Twarz mu jednak złagodniała, gdy tak częściowo skupiał się na czytaniu, a częściowo wsłuchiwał w ruchy żony. Uniósł brwi i na suficie zadrżał jego cień. Doktor Jarecki stał, niezdolny do wykonania żadnego ruchu. Był pewien, że jest świadkiem sceny miłosnej, odwiecznego, nabożnego rytuału miłosnego między mężem a żoną. Wstała w środku nocy, aby dopilnować żaru pod samowarem. On, rabin, nie śmiał przerwać studiów nad świętą księgą, ale świadomy bliskości żony wyrażał jej wdzięczność w milczeniu. Jakie to wszystko było inne! Jakie wschodnie! Mieszkają już nie wiadomo jak długo w Europie.

Ich prapradziadowie tutaj się urodzili, ale zachowują się tak, jakby dopiero wczoraj zostali wygnani z Jerozolimy. Jak to możliwe? Czy takie zachowanie jest dziedziczne? Czy też stanowi wyraz głębokiej wiary? Jak mogą być pewni, że wszystko zapisane w kilku starych księgach jest absolutną prawdą? No a co ze mną? Jak mogę mieć pewność, że świat to ślepa wola? Powiedzmy, dla dobra dyskusji, że „rzecz sama w sobie” nie jest ślepą wolą, lecz wolą widzącą. W takim razie cała koncepcja kosmosu ulega zmianie. Bowiem jeśli siły wszechświata zdolne są widzieć, to widzą wszystko — każdą osobę, każdego robaka, każdy atom, każdą myśl. W takim wypadku ten kawałek papieru, pozornie przypadkowy, nie został wcale wybrany przypadkiem, lecz był po prostu częścią planu, przeznaczenia, żebym doświadczył wszystkiego, czego tutaj doświadczyłem. Jeśli tak jest, to wszystko ma swój cel: każdy owad, każde źdźbło trawy, każdy embrion w łonie matki. Wynikałoby więc z tego, że to co uczyniła Helena wieczorem, nie było bezmyślnym kaprysem, lecz częścią planu wszechwidzącej woli. Ale jaki jest ten plan? Czy przeznaczone mi jest zostać ojcem?

Nagle doktor Jarecki uświadomił sobie, że kiedy tak filozofował, ktoś spuścił zasłony — niewątpliwie został zauważony. Ogarnął go wstyd. Żydzi zaczną plotkować, że wystaje pod oknami.

Zaczął iść pospiesznie dużymi krokami, prawie biegł. Myśli biegły razem z nim. Pamiętał, że kiedy po raz pierwszy przybył do miasteczka, broda rabina była jasna, nie siwa, a żona rabina? — miała wtedy dom pełen dzieci. Czyżby tyle już lat minęło? Czy człowiek przechodzi tak szybko z młodości do podeszłego wieku? I ile lat ma przed sobą on, Jarecki? Czy wkrótce również osiwieje? I jak długo trwa życie? Jeśli prawdą jest to, co przeczytał niedawno w jakimś medycznym czasopiśmie, pozostało mu czternaście lat życia. Ale ile właściwie trwa czternaście lat? Ostatnie czternaście lat przeleciało jak sen. Nie potrafił powiedzieć, w jaki sposób.

Coś w doktorze Jareckim zaczęło się buntować — Czy taki ma być mój los? Czy to mój cel? Jeszcze czternaście lat będzie nadskakiwał pacjentom, a potem padnie jak koń pociągowy? Jak mogę się na to zgodzić? Nie, lepiej już palnąć sobie w łeb! Ale jeśli założymy, że wola świata nie jest ślepa — otwiera to przed nami niezliczone możliwości. Wszechwiedząca Wola to Bóg. Znaczyłoby to, że rabin wcale nie jest fanatykiem. Wierzy we wszechświat widzący, a nie w ślepy. Cała reszta to tradycja, folklor. Widocznie siły two-

rzenia starają się osiągnąć różnorodność w kształcie swoich stworzeń, jak również w ich zachowaniu.

Powiedzmy, że to prawda. Co powinienem w takim razie zrobić? Wrócić do kościoła? Zostać Żydem? Przestać uwodzić pacjentki? Bowiem skoro wszechświat wszystko widzi, może również karać... Nie, muszę wybić sobie te wszystkie bzdury z głowy. Stąd tylko krok do religijnego pozytywizmu. Ale dlaczego tak biegnę? I dokąd? — Nagle doktor Jarecki zobaczył, że znajduje się na terenie folwarku. Nogi zaniósły go tam same, z własnej woli. — Co ja robię? Czego szukam? Ktoś na pewno mnie zobaczy! Czyżbym postradał rozum? Ale mimo że ostrzegiał samego siebie, podszedł do bramy wiodącej na dziedziniec. Nie było tam nocnego stróża, a furtka nie była zamknięta na klucz. Bez wahania pchnął ją i wszedł do środka. — Co będzie jeśli psy mnie zaatakują? Wezmą mnie za złodzieja. Nieostrożny, zrezygnowany, zachowywał się niczym pijak, którego świadomość stanu, w jakim się znajduje, nie doprowadza do trzeźwości. Skradał się niczym łobuziak buszujący w sadzie. Czegoś szukał, lecz nie wiedział czego.

Dlaczego psy się nie odzywają? Czyżby spały? Nikt niczego nie pilnował... Wyłonił się dom, w oknach było ciemno. — Nie ma jej tam! — powiedział mu jakiś wewnętrzny głos. Poszedł ścieżką, która wiodła na tył domu, ogród i pola. Doktor Jarecki był już kiedyś dawno w tym dworze, aby leczyć chorego parobka. Chociaż księżyc wciąż jeszcze świecił, w powietrzu panowała cisza, jak zawsze przed brzaskiem. Żaby i świerszcze ucichły. Drzewa wyglądały jak skamieniałe. Cały świat wstrzymał oddech, czekając na świt. Doktorowi Jareckiemu wydawało się, że w nim również wszystko przestało działać. Poruszał się jak zjawa. Mimo że nie spał, śnił. Minął oborę, komórki, kopę siana. Nagle usłyszał jęk i w tym momencie jego oczom ukazał się płytki dół. Nawet się nie zdziwił: w dole leżała Helena.

Dopiero potem wszystko stało się jasne. Helena dosłownie potraktowała uwagę matki, że powinna wykopać dla siebie grób. Kiedy już wszyscy zasnęli, wzięła łopatę, poszła do sadu, w którym powiesił się jej ojciec, i wykopała dół. Potem położyła się w nim i połknęła pół butelki jodyny. Tak się akurat złożyło, że wszyscy tej nocy głęboko spali, nawet psy w budzie.

Doktor Jarecki wepchnął palce w przelyk Heleny, zmusił ją do wymiotów. Obudził jej matkę i służbę, wlał Helenie pół dzbanka mleka do gardła. Dziedziczka objęła doktora Jareckiego, próbując go pocałować. Podwórze roz-

brzmiewało donośnymi głosami, szczekaniem psów, okrzykami. Język Heleny był poparzony trucizną, włosy sklezione błotem i gliną. Była boso i w nocnej koszuli. Doktor Jarecki zaniósł ją do jej pokoju i położył do łóżka.

Matka starała się utrzymać wypadek w tajemnicy, ale w miasteczku dowiedziano się o wszystkim. Doktor Jarecki poprosił Helenę o rękę. Na oczach wdowy i służby pocałował jej spieczone wargi. Ona zaś otworzyła powieki, ujęła dłoń Jareckiego, uniosła do ust i po raz drugi tego dnia ją pocałowała.

## VII

### Między tak a nie

Miasto przygotowywało się do wspaniałego wesela. We dworze krawcy szyli wyprawę Heleny, szwaczki haftowały bieliznę. Miejscowi kupcy sprowadzili przeróżne dodatki z Lublina i Warszawy, aby ozdobić suknię panny młodej. Orkiestra stroiła instrumenty. W klubie oficerskim zaplanowano bal na cześć narzeczonych. Doktor Jarecki nie zaznawał jednak spokoju. Czuł, że stoi na krawędzi nieszczęścia. Budził się każdej nocy dokładnie o godzinie pierwszej z uczuciem, że ktoś sapie mu do ucha. Siadał drżący i spocony, z ciężkim sercem. — Co ja właściwie robię? — zadawał sobie pytanie. — Jak wpadłem w te sidła? Dlaczego ni z tego ni z owego biorę ślub?

Uwielbienie, jakie poczuł dla Heleny tamtej nocy, kiedy znalazł ją otrutą, opuściło go. Pozostał jedynie niepokój. Był świadom pułapek małżeńskiego życia. — Czyżbym postradał zmysły? — dziwił się. — Może rzucono na mnie czar? Ale przecież czarna magia nie istnieje!

Doktor Jarecki przypomniał sobie, jak wpatrywał się w okno domu rabina. — Czyżby scena między rabinem i jego żoną rzeczywiście wytrąciła mnie z równowagi, pozbawiła własnych przekonań i postanowień? Jeśli tak, to jestem człowiekiem bez charakteru! — powiedział na głos.

Wstawał i snuł się w ciemnościach z pokoju do pokoju, jak lunatyk. Przychodziły mu do głowy różne rozwiązania: Uciec, kiedy jest jeszcze czas; może strzelić sobie w skroń... lub napisać do Heleny list zrywający zaręczyny. Nie mógł zapomnieć Schopenhauerowskiego opisu kobiety: To naczynie seksu o wąskiej talii, dużych piersiach i szerokich biodrach, które ślepa wola stworzyła dla własnych celów, aby utrzymywać ciągle cierpienie i mordęgę. —

Nie! Nie zrobię tego! — krzyczał. — Nie wpadnę do rowu niczym jakiś ślepy koń! Owszem, złożyłem obietnicę, ale czymże jest obietnica? Czymże jest honor? Jarecki znał esej Schopenhauera o pojedynkowaniu się i całą jego koncepcję honoru. Była to bzdura, głupota — relikw czasy rycerstwa, absurdalny anachronizm! — Niech to wszystko diabli wezmą! — mówił do siebie.

Po długich zmaganiach z samym sobą doktor Jarecki postanowił uciec. Co go trzyma w tej zabitej dziurze? Ani przyjaciele, ani krewni, ani dom, który nie należy do niego, ani meble nie warte kopiejki. Jego pieniądze były ukryte w sekretnym miejscu, mógł więc w samym środku nocy zaprząć konie do bryczki, załadować ją ubraniami, książkami i przyrządami medycznymi — po czym odjechać. Jaki kodeks mówi, że człowiek do końca musi odgrywać tę ludzką komedię? Nikt nie może go zmusić, aby poprzysiągł wierność żonie, wychowywał synów i córki, mieszał swoje nasienie z nasieniem tych, którzy służą ślepej woli niczym niewolnicy, obchodzą jej wesela, płaczą na jej pogrzebach, starzeją się, bankrutują, popadają w rozpacz i zapomnienie. To prawda, że współczuł Helenie; zgadzał się z Schopenhauerem — współczucie to podstawa moralności; ale co z pokoleniami, które spłodzą razem z Heleną? Tym gorzej dla nich. Ich udręka trwałaby wiecznie. Jak to się mówi? Najszczęśliwsze jest dziecko, które się nie narodziło.

Zostało mu niewiele czasu, musi szybko działać. Jego służąca była głuchoniema, a w dodatku miała bardzo mocny sen. Stangret spędzał noce z ukochaną w pobliskiej wsi. Jediną przeszkodą był pies. Zacznie szczekać i powstanie raban. — Muszę mu coś dać! — postanowił doktor Jarecki. U siebie w szafce trzymał różne trucizny. Jakie to ma znaczenie, czy będzie żył dwanaście lat czy dziewięć? Śmierć jest nieunikniona. Była wszędzie — w łóżku położnicy, w dziecięcej kołysce, snuła się za życiem jak cień. Ci, którym nieobca jest śmierć, czują odór całunów nawet w pieluchach niemowlęcia.

Kiedy doktor Jarecki podjął w końcu decyzję, było za późno. Nastął szary świt. Mimo że trawa w sadzie pokryta była rosą, usiadł na niej. Nie wierzył w przeziębienia. Oparł się o pień drzewa i wdychał woń poranka. Czuł się zmęczony walką, którą toczył z sobą samym prawie przez dwa tygodnie. Brak snu, wewnętrzne wątpliwości i niedojadanie wyczerpały go. Zdawało mu się, że ciało ma puste, a czaszkę wypełnioną piaskiem. Był doktorem Jareckim, a jednocześnie nim nie był. Walczył z obcymi, tajemnymi siłami, słuchał, jak szycują się do ostatecznej bitwy, której wynik zostanie przesądzony w ostat-



niej sekundzie. Ale siły mówiące „nie” były mimo wszystko mocniejsze. Panowały nad swoimi argumentami niczym nad armią, ustawiały je na najlepszych strategicznie pozycjach, odrzucały jakiegokolwiek pozytywne stanowisko, dusiły je, zasypywały logiką, drwiną, bluźnierstwem.

Doktor Jarecki spojrział na niebo. Gwiazdy lśniły mimo poranka, bosko świetliste, wypełnione niezmierną radością. Niebieskie sfery wydawały się być w świątecznym nastroju. Ale czy naprawdę tak było? — Nie, to złudzenie. Jeśli istnieje życie na innych planetach, cechuje je ta sama zachłanność i przemoc co na ziemi. Nasza planeta, kiedy patrzy się na nią z Marsa czy Księżyca, również wydaje się błyszcząca i wspaniała. Nawet miejska rzeźnia wygląda z daleka jak świątynia. Splunął w niebo, ale ślina wylądowała na jego własnym kolanie.

## VIII Cienie przeszłości

Następnej nocy doktor Jarecki uciekł. Trzy miesiące później Helena opuściła miasteczko, aby złożyć śluby zakonne u sióstr urszulanek. Ubrana na czarno zabrała ze sobą czarny kuferek, który wyglądał jak trumna. Dziedziczka wkrótce potem umarła, podobno pękło jej serce. Jej ekonom musiał być złodziejem, bo majątek obarczony był długami i szybko podupadł. Część dobytku podzielono między chłopów; dwór stał opuszczony. Powszechnie wiadomo, że niezamieszkały dom szybko zamienia się w ruinę. Mech i ptasie gniazda pokryły dach, ze ścian wyłaziła pleśń i grzyb, sowa siedziała na kominie i pohukiwała nocami, jakby oplakując dawną niedolę. Czas płynął. Miasteczko miało teraz nowego doktora i nowego rabina. Nowy rabin nie był mędrce jak poprzedni, ale solennie wypełniał swoje obowiązki. Zaraz po wieczornej modlitwie kładł się spać. Jednak już o północy siedział w izbie rabinackiej, studiując święte księgi. Pisał także komentarze do Talmudu.

Minęło czternaście lat. Kiedyś o północy rabin uniósł wzrok znad książki i zobaczył, że ktoś zagląda przez okno — smagły osobnik o czarnych oczach, wysokim czole i czarnych wąsach. Najpierw rabin pomyślał, że jego żona zapomniała zamknąć okiennice i podgląda go jakiś goj, ale nagle uzmysłowił sobie, że okiennice są przecież zamknięte. W szybie wraz z lampą, stołem i sa-

mowarem odbita była twarz. Przerażonemu rabinowi krzyk uwiązł w gardle. Po chwili wstał jednak i na drżących kolanach poszedł do żony do sypialni.

Jako że nawet najbardziej pobożni ludzie miewają czasami wątpliwości, rabin uznał, że musiało to być przywidzenie i nikomu nic nie powiedział. Rano kazał sojferowi sprawdzić mezuzę, a następnej nocy położył sobie na stole zamiast amuletu księgę *Zohar*, tałas oraz filakterie. Postanowił ani na chwilę nie przerywać modlitwy i nie spoglądać w okno. Głęboko zatopiony w pisaniu, zapomniał jednak o strachu i nagle podniósł wzrok, aby znowu ujrzeć w oknie twarz, prawdziwą, a jednak nierealną, nierzeczywistą, nie z tego świata. Rabin wydał okrzyk i zemdłał. Słyszając odgłos upadającego ciała jego żona uderzyła w płacz.

Rabina ocucono, ale teraz nie mógł już dłużej ukrywać tego, co widział. Wysłał szamesa, aby wezwał starszych gminy i w tajemnicy opowiedział im o swoim przeżyciu. Po długiej dyskusji i różnych domysłach postanowiono, że trzech mężczyzn zostanie w nocy z rabinem.

Pierwszej nocy trzech strażników siedziało do wschodu słońca, ale nic nie zobaczyli. Czując, że podejrzewany jest o wymysły i halucynacje, rabin przysiągł, że to co widział, nie było ani zjawą, ani diabłem. Następnej nocy trzech mężczyzn znowu czuwali. Kiedy zapiały koguty, a w oknie nikt się nie pojawił, dwóch z nich wyciągnęło się na ławie, żeby się przespać. Tylko jeden nie przestając czuwać, kartkował Misznę. Nagle skoczył na równe nogi. Rabin, który właśnie pracował nad jednym ze swoich traktatów był tak przerażony, że przewrócił kałamarz. On sam niczego nie zobaczył, ale ów mężczyzna powiedział z przerażeniem w głosie, że ujrzał w oknie jakiś wizerunek i co więcej, że rozpoznał twarz doktora Jareckiego.

Dwaj mężczyźni byli wstrząśnięci. Czemu właśnie duch doktora Jareckiego miały się tutaj pojawiać? Dlaczego duch takiego hultaja ukazuje się w oknie rabina?

Chociaż starsi gminy obiecali utrzymać tę historię w tajemnicy, wkrótce wszyscy się o niej dowiedzieli. Rabin nie był w stanie prowadzić dalej swoich studiów — stale towarzyszyli mu strażnicy — i za każdym razem doktor Jarecki ukazywał się innemu świadkowi. Czasami materializował się w jednej sekundzie i natychmiast potem znikał. Innym razem pozostawał przez chwilę lub dwie. Często widoczna była również górna część jego ubrania:

cienka bluza, rozpięty kołnierzyk, krajka wokół pasa. Pojawiał się w oknie niczym portret w ramie, czymś zaaferowany, zatopiony w myślach, z szeroko otwartymi oczami utkwionymi w jeden punkt.

Wkrótce potem doktor Jarecki zaczął pojawiać się w innych miejscach. Pewnej nocy, kiedy jakiś chłop obudził się i poszedł doglądnać konia, który przymocowany łańcuchem pasł się na pastwisku za domem, zobaczył postać mężczyzny pochyloną nad trawą; trzymał ręce tak, jakby podnosił jakiś ciężar. Chłop myślał, że to złodziej lub Cygan i zbliżył się do niego wymachując batem, ale w tymże momencie postać zniknęła jakby się ziemia pod nią zapadła. Z opisu chłopu było jasne, że to duch doktora Jareckiego. To coś niewidzialnego, co przypuszczalnie podnosił było ani chybi Heleną, bowiem pewna stara kobieta przysięgała, że w tym właśnie miejscu panna Helena wykopała sobie grób, łyknąwszy uprzednio truciznę, i właśnie stamtąd doktor Jarecki zaniósł ją do jej domu.

Innym razem obecny lekarz (który wprowadził się do dawnego domu Jareckiego) przygotowywał się do podróży w środku nocy, aby odwiedzić umierającego pacjenta. Kiedy jego stangret poszedł do stajni zaprząść konie do bryczki, spostrzegł, że ktoś siedzi w sadzie pod jabłónką: głowę miał opartą o pień drzewa, nogi podciągnięte pod brodę, u jego boku leżał jakiś pies. Wydawało się, że śpi. Stangret zdziwił się. Mężczyzna nie wyglądał na włóczęgę śpijącego pod gołym niebem, ale na pana. — Pewnie jest pijany! — powiedział do siebie stangret. Podszedł, aby go obudzić, ale w tym momencie postać rozplynęła się. Nie zostało też śladu po psie. Z wielkiego przerażenia stangret dostał ataku czkawki, który nie opuszczał go przez trzy dni. Dopiero kiedy czkawka ustąpiła, był w stanie powiedzieć, co widział.

Miasteczko podzieliło się na dwa obozy. Pobożni ludzie wierzyli, że dusza doktora Jareckiego wędruje przez wszystkie kręgi piekła i nie może znaleźć spoczynku. Natomiast bardziej sceptyczni obywatele twierdzili, że nie ma czegoś takiego jak dusza, a cała ta sprawa to zwykła histeria i zabobony. Ksiądz napisał list do zakonu urszulanek i otrzymał odpowiedź zawiadamiającą, że siostra Helena zmarła. Doktor Jarecki widocznie również już nie żył, bowiem duchy żyjących nie pałętają się po nocy. Jedna sprawa pozostała jednak zagadką nawet dla ludzi wierzących: Dlaczego dusza doktora Jareckiego pojawia się w oknie izby rabinackiej? Czego chrześcijanin-heretyk miałby szukać w domu rabina?

Wkrótce zaczęto przebąkiwać, że nocami w oknach zrujnowanego dworu widać światła. Stara babina, która przechodziła koło ruin, przysięgła, że słyszała cienki głos jakby matka nuciła dziecku kołysanki; staruszka rozpoznała głos Heleny. Inna chłopka potwierdziła to i dodała, że w księżycowe noce można zobaczyć na ścianie pokoju Heleny cień kołyski...

Po jakimś czasie ruiny rozebrano i na ich miejscu postawiono spichlerz. Dom rabina został przebudowany. Doktor dobudował nowe skrzydło do swojego domu i kazał ściąć jabłonki. Niebo i ziemia wspólnie knują, aby wszystko to, co istniało, zostało wyrwane z korzeniami i obrócone wniwecz. Tylko marzyciele, którzy śnią na jawie, przywołują cienie przeszłości i tkają z nie usnutych nici nie utkane sieci.

## Szida i Kuziba

### I

Szida i jej synek Kuziba, uczeń chederu, siedzieli dziewięć łokci pod ziemią, w miejscu, gdzie schodzą się dwa występy skalne i gdzie płynie podziemny strumień. Ciało Szidy składało się z pajęczyn, włosy sięgały jej do kostek, miała kurze łapy i skrzydła nietoperza. Kuziba, który był podobny do matki, miał w dodatku ośle uszy i rogi z wosku. Nękała go wysoka gorączka. Co pół godziny matka dawała mu lekarstwo zrobione z diabelskiego łajna zmieszanego z sokiem z miedzi, ciemnością czeluści i łajnem czerwonej krowy. Pochylona nad synem lizała długim językiem jego pępek. Kuziba spał niespokojnym snem chorego. Nagle chłopiec się obudził.

— Boję się, mamó — powiedział.

— Czego, kochanie?

— Światła. Ludzi.

Szida zadrżała, po czym splunęła na syna, aby odgonić złe moce.

— O czymże ty mówisz, dziecko? Jesteśmy tutaj bezpieczni — daleko od światła i ludzkich istot. Jest tutaj, dzięki Bogu, ciemno jak w Egipcie i cicho jak na cmentarzu. Chroni nas dziewięć łokci twardej skały.

— Ale mówi się, że ludzie potrafią kruszyć kamień — powiedział chłopiec.

— Babskie gadanie! — odparła matka. — Człowiek ma moc tylko na powierzchni ziemi. Wysokie przestworza są dla aniołów, a głębiny dla nas. Przeznaczeniem człowieka jest pełzać po powierzchni ziemi jak wesz.

— Ale czym są właściwie ludzkie istoty, matko? Powiedz mi.

— Czym są? Odpadami stworzenia, śmieciem; tam, gdzie w kotle warzy się grzech, ludzkość stanowi pianę. Człowiek to błąd popełniony przez Boga.

— Jak Wszechmocny Bóg może popełniać błędy? — zapytał Kuziba.

— To tajemnica, moje dziecko — odparła Szida. — Bowiem kiedy Bóg stworzył ostatni ze światów, ziemię, jego miłość do naszej pani, Lilit, była mocniejsza niż kiedykolwiek. Jedynie na chwilę odbiegł gdzieś wzrokiem i w tym momencie stworzył człowieka — przepełnioną złem mieszaninę ciała, miłości, gówna i chuci. — Człowiek! — splunęła Szida. — Ma białą skórę, ale wewnątrz jest czerwony. Krzyczy jakby był mocny, ale tak naprawdę jest słaby i chwiejny. Rzuć kamieniem, a pada; użyj rzemienia, a krwawi. W upale topi się. W zimnie zamarza. W jego piersi znajduje się miech, który musi stale kurczyć się i rozszerzać. W jego lewym boku tkwi mały pęcherzyk, który musi pulsować i drgać przez cały czas. Opycha się pleśnią rosnącą w błocie lub piasku. Musi ją bez przerwy łykać, a kiedy przejdzie już przez jego ciało, musi ją wydalić. Uzależniony jest od tysiąca przypadków i dlatego właśnie jest taki obmierzły i wściekły.

— Ale co czynią ludzie, mamó?

— Zło — odparła Szida, — tylko zło. Ale to zajmuje im wiele czasu i dlatego zostawiają nas w spokoju. Cóż, niektórzy z nich nawet twierdzą, że nas nie ma. Sądzą, że życie może istnieć jedynie na powierzchni ziemi. Jak wszyscy głupcy uważają się za mądrych. Wyobraź sobie tylko! Zgłębiają mądrość z pokruszonej miazgi drzewnej umazanej plamami atramentu. A ich pomysły biorą się ze szlamu, który noszą w czaszce z kości osadzonej na szyi. Nie potrafią nawet biegać tak jak zwierzęta: ich nogi są zbyt słabe. Ale jedno posiadają w wielkiej obfitości: zuchwalstwo. Gdyby Bóg Wszechmocny nie miał tyle cierpliwości, zniszczyłby ten motłoch dawno temu.

Kuziba, który słuchał skwapliwie słów matki, nie dawał się przekonać. Rzucił jej gorączkowe spojrzenia.

— Boję się ich, mamó. Boję się.

— Nie bój się, Kuzibo. Nie mogą tu przyjść.

— Śnią mi się, kiedy śpię — Kuziba zadrzał.

— Nie trzęś się tak, kochanie — Szida pogłaskała syna. — Sny są głupie. One także pochodzą z powierzchni ziemi, gdzie panuje chaos.

## II

Kuziba, który pogrążony był przez jakiś czas w głębokim śnie, nagle wydał z siebie okrzyk. Matka obudziła go.

— Co się stało, synku?

— Boję się.

— Znowu?

— Śnił mi się jakiś człowiek.

— Jak wyglądał, moje dziecko?

— Bardzo groźnie. Robił taki hałas, że o mało nie ogłuchłem. I miał światło, które mnie oślepiało. Umarłbym ze strachu, gdybyś mnie nie obudziła.

— Cicho, syneczku. Zaśpiewam ci zaklęcie.

I Szida zamruczała:

*Panie ciemności  
Przeklnij ziemski blask,  
O, Panie Ciszy  
ucisz wszelki wrzask.*

*Ocal nas, Ojcze  
Od światła, od słów,  
Od ludzi, ich kłamstw  
Boże, ocal nas.*

Przez chwilę panowała cisza. Kuziba zapadł w drzemkę. Szida lulala jedy-naka, kołysząc się nad nim rytmicznie. Myślała o swoim mężu Hurmizie, który nie mieszkał w domu. Udał się do jesiwy Chitima i Tachtima, która znajdowała się tysiące łokci głębiej, bliżej środka ziemi. Studiował tam tajemnice ciszy. Cisza ma bowiem wiele stopni. Szida wiedziała, że bez względu na to jak jest cicho, może być jeszcze ciszej. Cisza jest jak owoce, które mają pestki w pestkach, nasiona w nasionach. Istnieje cisza ostatecz-na, ostatni punkt tak maleńki, że jest niczym, a jednak tak potężny, że moż-na z niego tworzyć swaty. Ten ostatni punkt to esencja wszelkich esencji. Cała reszta to oprawa, nic, tylko skóra, naskórek, powierzchnia. Ten, kto osiągnął ów ostateczny punkt, ten ostatni stopień ciszy, nie wie nic o czasie i przestrzeni, o śmierci i pożądaniu. Tam mężczyzna i kobieta są złączeni na

wieczność, wola i czyn stają się jednym. Ta ostateczna cisza to Bóg. Ale sam Bóg wciąż drąży dalej w głąb samego siebie. Zstępuje we własne głębiny. Jego natura przypomina jaskinię bez dna. Nie przestaje badać własnej otchłani.

Kuziba zasnęła. Szida także odpoczywała z głową opartą o kamienną poduszkę. Sennie wyobrażała sobie, jak Kuziba wyrośnie na dużego diabła; jak ożeni się i zostanie ojcem i jak ona, Szida, będzie służyć swojej synowej i wnukom. Dzieci zaczną do niej mówić babciu, a ona będzie iskać im wszy z głów. Będzie zaplatać dziewczynkom warkocze, wycierać chłopcom nosy, zabierać ich do chederu, karmić, usypiać. Potem wnuki też dorosną i zostaną poprowadzone pod czarne chupy, aby poślubić synów i córki najbardziej szanowanych i uznanych demonów.

Jej mąż Hurmiz zostanie rabinem podziemnego świata, będzie wydawał amulety, odmawiał zaklęcia. Będzie uczył diabliki rozdziału przekleństw na Górze Ebal oraz przekleństw, które Balaam powinien był użyć wobec Izraelitów; nauczał ich będzie prorocत्व fałszywych proroków, kusicielskich słów, które wąż wypowiedział w rajskim ogrodzie; opowie im o upadłych aniołach, pomieszaniu języków wśród tych, którzy zbudowali wieżę Babel; wykladał im będzie o występkach ludzi w czasach potopu, próżności Jeroboama i Achaba, Jezabel i Waszti. Potem Hurmiz zostanie królem demonów. Dostanie tron w Wielkiej Otchłani, tysiąc mil od powierzchni ziemi, gdzie nikt nigdy nie słyszał o człowieku i jego szaleństwach.

Nagle marzenia Szidy zostały przerwane. Dały się słyszeć straszliwe grzmoty. Szida zerwała się na równe nogi. Ogłuszający łomot wypełnił jaskinię jak gdyby waliło naraz tysiąc młotów. Wszystko się trzęsło. Kuziba obudził się z krzykiem.

— Mamo, mamó! — wrzeszczał chłopiec. — Uciekajmy! Uciekajmy!

— Pomocy, demony! Pomocy! — wykrzyknęła Szida.

Złapała Kuzibę w ramiona i próbowała uciekać. Ale dokąd? Ze wszystkich stron dochodził łomot i trzask. Pękały skały; wokół latały kamienie. Wąski otwór, który prowadził dalej w głąb ziemi, do domów bogatszych demonów, był już zatarasowany. Deszcz pyłu, iskier i skalnych odłamków uderzył w matkę i syna. Potem jakieś światło, straszliwe, oślepiające, coś, na co brakuje nazwy w świecie podziemi, odebrało im moc widzenia. Jednocześnie



potworna machina w kształcie spirali przebiła się przez występ skalny znajdujący się tuż przed nimi. Szida opadła na przeciwległą ścianę, ale w tym momencie ta także roztrzaskała się na tysiące kawałków. Pojawiło się drugie światło i do ich domu wdarła się kolejna gigantyczna śruba obracająca się nieustannie dokoła, pchana dziwną, obezwładniającą siłą, gotowa kruszyć i mleć wszystko z nigdzie nie znanym okrucieństwem.

Kuziba wydał straszliwe westchnienie i zemdlał. Zwiślał z rąk Szidy jak umarły. Szida dostrzegła szczelinę między kamieniami i wpełzła do środka. Siedziała skulona i sztywna ze strachu. To, co ujrzała, było straszniejsze niż wszystkie przerażające historie, które kiedykolwiek słyszała od babek i prababek. Świdry obróciły się po raz ostatni, po czym ucichły. Kamienie przestały spadać, a wśród dymu i pyłu pojawili się ludzie — wysocy, dwunożni, brudni, cuchnący, o białych zębach w twarzach czarnych od dziegciu, o oczach pałających podłością, niegodziwością i pychą. Mówili między sobą brzydkim żargonem; śmiali się bez opamiętania, tańczyli, wyciągali do siebie łapska. Potem zaczęli pić trujący trunek, którego sam zapach sprawiał, że Szida mdlała. Chciała ocucić Kuzibę, ale obawiała się, że gdyby odzyskał przytomność, zaczęłyby wrzeszczeć albo nawet umarłoby na widok takich potworów. Jedyne, co Szida była teraz w stanie zrobić, to modlić się. Modliła się do Szatana i Asmodeusza, do Lilit i do wszystkich innych przewodnich mocy. — Pomóżcie nam — wołała ze szczeliny, gdzie znaleźli schronienie, — pomóżcie nam, nie ze względu na moje zasługi, ale zasługi mego uczonego męża, ze względu na moje niewinne dziecko i czcigodnych przodków. Długo, długo klęczała Szida w szczelinie między kamieniami, modląc się i płacząc. Kiedy ponownie otworzyła oczy, brzydkie zjawy zniknęły, a hałas ustał. Pozostały jedynie śmieci, smród i kula światła wisząca nad jej głową jak ogień z gehenny. Dopiero teraz obudziła syna.

— Kuziba, Kuziba! Obudź się! — zawołała Szida do syna. — Jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie!

Kuziba otworzył oczy.

— Co to? Och, mamó. Światło!

Chłopiec drżał i krzyczał. Przez długą chwilę Szida pocieszała go pieszcząc i całując. Nie mogli tam jednak dłużej zostać. Musieli uciekać. Ale dokąd? Droga do Hurmiza była odcięta. Szida była teraz aguną, Kuziba dzieckiem

pozbawionym ojca. Pozostawała tylko jedna droga. Szida słyszała kiedyś powiedzenie, że jeśli nie da się iść w dół, trzeba iść w górę. Matka i syn zaczęli wspinać się w kierunku powierzchni. Tam w górze również będą jaskinie, mokradła, groby, ciemne skalne szczeliny; tam również — jak słyszała — są gęste lasy i bezludne pustynie. Człowiek mimo swej zachłanności nie zdołał zagarnąć jeszcze całej powierzchni. Tam także mieszkają demony, chochliki, zjawy i straszdyła. Co prawda są uchodźcami, wygnańcami z podziemnego świata, ale mimo wszystko wygnanie jest lepsze niż niewola.

Szida wiedziała bowiem, że ostateczne zwycięstwo przypadnie ciemności. Zanim to nastąpi, demony, które zostały opuszczone lub wypędzone, muszą zdobyć się na cierpliwość. Ale przyjdzie czas, kiedy światło wszechświata zgaśnie. Zgasną wszystkie gwiazdy, zamilkną głosy, wszystkie powierzchnie zostaną odcięte. Bóg i Szatan staną się jednym. Wspomnienie o człowieku i obrzydliwościach z nim związanych będzie niczym innym jak złym snem, który snuł Bóg, aby na krótką chwilę oderwać myśli od odwiecznej nocy.

## Karykatura

Ściany gabinetu, w którym siedział doktor Borys Margolis czytając swój rękopis, wypełnione były książkami, a na podłodze i sofie wały się gazety, czasopisma, zużyte koperty. Poza tym stały tam dwa kosze na śmieci pełne papierów, które doktor zabronił komukolwiek wyrzucać, zanim raz jeszcze ich nie przejrzy. Książki o nie rozciętych stronicach, rękopisy, jego własne i innych autorów, listy, które dotąd nie zostały otwarte — wszystko to stanowiło prawdziwą plagę w mieszkaniu. Papiery gromadziły kurz; można było dostrzec pełzające po nich robaki. Panował tutaj wszechwładnie zapach farby drukarskiej, laku, dymu cygar i jeszcze czegoś, cierpkiego i stęchłego. Codziennie doktor Margolis sprzeczał się ze swoją żoną Matyldą na temat sprzątania pokoju, ale popielniczki dalej były pełne niedopałków cygar i resztek jedzenia. Matylda trzymała go na diecie i w związku z tym głód stale nękał doktora. Ciągle pogryzał biszkopty, chałwę, czekoladę; lubił także smak wódki. Mimo że ostrzegano go, by nie strzepywał popiołu gdzie popadnie, na parapecie okiennym i fotelach leżały małe, szare kupki. Doktor nie pozwalał otwierać okien, aby wiatr nie wywiał mu papierów. Niczego nie wolno było wyrzucić bez jego zgody, a doktor Margolis nigdy zgody nie wyrażał. Badawczo spoglądał spod krzaczastych brwi na dany kawałek papieru i prosił:

— Nie, lepiej jeszcze to zatrzymam przez jakiś czas.

— Przez jaki czas? — pytała Matylda. — Aż nadejdzie Mesjasz?

— No przecież że nie dłużej — obruszał się doktor Margolis. Kiedy ma się sześćdziesiąt dziewięć lat i słabe serce, nie można odwlekać wszystkiego bez końca. Przyjął na siebie tyle zobowiązań, że nie starczało mu dnia. Różni uczeni z Anglii i Ameryki, nawet z Niemiec, w których do władzy doszedł ten maniak Hitler, ciągle pisali do niego do Warszawy listy. Jako że doktor Margolis drukował od czasu do czasu krytyczne eseje w czasopiśmie naukowym,

autorzy przysyłali mu do zrecenzowania swoje książki. Kiedyś zaprenumerował kilka pism filozoficznych i choć dawno temu zrezygnował z ich prenumeraty, pisma dalej nadchodziły wraz z przypomnieniem o terminie płatności. Większość uczonych jego generacji zmarła. On sam przez jakiś czas popadł niemalże w zapomnienie. Ale nowe pokolenie odkryło go ponownie i teraz zasypywany był listami pełnymi uznania oraz różnorodnych próśb. Akurat kiedy ostatecznie pogodził się z faktem, że nigdy nie ujrzy swego dzieła w druku (praca ta była owocem dwudziestopięcioletnich studiów), skontaktował się z nim pewien szwajcarski wydawca. Posunął się nawet tak daleko, że dał doktorowi Margolisowi pięćset franków zaliczki. Ale teraz, gdy wydawca czekał na maszynopis, doktor Margolis uzmysłowił sobie, że praca ta zawiera mnóstwo błędów i nieścisłości, a nawet sprzeczności. Nie był pewien, czy jego filozofia, będąca powrotem do metafizyki, ma jakąkolwiek wartość. W wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat nie odczuwał już potrzeby ujżenia swojego nazwiska w druku. Jeśli nie potrafi stworzyć spójnego systemu, lepiej zamilczeć.

Siedział tak doktor Margolis, niski, barczysty, z pochyloną głową, na której białe włosy powiewały jak pióra. Spiczasta bródka sterczała do góry, ku siwym wąsom osmalonym cygarami, które wypalał niemalże do końca; policzki miał obwisłe. Między gęstymi, krzaczastymi brwiami a workami pod oczyma znajdowały się oczy doktora: ciemne i poczciwe pomimo bystrego, świdrującego spojrzenia. Tęczówki pokryte były brązowymi, rogowymi plamkami; zaczęła się tworzyć katarakta i prędzej czy później doktor będzie musiał poddać się operacji. Z nosa i uszu doktora uszu wystawały kępki włosów. Każdego ranka Matylda przypominała mu, aby włożył szlafrok i ranne pantofle, ale on, gdy tylko wstał, zakładał czarne ubranie, kamasze, sztywny kołnierzyk i czarny krawat. Nie zważał ani na żonę, ani na lekarzy. Wylewał przepisane mu lekarstwa do zlewu, wyrzucał pigułki, bezustannie palił, pochłaniał rozmaite słodczyce i tłuste potrawy. Teraz siedział czytając i strojąc różne miny. Szarpał się za brodę, prychał i mruczał.

— Bzdury. Głupoty. Do niczego.

Matylda stanęła w drzwiach, mała i okrągła jak baryłka, ubrana w jedwabne kimono i sandały ukazujące powykręcane palce u nóg. Zawsze gdy doktor Margolis na nią patrzył, ogarniało go zdumienie. Czy to naprawdę ta sama kobieta, w której się zakochał i którą odebrał innemu mężczyźnie trzydzieści

dwa lata temu? Z wiekiem stawała się coraz mniejsza i tęższa; brzuch zwisał jej jak u mężczyzny. Jako że nie miała właściwie szyi, jej duża kwadratowa głowa wyrastała wprost z ramion. Nos miała płaski, a jej grube wargi i wydatne szczęki przywodziły mu na myśl buldoga. Przez rzadkie włosy Matyldy prześwitywała naga czaszka. Najgorsze, że zaczęła jej rosnąć broda i choć starała się ścinać, golić i przypalać zarost, robił się coraz gęstszy. Skóra jej twarzy pokryta była brodawkami, z których wyrastały ostre włoski nieokreślonej barwy. Róż odłaził z bruzd na jej twarzy niczym tynk. Oczy miały surowy męski wyraz. Doktor Margolis przypomniał sobie powiedzenie Schopenhauera: Kobieta ma wygląd i mentalność dziecka. Jeśli dojrzewa intelektualnie, jej twarz przyjmuje męskie oblicze.

— Czego chcesz? — zapytał doktor Margolis.

— Otwórz okno. Cuchnie tutaj.

— To dobrze, niech sobie cuchnie.

— Co z tym maszynopisem? Czeka ją na niego w Bernie.

— Niech sobie czekają.

— Jak długo mają czekać? Taka okazja nie zdarza się co dzień.

Doktor Margolis odłożył pióro. Na pół obrócił się do Matyldy i dmuchnął w nią dymem. Zaciągnął się po raz ostatni i wypluł kawałek cygara, który jeszcze się żarzył.

— Odeślę im te pięćset franków, Matyldo.

Matylda odsunęła się.

— Odesłać pieniądze? Zwariowałeś.

— To nie ma sensu. Nie mogę wydać czegoś, co mi się nie podoba. Nieważne, jeśli inni rozszarpią mnie na kawałki. Ale ja sam muszę być przekonany, że ma to jakąś wartość.

— Przez te wszystkie lata twierdziłeś, że to genialne dzieło.

— Niczego takiego nie mówiłem. Miałem nadzieję, że może jest coś warte, ale jak mawiano u mnie w domu: „Chcieć i mieć to dwie różne rzeczy”. — Doktor Margolis sięgnął po kolejne cygaro.

— Nie zwrócę ani franka! — zawołała Matylda.

— Nie chcesz chyba, żebym na starość został złodziejem?

— W takim razie wyślij im maszynopis. To najlepsze z tego, co napisałeś. Co cię opętało? A poza tym, jak możesz być swoim własnym sędzią?

— A kto ma nim być? Ty?

— Tak, ja. Inni ludzie co rok wydają książkę, a ty siedzisz nad tymi swoimi nieszczęsnymi bazgrołami jak kura na jajach... Ślęczysz tu i wszystko psujesz... Nie mam pieniędzy, wszystko wydałam... Czym mniej będziesz w tym dłużej, tym lepiej na tym wyjdiesz. Zaczynam już myśleć, że masz sklerozę.

— Może i tak.

— Nie mam już tych pieniędzy.

— No już dobrze, jakoś to będzie — wymamrotał doktor Margolis, trochę do Matyldy, a trochę do siebie samego. Od wielu dni przymierzał się do powiadomienia jej o swoim postanowieniu, ale obawiał się, że urządzi mu scenę. Teraz najgorsze miał już poza sobą. W ten czy inny sposób uda mu się zdobyć te pięćset franków. Najwyżej weźmie pieniądze z kasy pożyczkowej. Moryc Trajbiczer zgodzi się za niego poręczyć. A co do jego tak zwanej nieśmiertelności, to i tak przepadła. Zmarnował ostatnie lata (lata w Berlinie, jak również czas spędzony w Warszawie) na wykłady, artykuły i konferencje syjonistyczne. A zresztą, co z tego, jeśli praca zostanie opublikowana, a kilku profesorów ją pochwali? Filozofia stała się niczym innym jak historią ludzkich złudzeń. Hume zadał jej *coup de grâce* i faktycznie ją pogrzebał. Wysiłki Kanta zmierzające do wskrzeszenia filozofii spełzły na niczym. Jego następcy pisali głównie komentarze. Poplamionymi od tytoniu palcami doktor Margolis zaczął szukać zapałki. Ogarnęło go przemożne pragnienie palenia. Potem znowu zwrócił się w stronę drzwi.

— Co, jeszcze tu jesteś?

— Chcę, żebyś wiedział, iż jutro zamierzam wysłać rękopis, czy ci się to podoba czy nie.

— A więc to ty teraz rządzisz? Nie, jeszcze dzisiaj znajdzie się w koszu.

— Ani mi się waży. Co zrobimy na stare lata? Pójdziemy żebrać?

Doktor Margolis wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Już jesteśmy starzy. Czy sądzisz, że będziemy żyć tak długo jak Matuzalem?

— Nie zamierzam na razie umierać.

— No dobrze, dobrze, zamknij drzwi i zostaw mnie w spokoju. Nie wtrącaj się w moje sprawy.

Usłyszawszy trzaśnięcie drzwi, odszukał zapalki i zapalił cygaro. Wdychając głęboko gorzki dym przeczytał dalsze trzy zdania, które także mu się nie spodobały. Ostatniego stwierdzenia nie mógł sobie nawet przypomnieć. Gdyby nie jego charakter pisma, sądziłby, że kto inny to napisał. Brzmiało banalnie. Składnia była niepoprawna. Słowa nie oddawały istoty zagadnienia. Doktor Margolis siedział z otwartymi ustami. Czy to wina jakiegoś dybuka? Zaczął kręcić głową, jakby upatrywał w tym działania jakichś nadprzyrodzonych sił. Przypomniawszy sobie zdanie z księgi Koheleta: „Ponadto, mój synu, przyjmij przestrożę: Pisaniu wielu ksiąg nie ma końca”. Widocznie nawet w tamtych czasach ludzie za dużo gryzmolili. Przypomniawszy sobie o butelce koniaku w biblioteczce.

— Chyba napiję się odrobinę. Teraz nie może mi już zaszkodzić.

Mijały dni i doktor Margolis nie mógł zdecydować się, co ma robić. Im dłużej pracował nad rękopisem, tym bardziej czuł się zakłopotany. Było tam trochę trafnych myśli, ale struktura pracy pozostawiała wiele do życzenia, nie mówiąc już o innych słabościach. Próbował ją skracać, ale pozostawionym fragmentom brakowało spójności. Książkę należało napisać od nowa, lecz on nie miał już potrzebnej do tego energii. Ostatnio dłonie zaczynały mu drżeć. Pióro ślizgało się po papierze i zostawiało kleksy; opuszczał litery i słowa. Znalazł nawet błędy ortograficzne, widać zapomniał niemieckiego. Czasami łapał się na używaniu żydowskich idiomów. Co więcej, kiedy tylko brał się do pracy, zapadał w drzemkę. W nocy leżał godzinami nie zmrużywszy oka, a jego umysł był wtedy wyjątkowo rzeński. Tworzył fikcyjne przemowy, wymyślał dziwne kalambury i spierał się z takimi znakomitościami jak Wundt, Kuno Fischer i profesor Bauch. Ale w ciągu dnia szybko się męczył. Garbił się i głowa mu opadała. Śniło mu się, że jest w Szwajcarii — bez grosza, głodny, bezdomny i że lada chwila zostanie deportowany przez miejscowe władze.

— Może Matylda ma rację, że to skleroza? — powiedział do siebie doktor Margolis. — Mózg to po prostu maszyna i w końcu się zużywa. Niewykluczone, że materialści mają mimo wszystko rację.

Przyszła mu do głowy przewrotna myśl. W świecie, gdzie wszystko jest na opak, Feuerbach może być nawet Mesjaszem.

Tego wieczora doktor Margolis poszedł na zebranie. Dotyczyło ono hebrajskiej encyklopedii, którą zaczęto redagować wiele lat temu w Berlinie. Teraz, gdy Hitler został kanclerzem, redakcja przeniosła się do Warszawy. Prawdę mówiąc całe to przedsięwzięcie było absurdalne. Brakowało zarówno funduszy, jak i autorów. W dodatku hebrajski nie posiadał terminologii technicznej potrzebnej w nowoczesnej encyklopedii. Ale komitet redakcyjny nie rezygnował. Znaleźli bogatego mecenasa chętnego do finansowania dzieła. W ten sposób kilku uchodźców miało z czego żyć. „Cóż, chodzi tylko o wyciągnięcie pieniędzy...” — pomyślał sobie doktor Margolis. Ale przecież nie zaszkodzi, jeśli spędzi parę godzin na takim posiedzeniu. Spotkanie miało się odbyć w domu mecenasa, do którego doktor Margolis udał się taksówką. Wjechał na górę zdobioną rzeźbami windą, a kiedy znalazł się w mieszkaniu, usadzono go na honorowym miejscu przy stole. Gospodarz, Moryc Trajbiczer, mały, łysy człowieczek o różowych policzkach i wystającym brzuchu, przedstawił go najpierw swojej potężnej żonie, a potem córkom, tlenionym blondynkom ubranym w wydekoltowane suknie. Doktor Margolis rozmawiał z żoną i córkami łamaną polszczyzną. Serwowano herbatę, konfitury, ciasta, likiery i choć doktor Margolis był po obiedzie, przysmaki te pobudziły jego apetyt. Palił hawańskie cygara swojego zamożnego gospodarza, jadł i pił, próbując jednocześnie wyjaśnić trudności związane z wydaniem takiej encyklopedii.

— Pomijając pozostałe problemy, jest przecież także Hitler, który nie zamierza zostać w Berchtesgaden. Któregoś dnia zjawi się tutaj...

— Niech pan wypluje te słowa, doktorze — przerwał mu Trajbiczer.

— Spengler miał rację. Europa popełnia samobójstwo.

— Przeżyliśmy Hamana, przeżyjemy i Hitlera.

— Oby tak się stało. Żydzi budują wszystko na swojej wierze w przetrwanie, ale co jest podstawą tej wiary? Ech, weźmy się do roboty i wydajmy tę encyklopedię. Nikomu to nie zaszkodzi.

Wśród ludzi obecnych na spotkaniu niektórzy mówili miejscowym jidysz, inni zaś jego niemiecką odmianą. Jeden z mężczyzn, człowiek o krótkiej siwej brodzie, w okularach w złotej oprawie, mówił po hebrajsku z sefardyjskim akcentem. Był tam także pewien profesor, uchodźca z Berlina, który nosił



monokl na lewym oku i wyglądał jak junkier. Nosił się sztywniej niż jakikolwiek znany doktorowi Prusak i robił uwagi na temat *Ost-Juden*. Doktor Margolis słuchał jednym uchem. Każdy z tych wyrachowanych osobników miał swoje ambicje i osobliwości. Uganiali się za paroma złotymi i tym niewielkim prestiżem, jaki zapewniała encyklopedia. Sam mecenas posunął się tak daleko, że zasugerował, aby dzieło nosiło jego nazwisko: Encyklopedia Trajbiczer. A przecież pokrył tylko niewielką część wydatków. Mikroby, myślał doktor Margolis, nie tylko mikroby. Małeńka bryłka materii, technienie ducha. Cała sprawa trwa zaledwie chwilę, jak mówi modlitewnik. No, ale przecież trzeba zapłacić komorne, a kiedy brakuje pieniędzy, życie potrafi być bardzo gorzkie. Siły, które stworzyły człowieka, nie oszczędziły mu cierpień... Robiło się późno i Moryc Trajbiczer zaczął ziewać. Jak zwykle postanowiono zwołać kolejne posiedzenie. Goście rozeszli się, ucałowawszy uprzednio ciężkie od bransolet ręce gospodyni. Winda była tak zatłoczona, że doktor Margolis musiał wciągnąć brzuch. Kiedy wyszli na podwórze, okazało się, że brama jest zamknięta. Stróż burknął na nich, zaszczeakał pies. Doktor Margolis rozglądał się za taksówką, ale nie widział żadnej. Profesor z Berlina zniecierpliwiał się.

— Ach — powiedział, — ta Warszawa to azjatyckie miasto!

W końcu jakaś taksówka się zatrzymała i profesor odjechał. Doktor Margolis czekał tak długo, aż w końcu zrezygnował i poszedł szukać tramwaju. Czuł się przejezdzony, ledwo co widział na źle oświetlonej ulicy, szedł stukając przed sobą laską niczym ślepiec. Najpierw wydawało mu się, że schodzi ze śliskiego zbocza, a potem miał wrażenie, że to chodnik jest pochyły. Chciał się dowiedzieć od jakiegoś przechodnia, w którą stronę powinien się udać, ale pytany mężczyzna nie odpowiedział. „Dostanie mi się od Matyldy”, pomyślał. Nigdy nie przestawała mu powtarzać o konieczności wczesnego chodzenia spać. Zaczął o niej rozmyślać. Dawniej nie wtrącała się do jego spraw. Zajmowała się domem i strojami, jeździła do kurortów popijając wodę mineralną. Kiedy próbował rozmawiać z nią na temat filozofii, nie chciała słuchać; nie czytała również recenzji jego prac, które jej pokazywał. Unikała jakiegokolwiek wysiłku intelektualnego. Teraz, kiedy stracił ambicję, ona ją przejęła. Czytała jego młodzieńcze prace, a kiedy chodzili gdzieś w gości, tytułowała go profesorem, wychwalała i nawet próbowała wyjaśniać jego filozofię. Powtarzała jego dowcipy, wyrażała się złośliwie o jego wrogach,

naśladowała jego zachowanie. Było mu wstyd z powodu jej niewiedzy i przesadnie manifestowanego oddania. Wszystko to nie przeszkadzało jej jednak obrzucać go w domu najgorszymi wyzwiskami. Jak mówi polskie przysłowie: „Starość nie radość”. Nie, starość to tylko parodia własnej młodości.

W końcu doktor Margolis znalazł właściwy tramwaj i pojechał do domu. Musiał czekać Bóg wie jak długo na stróża, aby ten otworzył mu bramę. Dysząc ciężko zaczął wspinać się po ciemnych schodach; przystawał, żeby odpoczywać. Serce mu waliło jak młot, coraz to wydawało mu się, że przestaje bić. W kolanach czuł ciężar, jak gdyby wspinał się na wysoką górę. Słyszał swój chrapliwy oddech. Otarł pot z czoła, otworzył kluczem drzwi i wszedł do środka na palcach, żeby nie budzić Matyldy. Rozebrał się w salonie, zostawiając na sobie tylko kalesony. Lustro odbijało jego nagie ciało — klatkę piersiową pokrytą siwymi włosami, potężny brzuch, wyjątkowo krótkie nogi i żółte paznokcie. „Dzięki Bogu nie chodzimy nago” — pomyślał doktor Margolis. Żadne zwierzę nie dorównuje brzydotą *homo sapiens*... Wszedł do sypialni i w półmroku zobaczył, że łóżko Matyldy jest puste. Przeraziło go to tak bardzo, że zapalił światło.

— Co tu się znowu dzieje? — powiedział głośno doktor Margolis. — Nie mogła przecież wyskoczyć oknem!

Wrócił do przedpokoju i zobaczył, że w gabinecie pali się światło. Co może tam robić o tej porze? Podszedł do drzwi i otworzył je na oścież: przy biurku siedziała Matylda ubrana w jego szlafrok i bambosze. Spała. Przed nią leżał otwarty rękopis. Niedopalone cygaro opierało się o popielniczkę, a wśród porzucanych papierów stała butelka koniaku i kieliszek. Nigdy wcześniej jej broda nie wydała mu się równie groteskowa: była długa i gęsta, jakby w ciągu kilku godzin jego nieobecności gwałtownie urosła. Głowę miała niemal zupełnie łysą. Matylda chrapała głośno. We śnie jej brwi były ściągnięte, a owłosiony, męski nos szczególnie wydatny; z nozdrzy wyrastały kępki włosów. W jakiś tajemniczy sposób upodobniła się do niego: przypominała odbicie, które dopiero co ujrzał w lustrze. Mąż i żona dzielą poduszkę tak długo, aż ich głowy stają się jedną — przypomniał sobie żydowskie przysłowie doktor Margolis. Ale nie, chodziło o coś więcej. To było biologiczne upodobnienie jak w przypadku owych stworzeń, które udają drzewa i krzewy lub ptaka, którego dziób wygląda jak banan. Jaki jednak był sens takiej mimikry w podeszłym wieku? Jak mogła się ona przyczynić dla dobra gatun-

ku? Ogarnęło go współczucie i obrzydzenie jednocześnie. Widocznie chciała przekonać samą siebie, że książka warta jest druku. Na jej mocno zaciśniętych powiekach widniało niezadowolenie, wyraz rozczarowania, który pozostaje czasami na twarzy nieboszczyka. Zaczął ją budzić:

— Matyldo! Matyldo!

Poruszyła się, zaraz potem obudziła i zerwała na równe nogi. Mąż i żona przyglądali się sobie nawzajem, w milczeniu i zdumieniu, z uczuciem owej obcości, która czasami rodzi się po długim okresie wspólnego życia. Doktor Margolis chciał na nią nakrzyczeć, ale nie potrafił. To nie jej wina. Było to widocznie ostatnie stadium zanikającej kobiecości.

— Już późno — powiedział. — Chodź spać, głupia.

Matylda wzdrygnęła się i wskazała na rękopis. — To wielka rzecz, dzieło geniusza.

## Żebrak tak powiedział

### I

Pewnego upalnego dnia na rynek w Janowie wtoczył się duży wóz zaprzężony w jednego konia. Zapchany był przeróżnymi łałchami i pościelą, obładowany bańkami i wiadrami, a z osi między tylnymi kołami zwiślała latarnia. Na tym wszystkim chybotąła się niepewnie doniczka z kwiatem i klatka z małym, żółtym ptaszkiem. Woźnica miał ciemne włosy i czarną jak smoła brodę. Nosił czapkę ze skórzany daskiem i nietypowo skrojony płaszcz. Na pierwszy rzut oka można by go wziąć za kacapa. Ale towarzysząca mu kobieta miała głowę przykrytą jak inne Żydówki. Czyli jednak musieli być Żydami. Natychmiast ze wszystkich okolicznych sklepików wybiegli na spotkanie nowych przybyszów miejscowi Żydzi. Obcy stanął na rynku z batem w dłoni.

— Którrrędy do magistrrrratu? — zapytał. Wymawiał „r” wielkopolskim dialektem, twardo i ostro.

— A na co wam magistrat?

— Chcę być kominiarzem — powiedział przybysz.

— Czemu to Żyd miałby zostać kominiarzem?

— Przez dwadzieścia pięć lat służyłem w wojsku. Mam papiery uprawniające mnie do pracy.

— Ale u nas w miasteczku jest już kominiarz.

— Żebrrrak mówił, że nie ma — upierał się przybysz.

— Jaki żebrak?

— No, ten co przyszedł do naszego miasteczka.

Okazało się, że nowo przybyły — miał na imię Mosze — był kominiarzem w jakimś małym miasteczku po drugiej stronie Wisły, niedaleko pruskiej granicy. Pewnego dnia przybył tam żebrak, który wędrował z miejsca na miejsce, i napomknął, że w Janowie potrzebują kominiarza. Mosze i jego żona nie tracili czasu; załadowali cały swój dobytek na wóz i wyruszyli do Janowa.

Chłopaki przyglądali się im z uśmiechem, poszturchiwali się i wymieniali znaczące spojrzenia. Starsi gospodarze wzruszali ramionami.

— Dlaczego nie napisaliście przedtem listu? — zapytali Mosze.

— Nie umiem pisać — on na to.

— Można przecież kogoś poprosić, żeby napisał. Żebracy nie od dzisiaj zmyślają różne rzeczy.

— Ale ten żebrak powiedział...

Cała rozmowa i argumenty zdały się na nic. Na każde pytanie ten człowiek miał jedną odpowiedź: „Żebrak tak powiedział”. Można by się spodziewać, że jego żona będzie miała więcej rozumu, ale ona też powtarzała ten sam refren: „Żebrak tak powiedział”. Tłum mieszkańców rósł szybko i dziwna historia wędrowała z ust do ust. Gapie zaczęli szeptać; kręcili głowami i nie szczędzili żartów. Jeden z mężczyzn, handlarz mąką, zawołał:

— Pomyśleć tylko, wierzyć jakiemuś włóczędze!

— Może ten żebrak był prorokiem Eljaszem w przebraniu — zakpił ktoś inny.

Dzieci wyszły właśnie z chederu i przedrzeźniały przybyszów.

— Żebrak tak powiedział! — wykrzykiwały za nimi. Młode dziewczęta chichotały, a starsze niewiasty załamywały ręce i biadały nad losem tych nieszczęsnych głupców z Wielkopolski. Tymczasem Mosze kominiarz napełnił jedną z baniek wodą z pompy i napoił konia. Potem przywiązał torbę z owsem wokół szyi zwierzęcia. Zza końskiej uzdy wysadzanej kawałkami mosiądzu wystawały dwie sosnowe gałęzie. Dyszel był pomalowany na niebiesko. Wszyscy wkrótce zobaczyli, że podróżni oprócz konia i ptaka mają ze sobą dziwną menażerię składającą się z gęsi, kaczek, kur i jednego czarnego koguta z czerwonym grzebieniem — a wszystko to razem w jednej klatce.

Jako że w Janowie nie było wówczas pustych domów, przybyszów na razie umieszczono w przytułku. Jakiś woźnica wziął ich konia do siebie do stajni, a ktoś inny kupił drób. Żona Moszego, Mindel, natychmiast przyłączyła się do żon innych biedaków w przytułkowej kuchni i ugotowała trochę kaszy. Mosze zaś poszedł do domu modlitwy odmówić kilka rozdziałów z Księgi Psalmów. A w Janowie zapanowała moda na nowe powiedzonko: „Żebrak tak powiedział”. Chłopcy bez przerwy pytali Moszego i śmiali się do rozpuku.

— Powiedz nam — pytali, — jak on wyglądał, ten żebrak?

— Jak wszyscy żebracy — odpowiadał Mosze.

— Jaką miał brodę?

— Żółtą.

— Czy nie wiesz, że ludzie o żółtych brodach to oszuści?

— Skąd mogłem wiedzieć? — Mosze na to. — Jestem prostym człowiekiem. Żebrak tak powiedział, to mu uwierzyłem.

— Gdyby ci powiedział, że żona rabina wysiaduje jaja, też byś mu uwierzył?

Mosze nie odpowiedział. Był człowiekiem grubo po pięćdziesiątce, ale nie miał jeszcze siwych włosów. Smagły jak Cygan, trzymał się prosto, miał szerokie ramiona i klatkę piersiową. Dał mełamedowi do sprawdzenia dwa medale, które dostał od cara za mistrzostwo w jeździe konnej i strzelaniu do celu, i opowiedział mu o swoich żołnierskich przeżyciach. Był jednym z młodych chłopców wcielonych do wojska siłą. Jego ojciec pracował jako kowal. On, Mosze, chodził jeszcze do chederu, kiedy zabrał go hycel z armii carskiej. Ale Mosze nie chciał jeść trefnego jedzenia i pościł, aż osłabł z głodu. Wiejski ksiądz chciał go ochrzcić, ale Mosze miał przy sobie mezuzę, którą mu dała matka i nosił mały tałas, aby przypominał mu ciągle o Bogu. Tak, bili go, chłostali mokrymi różgami, ale on się nie poddał. Pozostał Żydem. Kiedy go dręczyli, wykrzykiwał: — Słuchaj Izraelu, Pan nasz, Bóg, jest jeden!

Mosze opowiedział również o tym, jak kiedyś, wiele lat później, zasnął na warcie i rewolwer wyslizgnął mu się z dłoni. Gdyby go złapano na drzemce, zostałby wysłany na Syberię. Ale oto ukazał mu się we śnie jego nieżyjący dziadek i obudził go. Innym razem też o mały włos nie stracił życia; przepływając się przez zamarznąłą rzekę został uniesiony z prądem przez krę. Kie-

dy indziej zaatakował go dziki wół. Ale on zdołał złapać bestię za rogi — została mu po tym blizna na nadgarstku. Weterani armii carskiej słynęli z opowiadania nieprawdziwych historii, ale Moszemu wszyscy wierzyli; po sposobie, w jaki opowiadał widać było wyraźnie, że niczego nie zmyśla.

Niedługo po przybyciu Moszego i jego żony znaleziono izbę, w której pozwolono im zamieszkać, oraz stajnię dla konia. Akurat w tym czasie umarł jeden z janowskich nosiwodów; Mosze wynalazł gdzieś drewniane nosidła i zastąpił nieboraka. Jego żona, Mindel, chodziła w każdy czwartek po domach zagniatą ciasto w dzieżach, a poza tym darła pierze na pierzyny dla młodych mężatek. Stopniowo nowi przybysze przyzwyczaili się do Janowa. Ale jedno pytanie wciąż tkwiło głęboko w sercu Moszego: dlaczego ten żebrak go oszukał? Czyż on, Mosze, nie oddał mu jako gościowi własnego łóżka, a sam przez całą noc przewracał się z boku na bok na podłodze? Nie ma się czym chwalić, ale czyż w ten niedzielny poranek nie dał swemu gościowi bochenka chleba i kawałka sera, aby zabrał je ze sobą w drogę? Dlaczego więc ten żebrak chciał wystrychnąć go na dudka? Mosze często starał się rozwiązać tę zagadkę ze swoją żoną, ale ona także nie знаła odpowiedzi i za każdym razem, gdy poruszał ten temat, mówiła:

— Mosze, posłuchaj mnie i przestań o tym myśleć.

— Ale... dlaczego ten żebrak tak powiedział, skoro to nie była prawda? — nie dawał za wygraną Mosze.

Mosze wiedział, że wędrowni żebracy mogą pojawić się wszędzie. W każdy szabat przyglądał się wędrowcom zgromadzonym w przedsionku bóżnicy, aby zobaczyć, czy nie ma wśród nich tego właśnie żebraka. Ale mijały lata, a żebrak się nie pojawiał. Czyżby obawiał się zemsty? A może, myślał Mosze, Bóg go ukarał i umarł gdzieś po drodze. Co dziwniejsze, z czasem Mosze przestał już być zły na żebraka. Postanowił, że nawet go nie zbije, jeśli go znowu spotka. Po prostu weźmie go za kark i powie:

— Dlaczego zrobiłeś ze mnie głupca, nędzniku?

Kilku woźniców namawiało Moszego, żeby sprzedał konia. Studnie, z których czerpano wodę dla miasteczka znajdowały się w pobliżu, tak że nosiwoda nie potrzebował konia. A po co — dowodzili — trzymać zwierzę na darmo? Ale Mosze nie chciał się rozstać ze swoją starą klaczą. On i jego żona lubili zwierzęta. Bóg nie obdarzył ich dziećmi, ale wiele żywych istot — bez-

domne psy, koty, ptaki, które nie mogły już latać — przyłączyło się do ich gospodarstwa. Mindel kupowała żywego karpia na szabat, ale zamiast oprawić go i posiekać dawała mu się pluskać w cebrzyku przez kilka tygodni, aż w końcu zdychał w naturalny sposób. Mimo że jeden z żebraków wykorzystał ich dobre serce, nie wylewali swej złości na innych nędzarzy. Żona Moszego nosiła krupnik do przytułka, a w każdy piątkowy wieczór Mosze przyprowadzał do domu jakiegoś wędrowca jako gościa na szabat. Każdemu z nich opowiadał historię, która mu się przydarzyła i zawsze na końcu pytał: — No i dlaczego ten żebrak tak powiedział?

## II

Pewnej zimowej nocy Mosze siedział na stołku mocząc nogi w miednicy. Jego żona otworzyła drzwiczki klatki i maleńki żółty ptaszek latał swobodnie po izbie. Nauczyli go wielu sztuczek. Na przykład Mosze wkładał trochę prosa między palce, a ptak je zabierał. Albo też kładł sobie pojedyncze ziarenko na ustach i ptak chwycił je dziobem, wymieniając pocałunek ze swoim panem.

Piec był ciepły, a drzwi szczelnie zamknięte, aby nie wpuszczać zimna. Żona Moszego siedziała w kącie cerując skarpety. Nagle głowa Moszego opadła na piersi; zasnął i natychmiast zaczął śnić. Śniło mu się, że w kominie przytułka zapaliła się sadza. Jasny płomień strzelał z komina i topił wszystkich śnieg na gontach. Mosze obudził się gwałtownie.

— Mindel! — zawołał do żony. — Przytułek się pali.

— Skąd wiesz?

— Widziałem we śnie.

— Sny mogą kłamać.

— Nie, to prawda — odparł Mosze.

Na próżno jego żona dowodziła, że na dworze panuje ziąb i że może zachować, jeśli — niech Bóg broni — wyjdzie zaraz po wymoczeniu nóg. Mosze pospiesznie nałożył buty, kozuch i baranią czapkę. W szafie wciąż trzymał wycior. Zabrał go teraz ze sobą, wychodząc z domu. Przeszedłszy przez ulice Lubelską i Bózniczą, dotarł do przytułka. Tam zobaczył wszystko dokładnie



tak jak we śnie. Z komina buchały ogniste iskry. Śnieg w pobliżu komina stopniał. Mosze zaczął krzyczeć jak mógł najgłośniejszym głosem, ale ludzie w przytułku go nie słyszeli. Zresztą nawet gdyby natychmiast się obudzili, nie mogliby się uratować, bowiem wszyscy byli starzy, chorzy i chromi. Jako że nie było drabiny, Mosze próbował wdrapać się po ścianie. Złapał wielki sopel lodu, ale ten się odłamał. Potem chwycił za kawałek gontu, ale ten również odpadł od okapu, zanim Mosze zdążył się wspiąć. Część dachu stała już w ogniu. Zrozpaczony Mosze złapał wycior i z całej siły zamierzył się na komin. To niesłychane, już przy pierwszej próbie ciężarek wylądował w kominie. Lina zwisała na zewnątrz. Mosze złapał ją i niczym akrobata wspiął się na dach. Nie było wody; szybko zaczął więc zgarniać śnieg i robić z niego kule, które wrzucał do komina, nie przestając krzyczeć z całych sił. Nikt go jednak nie słyszał. Przytułek znajdował się w pewnym oddaleniu od miasteczka; poza tym wiał wiatr. No a mieszkańcy Janowa mieli mocny sen.

Kiedy Mosze nie wrócił do domu, jego żona nałożyła buty i watowany kubrak, po czym poszła do przytułku, żeby zobaczyć, co go tam zatrzymało. Sen się sprawdził: Mosze stał na dachu. Ogień został ugaszony, ale komin dalej dymił. Błady księżyc oświetlał tę przedziwną scenę. Tymczasem niektórzy starszacy obudzili się i wyszli na zewnątrz z czerpakiem i łopatą. Zbili się w tłum. Wszyscy twierdzili, że gdyby nie Mosze, budynek spaliłby się doszczętnie, a oni by zginęli. A że wiatr wiał w stronę miasteczka, pożar mógł ogarnąć bóżnicę, mykwę, dom nauki i tak, nawet domy na rynku. A wtedy nie tylko domy by się spaliły, ale wielu ludzi zamarłoby na śmierć.

Następnego dnia wieść o męstwie Moszego nosiwody rozeszła się po całym miasteczku. Burmistrz wyznaczył komisję do zbadania wszystkich kominów i dochodzenie wykazało, że miejscowy kominiarz od wielu miesięcy zaniedbywał swoje obowiązki. Zastano go w domu pijanego na umór, ze słomką w ustach, przez którą dalej sączył wódkę z beczki. Puszczono go z torbami i na jego miejsce mianowano Moszego oficjalnym kominiarzem Janowa.

Ale oto zdarzyło się coś niezwykłego.

Kilka dni później, kiedy Mosze poszedł do przytułku, a jego mieszkańcy otoczyli go tłumnie, aby podziękować mu i obsypać błogosławieństwami, zauważył kogoś, kto wydał mu się znajomy. Broda mężczyzny była żółtosiwa. Leżał na sienniku przykrytym szmatami. Twarz o wylupiastych oczach była

pożółkła od żółtaczki. Mosze przystanął i pomyślał zdziwiony: „Gdzie ja go wcześniej spotkałem? Mógłbym przysiąc, że znam tego człowieka”. Po czym złożył dłonie w zdumieniu. Przecież to był nie kto inny tylko żebrak, który wiele lat temu powiedział mu, że w Janowie potrzebny jest kominiarz! Łzy trysnęły strumieniem z oczu Moszego.

Tak, to był ten sam żebrak. Dawno zapomniał o tym, co mówił, ale pamiętał, że w owym roku i w tym właśnie czasie spędził szabat w pewnej wielkopolskiej wiosce. Przypominał sobie nawet, że zatrzymał się tam u jakiegoś kominiarza.

I co wynikło z tych wszystkich pytań, całego tego dochodzenia? Mosze zrozumiał jasno, że owym łańcuchem zdarzeń kierowały niebiańskie siły. Wiele lat temu ten właśnie żebrak otrzymał misję znalezienia człowieka, który pewnego dnia uratuje jego i wszystkich innych ludzi w Janowie od śmierci. Jasne więc, że żebrak był narzędziem w rękach Boga. Poza tym jego słowa ostatecznie się sprawdziły. Wprawdzie nie wtedy, gdy je wypowiadał, ale dużo później, bowiem teraz Mosze rzeczywiście został oficjalnym kominiarzem w Janowie. Im dłużej Mosze rozmyślał, tym wyraźniej widział w tym wszystkim rękę Opatrzności. Nie potrafił tego pojąć. Pomyślcie tylko! Święte anioły w niebie myślą o Moszem kominiarzu i wysyłają do niego posłańców z prorocत्वami tak jak w opowieści o ojcu Abrahamie!

Moszego przepełniło uczucie pokory i bojaźni Bożej. Gdyby podłoga w przytułku nie była tak brudna, upadłby na twarz i oddał pokłon Wszechmocnemu. Z gardła wyrwało mu się łkanie, a brodę zmoczyły łzy. Kiedy przyszedł do siebie, wziął wątle ciało żebraka na ręce i zaniósł go na plecach do domu. Tam go umył, ubrał w czystą koszulę i położył w swoim łóżku. Mindel natychmiast podeszła do pieca i ugotowała trochę zupy. A ludzie z miasteczka, którzy przez tyle lat wyśmiewali się z Moszego i przezywali go „Żebrak tak powiedział”, wzięli sobie te wydarzenia do serca i zabronili dzieciom używać tego przezwiska.

### III

Przez ponad trzy miesiące żebrak leżał w łóżku Moszego, Mosze zaś spał na podłodze. Stopniowo biedaczyna odzyskał trochę sił i zamierzał znów

ruszyć w drogę, ale Mosze i jego żona nie chcieli nawet o tym słyszeć. Żebrak nie miał żony ani dzieci, a poza tym był zbyt stary i słaby, aby wędrować po świecie. Pozostał więc razem z nimi. Regularnie chodził modlić się i odmawiać psalmy w domu nauki. Niedomagały mu oczy i wkrótce niemal zupełnie oślepl. Inni wędrowcy opowiadali niezliczone historie o dziedzicach, kupcach i rabinach, ale ten żebrak był małomówny. Gdy kończył czytanie księgi Psalmów, natychmiast zaczynał od początku. Znał na pamięć całe ustępy Miszny. Kiedy uczniowie Talmudu pytali go, dlaczego wiele lat temu powiedział Moszemu, że w Janowie nie ma kominiarza, unosił brwi, wzruszał ramionami i odpowiadał:

— Naprawdę nie wiem.

— A skąd pochodzisz? — pytali.

Udzielał jakiejś odpowiedzi, lecz trudno było zrozumieć jego słowa. Ludzie sądzili, że jest głuchy. Ale przecież nie miał wcale trudności z dosłyszeniem modlitw czytanych przez kantora w odległym kącie domu nauki. Mindel dogadzała mu, przyrządzając kurczęta i owsiankę, lecz on w miarę upływu czasu jadł coraz mniej. Jakby nieobecny, podnosił łyżkę zupy do ust, a potem zapomniał o niej. Malutki ptaszek, którego Mosze przywiózł ze sobą do Janowa, dawno już nie żył, ale jego żona kupiła innego ptaka od Cyganów. Jako że klatka nie była nigdy zamykana, ptak wylatywał z niej i przesiadywał godzinami na ramieniu żebraka.

Po jakimś czasie żebrak znowu zachorował. Mosze i jego żona wezwali doktora, który nie szczędził czasu i lekarstw, ale widocznie biedakowi nie dane było dłużej żyć. Umarł podczas Pesach i został pochowany w piątek. Bractwo Pogrzebowe zostawiło dla niego miejsce wśród grobów zasłużonych mieszkańców miasteczka. Pół Janowa szło w kondukcje żałobnym. Kiedy Mosze i Mindel wrócili do domu, zobaczyli, że ich ptak zniknął. Nigdy już do nich nie wrócił. A w Janowie rozeszła się wieść, że stary żebrak, który właśnie umarł, to lamedownik, jeden z trzydziestu sześciu sprawiedliwych, którzy żyjąc w cieniu, siłą swych cnót chronią świat przed zniszczeniem.

Pewnej nocy, niedługo po śmierci żebraka, Mosze i jego żona nie mogli usnąć. Zaczęli rozmawiać o różnych sprawach i gawędzili tak do świtu. Tego ranka Mosze oznajmił, że on i jego żona chcą zamówić nową Torę dla gminy.

Janowski kopista trudził się nad nią przez trzy lata, a cały ten czas Mosze

i Mindel rozmawiali o niej jakby była ich jedyną córką. Mindel oszczędzała jak mogła na domowych wydatkach. Z myślą o Torze kupiła resztki jedwabiu i aksamitu oraz złote nici, po czym najęła biedne dziewczęta, aby uszyły z tego haftowane sukienki. Mosze wybrał się aż do Lublina, aby zamówić drążki do nawijania Tory, rimonim, koronę z dzwoneczkami, tas i srebrny jad — wszystko po to, aby ozdobić święty zwój. Zarówno sukienki, jak i drążki nosiły imię żebraka: Abraham syn Chaima.

W dniu poświęcenia Tory Mosze wydał ucztę dla wszystkich janowskich biedaków. Tuż przed zmierzchem goście zebrali się na dziedzińcu bóżnicy. Ostatnią stronę Tory zostawiono nie dokończoną i po wieczornej modlitwie wszyscy co znamienitsi członkowie gminy kupili sobie przywilej zapisania jednej litery. Kiedy wszystek atrament wysechł już na pergaminie, a karta została wszyta we właściwe miejsce, zaczęła się uroczysta procesja. Rozstawiono chupę, dając drążki do trzymania czterem najbardziej godnym tego zaszczytu obywatelom. Pod chupą szedł rabin, niosąc w ramionach nową Torę. Dzwoneczki brzęczały cichutko na błyszczącej koronie. Mężczyźni i chłopcy śpiewali, panny trzymały w górze hawdałowe świece. Zapalono cienkie woskowe świeczki. Mosze i jego żona, ubrani w swoje najlepsze rzeczy, promienieli radością. Jako że Mosze był prostym człowiekiem, przypiął sobie do kłapy dwa rosyjskie medale. Niektórzy co bardziej uczeni mieszkańcy miasteczka byli temu przeciwni i chcieli powiedzieć mu bez ogródek, aby je zdjął. Rabin nie pozwolił jednak, aby upokorzono Moszego na oczach wszystkich.

Nawet najstarsi ludzie nie pamiętali tak uroczystej uczy z okazji poświęcenia Tory. Dwie orkiestry grały bez ustanku. Wieczór był ciepły, księżyc świecił jasno. Niebo wyglądało jak usiany gwiazdami parochet z niebiańskiej Arki Przymierza. Dziewczęta i niewiasty tańczyły razem z dala od mężczyzn. Jakiś młody wesołek paradował na szrudłach, a marszelik śpiewał pieśni na cześć gospodarzy: Moszego i jego żony. Nie brakowało wina i piernika. Orkiestra zagrała prawdziwy marsz weselny, taniec nożyczek, taniec złości i taniec na powitanie dnia; wszystko odbywało się jak na normalnym weselu. Potem Mosze podwinął poły kapoty, Mindel podkasła spódnicę i zatańczyli razem kozaka, odbijając się od siebie przodem i tyłem.

Mosze wykrzykiwał:

— Żebrrrrak jest już u Boga!

A Mindel śpiewała w odpowiedzi:

— Nie godniśmy zmiatać pyłu spod jego stóp!

Po tej uroczystości Mosze i Mindel żyli jeszcze przez dobrych parę lat. Przed śmiercią Mosze zarezerwował sobie miejsce na cmentarzu tuż obok mogiły żebraka i poprosił, aby w trumnie pochowano wraz z nim wycior, za pomocą którego uratował staruszków w przytułku.

Co do Mindel zaś, to każdego dnia chodziła do domu nauki i odsuwała aksamitny parochet, aby złożyć pełen czci pocałunek na swojej ukochanej Torze. Odprawiała ten rytuał każdego ranka bez wyjątku, aż do końca swych dni. A w swojej ostatniej woli zastrzegła sobie, aby pochowano ją obok męża i żebraka, który przecież mimo wszystko powiedział prawdę.

## Przywrócony życiu

Możecie nie wierzyć, ale są na tym świecie ludzie, którzy zostali przywrócony życiu. Sama znalazłam u nas w Turobinie takiego człowieka, bogacza. Zapadł raz na śmiertelną chorobę, doktorzy stwierdzili, że rośnie mu tłuszcz pod sercem, oby nas to, uchowaj Boże, nie spotkało. Pojechał do wód, aby rozpędzić ten tłuszcz, ale nic nie pomogło. Nazywał się Alter, a jego żona miała na imię Szifra Lea; widzę ich teraz, jakby tutaj przede mną stali.

Ona była cienka jak tyczka, skóra i kości, i czarna jak szufla piekarza; on — niski i jasnowłosy, o pękatym brzuchu i małej zaokrąglonej bródce. Choć była żoną bogacza, nosiła parę zniszczonych chodaków i szal zarzucony na głowę oraz ciągle szukała okazji, żeby coś taniej kupić. Kiedy tylko usłyszała, że w jakiejś wiosce można dostać niedrogo miarkę pszenicy lub garnek kaszy gryczanej, szła tam na piechotę i targowała się z chłopem, aż odstępował jej wszystko niemal za darmo. Przykro mi o tym mówić, ale pochodziła z najgorszej hołoty. On natomiast handlował drewnem i był udziałowcem w tartaku; pół miasteczka kupowało od niego drzewo. W przeciwieństwie do żony lubił wygodnie żyć, ubierał się jak jaki hrabia, zawsze nosił krótki surdut i wysokie giemzowe buty w dobrym gatunku. Można by policzyć wszystkie włosy w jego brodzie, tak były starannie uczesane i wyszczotkowane.

Lubił także dobrze zjeść. Jego stara wszystkiego sobie odmawiała, ale dla niego nie żałowała najdroższych przysmaków. Jako że lubił pożywne rosóły z pływającymi na wierzchu okami tłuszczu, Szifra Lea zawsze domagała się od rzeźnika tłustego mięsa i dodatkowo kości ze szpikiem na — jak mawiała — rosół ze złotymi dukatami. Za moich czasów, kiedy ludzie się pobierali, to darzyli się miłością; kto by tam kiedy myślał o rozwodzie? Ale Szifra Lea była tak zapatrzona w Altera, że ludzie podśmiewali się z niej. Mój mąż to, mój mąż tamto; niebo, ziemia i Alter. Nie mieli dzieci, a wiadomo, że kiedy ko-

bieta nie ma dzieci, przelewa całą swą miłość na męża. Doktor mówił, że to jego wina, ale kto tam może mieć pewność w takich sprawach?

No, krótko mówiąc, Alter zachorował i sprawa nie wyglądała dobrze. Najwięksi doktorzy przyjechali, żeby go obejrzyć, ale na nic to się zdało; leżał w łóżku i słabł z dnia na dzień. Wciąż się dobrze odżywiał, żona karmiła go pieczonymi gołąbkami, marcepanem i przeróżnymi innymi smakołykami, ale mimo to siły go opuszczały. Pewnego dnia przyszedłam, aby przynieść mu modlitewnik, który mój ojciec — niech spoczywa w pokoju — mu przesłał. Leżał na sofie w zielonym szlafroku i białych skarpetkach. Przystojny mężczyzna, wyglądał zdrowo, tyle że brzuch miał wzdęty jak bęben, a kiedy mówił, sapał i dyszał. Wziął ode mnie modlitewnik i dał mi ciastko, uszczypnąwszy mnie przy tym w policzek.

Po paru dniach rozeszła się wieść, że Alter umiera. Zebrali się mężczyźni; Bractwo Pogrzebowe czekało przy drzwiach. No i posłuchajcie, co się stało. Kiedy Szifra Lea zobaczyła, że Alter wydaje ostatnie tchnienie, pobiegła po doktora. Ale zanim wróciła, Lejzer Godł, gabaj z Bractwa Pogrzebowego trzymał już piórko przy nozdrzach Altera. Było po wszystkim, więc, jak to jest w zwyczaju, zabierali się do podniesienia go z łóżka. Kiedy Szifra Lea zrozumiała, co się stało, wpadła w szal; Boże dopomóż, jej krzyki i zawrodo słychać było na krańcach miasteczka. — Potwory, mordercy, dranie! Wynocha z mojego domu! On będzie żył! Będzie żył!

Złapała miotłę i zaczęła nią okładać kogo popadło — wszyscy myśleli, że postradała rozum. Uklękła przy trupie: — Nie zostawiaj mnie! Zabierz mnie ze sobą! — Wrzeszcząc i wznosząc lament głośniejszy niż ten, jaki się słyszy w Jom Kipur, potrząsała nim i szarpała nieboraka.

Wiadomo przecież, że nie wolno potrząsać trupem, próbowano ją więc powstrzymać. Ona jednak rzuciła się na nieboszczyka i zaskrzeczała mu do ucha: — Alter, obudź się! Alter! Alter! Żywy by tego nie wytrzymał — bębunki w uszach by mu popękały. Już ją mieli odciągnąć, kiedy nagle trup poruszył się i wydał głębokie westchnienie. Przywołała go z powrotem do życia! Musicie wiedzieć, że kiedy ktoś umiera, jego dusza nie idzie zaraz potem do nieba. Trzepocze przy nozdrzach i pragnie na nowo wstąpić w ciało, tak przywykła do bycia wewnątrz niego. Jeśli ktoś wrzeszczy i wzywa ją, dusza może się przestraszyć i wlecieć z powrotem do środka, ale rzadko pozostaje

tam długo, ponieważ nie może żyć w ciele wyniszczonym przez chorobę. Ale czasami, bardzo rzadko, zostaje i kiedy tak się zdarzy, mamy do czynienia z człowiekiem, którego przywrócono życiu.

Rzecz jasna nie wolno tego robić. Kiedy przychodzi kres, człowiek powinien odejść. Poza tym, ten, którego przywrócono życiu, nie jest jak inni ludzie. Wędruje, jak mówi przysłowie, między dwoma światami: jest tutaj, a jednocześnie nie jest, lepiej by się czuł w grobie. Mimo to oddycha i je. Może nawet współżyć z żoną. Ale jedna rzecz go odróżnia od innych: nie rzuca cienia. Powiadają, że był raz w Lublinie człowiek, którego przywrócono życiu. Przesiadywał całymi dniami w domu modlitwy i przez dwanaście lat nie odezwał się ani słowem; nie odmawiał nawet psalmów. Kiedy w końcu umarł, została z niego skóra i kości. Gnił przez te wszystkie lata, a jego ciało obróciło się w proch. Niewiele zostało do pochowania.

Przypadek Altera był inny. Natychmiast zaczął dochodzić do siebie, rozmawiał i dowcipkował jak gdyby nigdy nic. Brzuch mu się skurczył i doktor powiedział, że tłuszcz spod serca zniknął. Cały Turobin był poruszony, przyjeżdżali nawet ludzie z innych miasteczek, żeby go zobaczyć. Szemrano, że Bractwo Pogrzebowe zakopuje ludzi w ziemi żywcem; bo jeśli można było przywrócić życiu Altera, to niby dlaczego nie innych? Być może inni także tylko zapadli w śpiączkę?

Szifra Lea wkrótce wszystkich wyprosiła z domu — nie wpuszczała nikogo, nawet doktora. Za zamkniętymi na klucz drzwiami i spuszczonej zasłonami doglądała i pielęgnowała męża. Jakaś sąsiadka doniosła, że Alter już siedzi w łóżku, przyjmuje pokarmy i napoje, a nawet przegląda swoje książki z rachunkami.

Cóż moi drodzy, nie minął miesiąc, a Alter pokazał się na rynku z wypielęgnowaną brodą, w wypucowanych butach i z laską. Ludzie witali go, zbierali się wokół niego, życząc mu zdrowia, a on odpowiadał: — A więc myśleliście, żeście się mnie pozbyli, co? Nie tak prędko! Wiele wody przepłynie pod mostem, zanim sobie pójdę. Ludzie pytali: — Co się działo, gdy przestałeś oddychać?

A on na to:

— Jadłem lewiatana i maczałem go w musztardzie.

Jak zwykle miał w zanadrzu dowcipną odpowiedź. Mówiono, że rabin go



wezwał i że zamknęli się razem w izbie rabinackiej. Ale nikt nie wiedział, o czym rozmawiali.

Tak czy owak był to Alter, tyle tylko, że teraz nazywano go „przywróconym życiu”. Wkrótce zajął się znowu handlem deskami i belkami. Grabarze z Bractwa chodzili jak struci; mieli nadzieję trochę się obłowić przy okazji pogrzebu. Początkowo ludzie się go trochę bali. Ale niby dlaczego mieli się bać? Był tym samym kupcem co przedtem. Jego choroba pochłonęła sporo pieniędzy, ale zostało mu jeszcze dość. W soboty przychodził na modlitwę, wzywano go do czytania Tory, odmawiał dziękczynienie. Oczekiwano, że wspomocze przytułek i wyda ucztę dla mieszkańców miasteczka, ale Alter udawał głupiego. Co do jego żony, Szifry Lei, to chodziła dumna jak paw, traktując wszystkich z góry. No bo przecież nie byle co. Toż przywróciła nieboszczyka do życia! Nasze miasteczko było dość duże. Inni mężczyźni zapadali na różne choroby i ich żony próbowały ich przywrócić życiu, ale żadna nie miała gęby jak Szifra Lea. Jeśliby każdego można było przywołać do życia, Anioł Śmierci musiałby odłożyć swój miecz.

Wkrótce jednak sprawy przybrały nie najlepszy obrót. Alter miał wspólnika we młynie, Falika Weingartena; w tamtych czasach ludzie nie mieli nazwisk, ale z Falika był prawdziwy żydowski dziedzic. Pewnego dnia zjawił się u rabina z dziwną historią: Alter, jego wspólnik, stał się oszustem. Kradł wspólne pieniądze, wyprawiał różne sztuczki i próbował wyrugować go z interesu. Rabin nie mógł w to uwierzyć: człowiek, który przeszedł przez coś takiego, nagle miałby stać się złodziejem? Trudno to było pojąć. Ale że Falik nie był człowiekiem, który by zmyślał, wezwano Altera. Ten zaczął przedstawienie — czarne jest białe, a białe — czarne. Wydobył skądś rachunki i zestawienia z czasów króla Sobieskiego. Pokazał całe stosy weksli. Według niego Falik winien był mu spore pieniądze, a co więcej, groził wspólnikowi procesem sądowym.

Mieszkańcy miasteczka próbowali przekonać Altera: — Prowadzicie interesy przez tyle lat, to co się nagle stało? Ale Alter był teraz innym człowiekiem — wydawało się, że szuka tylko okazji do kłótni. Zaczął się procesować i sprawa ciągnęła się w nieskończoność, pochłaniając mnóstwo pieniędzy. Falik wziął to sobie tak bardzo do serca, że umarł. Nie pamiętam już, kto wygrał, wiem tylko, że tartak przeszedł na własność dworu, a żona Palika została bez grosza przy duszy. Rabin obrugał Altera: — Tak dziękujesz Bogu

za to, że postawił cię z powrotem na nogi i wskrzesał? Odpowiedź Altera była tyle warta co szczekanie psa: — Nie Bóg to zrobił, tylko Szifra Lea. — Po czym dodał: — Nie ma innego świata. Raz już umarłem i mogę zaświadczyć, że tam niczego nie ma, ani piekła ani raju. — Rabin uznał, że Alter zwariował — może i miał rację. Ale czekajcie, posłuchajcie, co było dalej.

Jego żona, Szifra Lea, słynęła jako straszny flejtuch — ludzie mówili, że gdzie nie stanie, wyrasta kupa brudu. A tu nagle Alter zaczął domagać się, aby się stroiła. — Miejsce żony — twierdził — jest nie tylko pod pierzyną. Chcę, żebyś przechadzała się ze mną ulicą Lubelską. — W całym miasteczku aż wrzało. Szifra Lea obstalowała sobie nową suknię z perkalu i w szabasowe popołudnia po czuleniu można było zobaczyć na deptaku Altera wraz z żoną obok pomocników krawców i szewskich czeladników. To był dopiero widok — komu tylko sił w nogach starczało, leciał popatrzeć.

Alter nawet przystrzygł sobie brodę. Stał się — jak to się mówi — ateistą. W dzisiejszych czasach wszędzie ich pełno — pierwszy lepszy głupiec nakłada krótki fraczek i goli brodę. Ale za moich czasów mieliśmy tylko jednego ateistę: aptekarza. Ludzie zaczęli przebąkiwać, że kiedy Szifra Lea swoimi wrzaskami przywołała Altera do życia, w jego ciało wstąpiła dusza kogoś innego. Kiedy człowiek umiera, przylatują różne dusze, krewnych i nieznanomych, i kto wie, może także złe dusze gotowe objąć ciało we władanie. Reb Arie Wisznicer, uczeń starego rabina, oznajmił, że Alter nie jest już Alterem. To prawda, nie był to ten sam Alter. Mówił inaczej, inaczej się śmiał, spoglądał innym wzrokiem. Jego oczy były jak u jastrzębia, a kiedy patrzył na kobietę, aż dreszcze przechodziły. Zadawał się z muzykantami i wszelkiego rodzaju hołotą. Początkowo jego żona na wszystko się zgadzała. Co tylko Alter mówił czy robił, było jej zdaniem w porządku. Była z niej, za przeproszeniem, krowa. Ale potem do naszego miasteczka przybyła z Warszawy pewna kobieta. Przyjechała z wizytą do siostry, która nie była wiele warta, a której mąż był cyrulikiem; w dni targowe golił chłopów, a także puszczał im krew. Po takich ludziach wszystkiego się można spodziewać; miał klatkę pełną ptaków, które ćwierkały od rana do wieczora, oraz psa. Jego żona nigdy nie zgoliła włosów, a ta siostra z Warszawy była rozwódką — nikt nie znał jej byłego męża. Zjawiała się wystrojona i obwieszona świecidełkami, ale kto by tam na nią dwa razy spojrział? Miotłę też można przystroić. Pokazywała kobietom swoje długie pończochy, przyczepione, że tak powiem, do majtek.

Nietrudno było zgadnąć, że przyjechała, aby usidlić jakiegoś mężczyznę. I jak myślicie, kto wpadł w jej szpony? Alter. Kiedy ludzie dowiedzieli się, że Alter zadaje się ze szwagierką cyrulika, nie mogli w to uwierzyć; nawet bednarze i garbarze mieli w tamtych czasach trochę poczucia przyzwoitości. Ale Alter był nie ten sam. Wyzbył się, uchowaj Boże, wszelkiego wstydu. Przechadzał się z tą rozwódką po rynku, a ludzie patrzyli ze wszystkich okien kręcąc głowami i spluwając z obrzydzeniem. Chodził z nią do szynku, zupełnie jak goj. Siedzieli tam w środku tygodnia żłowiąc wino.

Kiedy Szifra Lea o tym usłyszała, zrozumiała, że jest w tarapatach. Przybiegła do szynku, ale jej mąż obrzucił ją najgorszymi wyzwiskami. Ta nowa, flądra, także drwiła sobie z niej i szydziła. Szifra Lea próbowała do niego przemówić:

— Nie masz wstydu przed światem?

— Świat może pocałować nas w to na czym siedzimy — on na to.

Szifra Lea wykrzyknęła do tej kobiety:

— To mój mąż!

— Mój także — powiada tamta. Szynkarz próbował się wtrącić, ale Alter i ta ladaczniczka również z nim dali sobie radę: zepsuta kobieta jest gorsza od najgorszego mężczyzny. Puściła taką wiązanekę, że nawet szynkarz osłupiał. Ludzie mówili, że cisnęła w niego czerpakiem. Turobin to nie Warszawa. Całe miasteczko było poruszone. Rabin wysłał szamesa, aby przyprowadził do niego Altera, ale Alter nie chciał przyjść. Potem gmina wysłała mu trzy listy grożące klątwą. I to nie pomogło, bo miał chody u naczalstwa i nie bał się nikogo.

Po kilku tygodniach ta kokota-rozwódka wyjechała z miasteczka i ludzie myśleli, że wszystko się uspokoi. Nie minął tydzień, a człowiek, który został przywołany do życia, przyszedł do żony z taką oto historią. Ma okazję — mówi — kupić las na Wołyniu, niezwykle interes, i dlatego musi natychmiast wyjechać. Zabrał wszystkie pieniądze i kazał żonie zastawić całą biżuterię. Kupił powozik i dwa konie. Ludzie podejrzewając, że szykuje jakieś oszustwo, ostrzegli jego żonę, ale ona ufała mu jak cadykowi. Zapakowała mu ubrania i bieliznę; upiekła kurczęta i przygotowała konfitury na drogę. Tuż przed odjazdem wręczył jej niewielkie pudełeczko. — Są w nim — wyjaśnił —

trzy weksle. W czwartek, za osiem dni, weź je do rabina. Pieniądze zostały u niego. Łgał jak z nut, a ona mu wierzyła. Potem odjechał.

W czwartek, osiem dni później, Szifra Lea otworzyła pudełko i odkryła, że jest w nim list rozwodowy. Wydała z siebie okrzyk i zemdląła. Kiedy odzyskała przytomność, pobiegła do rabina, ale ten tylko spojrział na papier i powiedział: — Nic się nie da zrobić. List rozwodowy można powiesić na kłamce lub wsunąć pod drzwi. Możecie sobie wyobrazić, co się działo tego dnia w Turobinie. Szifra Lea rozdrapywała sobie policzki wrzeszcząc:

— Dlaczego nie dałam mu zdechnąć? Niech padnie trupem, gdziekolwiek jest! — Ogołocił ją zupełnie — nawet jej świąteczna chustka zniknęła. Dom jeszcze stał, ale został oddany w hipotekę cyrulikowi. W dawnych czasach za takim bezwstydnym oszustem wysłano by gońców. Żydzi mieli kiedyś władzę i autorytet, a na dziedzińcu bóżnicy stał pręgierz, do którego przywiązano by niegodziwca. Ale za Iwana Żyd się nie liczył — ani trochę ich to nie obchodziło. Poza tym Alter nie omieszkał dać łapówek komu trzeba.

No cóż, Szifra Lea zachorowała — położyła się do łóżka i nie chciała wstać. Nie brała jedzenia do ust i obrzucała Altera najgorszymi wyzwiskami. Potem nagle zaczęła bić się w piersi i zawodzić:

— To wszystko moja wina. Nie dość się starałam, żeby go zadowolić. — Na przemian śmiała się i płakała, jakby ją jakiś zły duch opętał. Cyrulik, który twierdził teraz, że jest prawowitym właścicielem domu, chciał ją wyrzucić, ale gmina na to nie pozwoliła i Szifra Lea została w izbie na poddaszu.

Po paru tygodniach wyzdrowiała jednak i wyszła z workiem handlować z chłopami jak mężczyzna. Okazało się, że ma dobrą rękę do kupna i sprzedaży; wkrótce swaci zaczęli ją zarzucać propozycjami małżeństwa. Ale ona nie chciała o tym słyszeć; jedyne, o czym mówiła — aż uszy puchły od słuchania tej gadaniny — to jej Alter.

— Czekajcie — powtarzała — jeszcze do mnie wróci. Ta druga wcale go nie chciała, poleciała na jego pieniądze. Obłupi go co do grosza i zostawi na lodzie.

— A ty przyjmiesz z powrotem takiego łachudrę? — pytali ludzie.

A ona na to:

— Niech tylko przyjdzie. Umyję mu nogi i wypiję wodę. — Został jej jeszcze jakiś kuferek, do którego zbierała pościel i sukno jak narzeczona.

— To będzie mój posag, kiedy on wróci — chwaliła się. — Wyjdę za niego ponownie. — W dzisiejszych czasach nazywa się to ślepą miłością; my nazywaliśmy to zwykłym wariactwem.

Kiedy tylko ktoś przyjeżdżał z dużego miasta, biegła do niego i pytała: — Czy nie natknęliście się czasem na mojego Altera? — Ale nikt go nie widział; szemrano, że odstąpił od wiary. Niektórzy mówili, że poślubił diablicę. Takie rzeczy się zdarzają. Mijały lata i ludzie zaczęli już myśleć, że nigdy więcej o Alterze nie usłyszą.

Pewnego szabasowego popołudnia, kiedy Szifra Lea drzemała na ławie (nigdy nie nauczyła się czytać modlitewnika jak inne kobiety), drzwi się otworzyły i do środka wszedł jakiś żołnierz. Wyjął kartkę papieru. — Czy to ty jesteś Szifra Lea, żona tego łajdaka Altera?

— Zrobiła się biała jak kreda; jako że nie rozumiała po rosyjsku, przypro- wadzono tłumacza. No i co, Alter siedział w więzieniu za jakieś poważne przestępstwo, bowiem skazano go na dożywocie. Trzymano go w lubelskim więzieniu, gdzie udało mu się przekupić żołnierza udającego się do domu na przepustkę, aby zaniósł list do Szifry Lei. Kto wie, jak Alter zdobył w więzie- niu pieniądze na łapówkę? Musiał je jakoś ukryć w sienniku, kiedy go tam umieszczano. Ci, którzy czytali ten list, twierdzili, że kamień by zmiękł; pisał do byłej żony: „Szifro Leo, zgrzeszyłem przeciwko Tobie. Ratuj mnie! Ratuj! Śmierć jest lepsza niż takie życie”. Ta druga kobieta, ta ładacznicą, szwagier- ka cyrulika, odarła go ze wszystkiego i zostawiła w jednej koszuli. Prawdopo- dobnie również na niego doniosła.

W miasteczku aż wrzało. Co jednak można było zrobić, żeby mu pomóc? Nie wsadzili go przecież do więzienia za czytanie Miszny. Ale Szifra Lea pobiegła do wszystkich ważnych ludzi w miasteczku.

— To nie jego wina! — krzyczała — To przez tę chorobę! — Jeszcze nie otrzeźwiała, stara krowa.

Ludzie pytali ją:

— Po co ci ten rozpustnik? — Ale ona nie pozwalała nic złego na niego powiedzieć. Wszystko sprzedała, nawet paschalne naczynia; pożyczyła pie- niądze, dosłownie stawiała na głowie, aby mu pomóc. Potem wybrała się do

Lublina i tam musiała poruszyć niebo i ziemię, bowiem w końcu uwolniła go z więzienia.

Wróciła z nim do Turobina i kto żyw wybiegł im na spotkanie. Kiedy wyszedł z powozu, nie można go było poznać: bez brody, tylko z gęstym wąsem, miał na sobie krótki kubrak i buty z cholewami. Wyglądał jak goj, a nie Alter. Przyjrząwszy mu się bliżej, widać było jednak, że to mimo wszystko on: ten sam sposób chodzenia, ta sama buta. Zwracał się do wszystkich po imieniu i pytał o przeróżne szczegóły. Dowcipkował i mówił rzeczy, od których kobiety się rumieniły. Pytano go: — Gdzie twoja broda? A on na to: — Zastawiłem ją u lichwiarza. Pytano: — Jak Żyd może tak postępować? On zaś na to: — A wy jesteście lepsi? Wszyscy kradną. — Z miejsca zaczął wyliczać ukryte grzeszki każdego mieszkańca. Widać było jak na dłoni, że znajduje się w mocy złego ducha.

Szifra Lea próbowała go usprawiedliwiać i hamować; rozpostarła nad nim skrzydła jak kwoka nad kurczętami. Zapomniała, że są rozwiedzeni i chciała go zabrać ze sobą do domu, ale rabin przypomniawszy, że nie wolno im mieszkać pod jednym dachem; powiedział też, że źle zrobiła, podróżując z nim tym samym powozem. Alter mógł sobie dworować z żydowskich zwyczajów, ale prawo było prawem. Kobiety wzięły sprawę w swoje ręce. Parę odseparowano na dwanaście dni, w czasie których Szifra Lea chodziła zgodnie ze zwyczajem do mykwy, po czym zaprowadzono ich pod chupę. Narzeczona musi chodzić do mykwy nawet wtedy, gdy poślubia ponownie własnego męża.

Cóż, tydzień po weselu Alter zaczął kraść. W dni targowe kręcił się wśród furmanek i obrabiał kieszenie. Wyprawiał się do wiosek i kradł konie. Nie był już teraz pulchny, lecz chudy jak wyżeł. Wspinał się na dachy, wyważał zamki, otwierał drzwi do stajni. Miał żelazne zdrowie i był zwinny jak diabeł. Chłopi zgadali się i postawili strażnika z psami i latarniami. Szifra wstydziła się patrzeć ludziom w oczy i trzymała okiennice zamknięte; możecie sobie wyobrazić, co działo się między mężem a żoną. Wkrótce Alter został przywódcą bandy rzezimieszków. Żłopał z nimi wódkę w szynku, a oni śpiewali polską piosenkę na jego cześć; do dzisiaj pamiętam słowa: „Pan Alter dobry pan, daje piwa cały dzban”.

Jest takie powiedzenie, że złodziej skończy na szubienicy.

Pewnego dnia, kiedy Alter pił ze swoimi kompanami, do szynku zajechał

szwadron kozaków z obnażonymi szablami. Przyszedł rozkaz od gubernatora, aby zakuć go w kajdany i sprowadzić do więzienia. Alter zrozumiał od razu, że to już koniec i złapał za nóż; jego kompani uciekli — zostawili go samego na polu walki. Szykarz opowiadał później, że walczył z diabelską siłą, siekając kozaków jakby byli zagonem kapusty. Przewracał stoły i rzucał w nich beczkami; nie był już młodzieniaszkiem, ale przez jakiś czas wyglądało na to, że ich wszystkich pokona. Jednak, jak mówi przysłowie: siła złego na jednego. Kozacy tłukli go i rąbali, póki w jego żyłach nie zostało ani kropli krwi. Kiedy niedobre wieści dotarły do Szifry Lei, przybiegła jak szalona na miejsce. Alter leżał na ziemi, a ona chciała go znowu przywołać do życia. On jednak powiedział tylko jedno słowo:

— Dość! — Szifra Lea zamilkła. Żydzi wykupili ciało Altera od władz.

Nie widziałam go po śmierci, ale ci, którzy widzieli, przysięgali, że wyglądał jak stary trup wykopany z grobu. Odpadały z niego kawałki ciała. Twarzy nie można było rozpoznać, stanowiła bezkształtną masę. Powiadano, że kiedy myto go do pogrzebu, odpadła mu ręka, a potem stopa; nie byłam tam, ale dlaczego ludzie mieliby kłamać? Ci, którzy zostają przywołani z powrotem na świat, gniją za życia. Został pogrzebany w worku za ogrodzeniem cmentarza, o północy. Po jego śmierci w miasteczku wybuchła epidemia i umarło wiele niewinnych dzieci. Szifra Lea, ta zaślepiona kobieta, postawiła dla niego macewę i chodziła na jego grób. Chcę przez to wszystko powiedzieć, że nie należy przywracać życiu umierających. Gdyby pozwoliła mu odejść w wyznaczonej godzinie, zostawiłby po sobie dobre imię. Kto wie, ilu ludzi przywróconych życiu chodzi dzisiaj po świecie? Wszystkie nasze nieszczęścia biorą się właśnie od nich.

## Rada

Cadycy! Nie możemy się z nimi równać; myśli ich nie jesteśmy w stanie pojąć! Ale pozwólcie, że opowiem wam o tym, co przydarzyło się mojemu teściowi.

Byłem wówczas jeszcze młodym człowiekiem, chłopcem niemal, wyznawcą kazimierskiego rabina — któż był godny większej czci niż on? Mój teść mieszkał w Rachowie, a ja pozostawałem na jego utrzymaniu. Był bogatym człowiekiem i prowadził dom po wielkopańsku. Posłuchajcie na przykład, co działo się przy posiłkach. Ledwo zdążyłem umyć ręce i odmówić błogosławieństwa, a moja teściowa wyjmuje bułeczki z pieca. Żeby były jeszcze ciepłe i świeże! Planowała wszystko co do sekundy. Do zupy wkładała mi jajka na twardo. Nie byłem przyzwyczajony to takich zbytków. W moim własnym domu chleb pieczono na zapas, co dwa tygodnie. Wcierałem czosnek w kromkę chleba i pijałem zimną wodą ze studni.

Ale u mojego teścia wszystko było wystawne — mosiężne klamki, miedziane patelnie. Przed przestąpieniem przez próg trzeba było wytrzeć buty o słomiankę. A zamieszanie, jakie robiono przy parzeniu kawy z cykorią! Moja teściowa pochodziła z rodziny misnagdów — wrogich chasydom — a dla misnagdów liczą się przede wszystkim przyjemności tego świata.

Mój teść był uczciwym Żydem, talmudystą; pośredniczył w handlu drewnem i zajmował się trochę matematyką. Dawniej miał własną chatkę w lesie; kiedy tam szedł, zabierał ze sobą strzelbę i dwa psy, ze względu na rozbójników. Znał się na logarytmach, zaś stukając młotkiem w korę drzewa, potrafił powiedzieć, czy jest ono równie zdrowe wewnątrz, jak na zewnątrz. Grywał także w szachy z dziedzicem. Kiedy tylko miał wolną chwilę, czytał jedną ze świętych ksiąg. Nosił ze sobą w kieszeni *Powinność serca*. Palił długą fajkę z bursztynowym cybuchem i srebrną pokrywką. Taśes trzymał w skórzanej torbie, a filakterie w srebrnych kasetkach.



Miał dwie wady. Przede wszystkim był zagorzałym misnagdem. I to jakim! — płonął jak ogień! Nazywał chasydów „heretykami”, nie wstydził się wyrażać źle o samym świętym Baal Szem Towie. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem, co mówi, przejął mnie dreszcz. Chciałem się pakować i uciekać. Ale kazimierski rabin był przeciwny rozwodowi. Ożeniłeś się z żoną, nie z teściem. I powiedział mi, że Jetro, teść Mojżesza, również nie był szczególnie pobożny. To mnie zaskoczyło. Jetro został później świętym. Ale nie uprzedzajmy faktów...

Druga wada mojego teścia polegała na niepoahamowanych wybuchach złości. Był w stanie pokonać wszystkie inne moralne słabości, ale nie tę. Kiedy jakiś kupiec nie oddał mu na czas długu i to co do grosza, nazywał go oszustem i nie chciał mieć z nim więcej do czynienia. Jeśli miejscowy szewc uszył mu parę butów, które były dla niego trochę za ciasne lub za luźne, besztął go niemilosierdzie.

Wszystko musiało być dopięte na ostatni guzik. Wbił sobie do głowy, że u Żydów musi panować porządek jak w szlacheckim dworze i domagał się, aby żona pozwalała mu sprawdzać rondle i patelnie. Jeśli znalazł na nich choć jedną plamkę, wpadał w furję. Krążył o nim żart, że odkrył dziurę w tarce do kartofli! Rodzina go kochała; w miasteczku go szanowano. Ale ile ataków złości mogą ludzie znosić? Każdy w końcu stawał się jego wrogiem. Wspólnicy go opuścili. Nawet moja teściowa nie mogła już z nim wytrzymać.

Kiedyś pożyczyłem od niego pióro. Zapomniałem je potem zwrócić, a że chciał napisać list do Lublina, wszczął dochodzenie. Przypomniawszy sobie, że je mam, szybko poszedłem mu je oddać. On jednak wpadł w taki szał, że uderzył mnie w twarz. Cóż, jeśli własny ojciec coś takiego robi, ma do tego prawo. Ale żeby teść uderzył zięcia? To wprost niesłychane! Moja teściowa na wieść o tym zachorowała; żona zalała się łzami. Ja sam specjalnie się nie przejąłem: Cóż to za tragedia? Ale widziałem, że teść gryzie się straszliwie, żałując tego, co zrobił. Poszedłem więc do niego.

— Teściu — mówię. — Nie bierzcie sobie tego do serca. Wybaczam wam.

W zasadzie niewiele się do mnie odzywał. Bowiem tak jak on dbał o każdy drobiazg, tak ja — przeciwnie. Kiedy zdjąłem kapotę, nigdy nie pamiętałem, gdzie ją położyłem. Jeśli dano mi jakieś pieniądze, szybko je gubiłem. I choć Rachów był małym miasteczkiem, wystarczyło, żebym poszedł dalej niż na rynek, a już nie mogłem trafić do domu. Wszystkie chałupy były jednako-

we, bo przecież nigdy nie patrzyłem na siedzące w oknach kobiety. Kiedy się gubiłem, otwierałem drzwi do jakiegoś domku i pytałem: — Czy czasem tu nie mieszka mój teść? Ci w środku zawsze zaczęli się śmiać i chichotać. W końcu poprzysiągłem sobie, że nigdzie nie będę chodził, chyba że do domu nauki i z powrotem. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że obok domu teścia znajduje się widoczny znak: grube drzewo o długich korzeniach, które musiało mieć ze sto lat.

W każdym razie z takiego czy innego powodu mój teść i ja zawsze się kłóciliśmy i w związku z tym on mnie unikał. Ale po zejściu z piórem wszczął ze mną rozmowę.

— Baruch, co mam robić? — mówi. — Jestem nieopanowany. Wiem, że grzech złości jest równie ciężki jak grzech bałwochwalstwa. Od wielu lat próbuję nad sobą panować, ale robię się coraz gorszy. Pogrążam się w piekle. Z ziemskimi sprawami też jest nie najlepiej. Moi wrogowie chcą mnie zniszczyć. Obawiam się, że zostanę bez niczego.

— Teściu — ja na to, — pojedźcie ze mną do rabina Chazkele z Kazimierza.

Teść pobladł gwałtownie. — Czyś ty oszalał? — wykrzyknął. — Wiesz, że nie wierzę w rabinów cudotwórców!

Ugryzłem się w język. Po pierwsze dlatego, że nie chciałem, aby na mnie krzyczał, bo później zawsze tego żałował. A po drugie wołałem, aby nie bluźnił świętemu człowiekowi.

Ale wyobraźcie sobie, co się stało: Po wieczornej modlitwie podchodzi do mnie i rzecze:

— Baruch, jedziemy do Kazimierza. — Oszupiałem. Ale co tu dużo mówić... Postanowił jechać, więc natychmiast zaczęliśmy przygotowania do podróży. Jako że była zima musieliśmy wynająć sanie. Spadł obfity śnieg i droga była bardzo niebezpieczna; w lasach roiło się od wilków; nie brakowało również rozbójników. Ale musieliśmy jechać, i to zaraz. Taki już był mój teść! Teścio-wa myślała, że — niech Bóg broni — postradał rozum. Nałożył futro i walonki, odmówił modlitwę na podróż. Ja potraktowałem całą rzecz jako wielką przygodę. Czyż nie jechałem do Kazimierza i nie zabierałem ze sobą teścia? Któż mógłby być szczęśliwszy? Ale mimo to drżałem ze strachu, bo kto wie, co się tam wydarzy!

W czasie podróży teść nie odezwał się ani słowem. Przez całą drogę padał

śnieg. Nad mijanymi przez nas polami wirowały białe płatki. Filozofowie twierdzą, że każdy płatek śniegu jest niepowtarzalny. Ale sam śnieg jako taki to też ciekawy temat. Pochodzi z nieba i pozwala nam doświadczać spokoju tamtego świata. Biały według Kabały jest kolorem miłosierdzia, podczas gdy czerwony oznacza prawo.

Obecnie śnieg to nic takiego; pada przez dzień lub najwyżej dwa. Ale w tamtych czasach! Często padał przez miesiąc bez przerwy! Tworzyły się ogromne zaspę; nie było widać domów i każdy musiał wykopywać sobie drogę. Niebo i ziemia łączyły się w jedno. Dlaczego broda starca pokrywa się szronem? Wszystkie te sprawy są ze sobą powiązane. W nocy słyszeliśmy wycie bestii... A może był to tylko odgłos wiatru?

Dotarliśmy do Kazimierza w piątek po południu. Teść poszedł do rabina, aby się z nim przywitać. Przyjęto go natychmiast. Jako że był to środek zimy, przybyło niewielu uczniów. Ja czekałem w domu nauki z duszą na ramieniu. Mój teść był z natury taki porywczy. Równie dobrze jak do mnie, może niegrzecznie odezwać się do rabina Chazkele. Po trzech kwadransach wyszedł — jego biała jak kreda twarz odcinała się od długiej brody, oczy pod krzaczastymi brwiami płonęły jak węgle..

— Gdyby to nie było tuż przed szabatem, natychmiast wróciłbym do domu — oznajmił.

— Co się stało, teściu? — zapytałem.

— Ten twój cadyk jest głupcem! Nieuk! Gdyby nie był taki stary, wyrwałbym mu pejsy.

W ustach poczułem gorzki smak żółci. Żalowałem, że się na to wszystko zgodziłem. Żeby mówić w ten sposób o rabinie Chazkele z Kazimierza!

— Teściu — zapytałem, — co wam powiedział rabin?

— Powiedział mi, żebym został pochlebcą — odparł teść. — Przez osiem dni muszę pochlebiać każdemu, kogo spotkam, nawet najgorszemu łotrowi. Gdyby twój rabin miał choć trochę rozumu, wiedziałby, że nie znoszę pochlebstw. Na samą myśl o nich robi mi się niedobrze. Dla mnie pochlebca jest gorszy od mordercy.

— Teściu — powiedziałem, — a czy uważacie, że rabin nie wie, iż pochlebstwo jest złą rzeczą? Wierzcie mi, on wie, co robi.

— Co on może wiedzieć? Jeden grzech nie zdoła wymazać drugiego. Nie ma pojęcia o prawie.

Odszedłem zupełnie zdruzgotany. Nie byłem jeszcze w mykwie, toteż tam właśnie się udałem. Zapomniałem powiedzieć, że mój teść nigdy nie chodził do mykwy. Nie wiem dlaczego. Chyba tak postępują misnagdzi. Może był na to za dumny. Rozbieranie się pośród innych mężczyzn uchybiłoby jego godności. Kiedy wyszedłem z mykwy, świece szabasowe już płonęły. Rabin Chazkele zwykł je błogosławić na długo przed zapadnięciem zmroku — on sam, nie jego żona. Ona zapalała swoje własne świece. Ale to inna sprawa...

Wszedłem do domu nauki. Rabin stał w białym chałacie i białej jarmułce. Jego oblicze promieniało jak słońce. Było widać, że znajduje się w wyższym świecie. Kiedy zaśpiewał „Dzięki czynicie Panu, bo jest dobry, bo na wieki łaska Jego”, ściany zadrżały. W czasie modlitwy rabin klaskał w dłonie i przytupywał.

Obecnych było tylko kilku uczniów. Ale stanowili oni samą śmietankę, grono ludzi szlachetnych, z których każdy był osobistym przyjacielem rabina. Kiedy śpiewali, czułem, że ich modlitwy sięgają niebios. Nigdy, nawet w Kazimierzu, nie doświadczyłem wcześniej takiego rozpoczęcia świętego szabatu, radości tak prawdziwej, że można jej było dotknąć. Oczy wszystkich błyszczały. Mój umysł stał się tak lekki, że ledwo mogłem utrzymać stopy na ziemi. Tak się złożyło, że modliłem się przy oknie. Śnieg pokrył wszystko — nie widać było drogi, ścieżek, domków. Miałem wrażenie, że świece palą się wprost na śniegu. Niebo i ziemia stanowiły jedność. Księżyc i gwiazdy dotykały dachów. Ci, którzy nie byli w Kazimierzu tego piątkowego wieczoru, nigdy nie dowiedzą się, jak może wyglądać ten świat... Nie mówię teraz o przyszłym świecie...

Spojrzałem na mojego teścia. Stał w kącie z pochyloną głową. Zwykle jego twarz miała surowy wyraz, ale teraz wyglądał pokornie, jak ktoś zupełnie inny. Po modlitwie poszedł jeść przy jednym stole z rabinem.

Rabin nałożył białą jedwabną kapotę ze srebrnymi haftkami, wyszywaną w kwieciste wzory. Zgodnie z przyjętym zwyczajem przed szabasowym posiłkiem siedział sam w swojej bibliotece nad *Miszną i Zoharem*. Starsi uczniowie zasiedli na ławkach; młodszy, wśród nich ja, stali w pobliżu.

Ale oto rabin wyszedł do nas i zaintonował „Pokój niech będzie z wami”

i „Kobietę zacną kto znaleźć zdoła?”. Potem pobłogosławił wino i odmówił modlitwę nad szabasową chałą. Zjadł kawałek nie większy niż oliwka, po czym zaczął śpiewać szabasowe pieśni. Ale to nie był zwykły śpiew! Jego ciało kołysało się; gruchał jak gołębicą; brzmiało to jak śpiew aniołów. Jego łączność z Bogiem była tak całkowita, że dusza niemalże opuściła ciało. Każdy widział, że cadyk znajduje się nie tutaj, ale wysoko w niebie.

Kto wie jakich wyżyn dosięgał? Czy można to w ogóle opisać? Jak mówi Talmud: „Ten, kto nie widział takiej radości, nigdy prawdziwej radości nie widział”. Był jednocześnie na dworze w Kazimierzu i wysoko w boskich świątyniach, w Gnieździe Ptaka, przy Tronie Chwały. Ogarnął mnie zachwyty nie do opisania. Zapomniałem o teściu, a nawet o sobie samym. Nie byłem już Baruchem z Rachowa, ale bezcielesną nicością. Dobiegała pierwsza godzina po północy, kiedy opuściłem stół rabina. Taki szabat nigdy wcześniej się nie zdarzył i nigdy już nie zdarzy — chyba że wtedy, kiedy przyjdzie Mesjasz.

Ale zapominam o najważniejszej rzeczy. Rabin komentował prawo. A to, co powiedział, związane było z radą udzieloną memu teściowi w czasie ich spotkania.

— Co powinien zrobić Żyd, jeśli nie jest pobożnym człowiekiem? — zapytał rabin. I odpowiedział: — Niechaj udaje pobożnego. Wszechmocny nie wymaga dobrych intencji. Liczy się czyn. Ważne jest to, co robisz. Może się złościsz? To złość się dalej, ale jednocześnie używaj uprzejmych słów i bądź przyjazny. Boisz się być obłudnikiem? To co, że udajesz kogoś, kim nie jesteś? Dla kogo kłamiesz? Dla Twojego Ojca w niebie. Jego Święte Imię, niechaj będzie błogosławione, zna prawdziwą intencję i intencję stojącą za tą intencją i to jest właśnie najważniejsze.

Ale czyż można przekazać lekcję rabina? Perły sypały się z jego ust, a każde słowo płonęło jak ogień i przenikało do serca. Nie chodziło zresztą o same słowa, ale również jego gesty i ton. Złego ducha, powiedział rabin, nie można pokonać samą siłą woli. Wiadomo, że zły duch nie ma ciała i działa głównie za sprawą mowy. Nie dopuszczajcie go do głosu — w ten właśnie sposób można go pokonać. Weźmy na przykład Balaama, syna Beora. Chciał przekląć dzieci Izraela, ale zmusił się, aby je pobłogosławić i dlatego właśnie jego imię jest wspomniane w Biblii. Kiedy nie używa się złemu duchowi języka, musi pozostać niemy.

Co mam się dłużej rozwodzić? Mój teść przyszedł na wszystkie trzy szabasowe posiłki. A kiedy na zakończenie szabatu poszedł do rabina, aby się z nim pożegnać, pozostał u niego przez całą godzinę. W drodze do domu zapytałem:

— No i co, teściu?

A on odparł:

— Twój cadyk jest wielkim człowiekiem.

W drodze powrotnej do Rachowa czyhały na nas niebezpieczeństwa. Choć był to środek zimy, lód na Wiśle popękał — kry płynęły z biegiem rzeki tak jak to ma zwykle miejsce w czasie Pesach. Pośrodku tej zimnicy zerwały się grzmoty i błyskawice. Nie ma co do tego wątpliwości, tylko Szatan mógł być za to odpowiedzialny! Musieliśmy zatrzymać się aż do wtorku w jakimś szynku, gdzie przebywało wielu misnagdów. Nikt nie był w stanie podróżować. Na dworze szalała śnieżycą. Wycie wiatru w kominie przyprawiało o dreszcze.

Misnagdzi są zawsze tacy sami, więc i ci nie byli inni. Zaczęli wyśmiewać się ile wlezie z chasydów — ale mój teść zachował milczenie. Próbowali go sprowokować, lecz on nie chciał się do nich przyłączyć. Podchodzili go jak mogli: — A co powiesz o tym? A o tym? Zbywał ich uprzejmie na wiele sposobów. — Cóż się tak zmieniłeś? — pytali. Gdyby wiedzieli, że wraca od rabina Chazkele, rozerwaliby go chyba na strzępy.

Cóż więcej mogę wam powiedzieć? Teść postępował, jak mu rabin przykazał. Przestał naskakiwać na ludzi. Jego oczy pały złością, lecz wyrażał się łagodnie. A jeśli czasami podnosił fajkę, aby nią kogoś uderzyć, zawsze hamował się i przemawiał z pokorą. Po niedługim czasie ludzie z Rachowa zdali sobie sprawę, że mój teść jest innym człowiekiem. Zawarł pokój z wrogami. Zatrzymywał każdego chłopaczka na ulicy i szczypał go w policzek. A jeśli nosiwoda rozchlapał wodę, wchodząc do naszego domu, to chociaż wiedziałem, że fakt ten doprowadza go niemal do szału, nigdy tego nie okazał.

— Jak się miewacie, reb Jontł? — pytał. — Zimno, co? — Czulo się, że przychodzi mu to z wielkim trudem. I tym bardziej przydawało to szlachetności jego postępowaniu.

Z czasem jego złość zniknęła niemal zupełnie. Trzy razy do roku odwiedzał rabina Chazkele. Stał się uprzejmym człowiekiem i tak pogodnym, że trudno było w to uwierzyć. Ale na tym właśnie polega przyzwyczajenie — jeśli się je przełamie, zmienia się we własne przeciwieństwo. Najgorszy grzech można obrócić w dobry uczynek. Ważne, aby działać, nie rozmyślać. Zaczął nawet chodzić do mykwy. A kiedy się postarzał, zyskał własnych uczniów. Było to już po śmierci rabina Chazkele. Mój teść zawsze mawiał: — Jeśli nie możesz być dobrym Żydem, zachowuj się jak dobry Żyd, ponieważ, jesteś taki jak się zachowujesz. W innym wypadku, dlaczego zachowywalibyśmy się tak a nie inaczej? Weźmy na przykład pijaka w szynku. Dlaczego nie próbuje zachowywać się inaczej?

Rabin powiedział kiedyś: — Dlaczego przykazanie: „Nie będziesz pożądał” jest ostatnim z dziesięciu? Ponieważ najpierw należy unikać złych postępów. A wtedy, później, nie będzie się ich chciało popełniać. Jeśliby człowiek stał i czekał, aż ustąpią wszelkie żądze, nigdy by nie dostąpił świętości.

I tak się dzieje ze wszystkim. Jeśli nie jesteś szczęśliwy, raduj się. Szczęście przyjdzie później. Podobnie jest z wiarą. Jeśli ogarnia cię zachowuj się tak, jakbyś wierzył. Wiara przyjdzie później.

## W przytułku

### I

W przytułku panowała dzisiaj ciepła, domowa atmosfera. Bogacz z miasteczka, reb Lejzer Lemkes wydawał za mąż najmłodszą córkę, Altele, i urządził z tej okazji ucztę dla biednych. Każdy żebrak nie dość, że objadł się karpem, rosołem z pierogami, chałą oraz czulentem i zapił to wszystko winem, dostał dodatkowo jakiś gościniec: kawałek piernika, kurze udko, jabłko lub ciastko. Wszyscy najedli się do syta. Większość zjadła za dużo. Szames w przytułku także się obłowił i dlatego dzisiaj nie skąpił: napełnił cały piec drewnem. Zza żelaznych drzwiczek buchało takie gorąco, że żebraczka Hodele poprosiła, aby ktoś otworzył szyber — była cała spocona.

Po uczcie wszyscy zasnęli. Szybko zapadła noc. Żaden z mężczyzn nie modlił się tego wieczoru. Ale po kilku godzinach snu przytułkowa rodzinka zaczęła się budzić. Pierwszy otworzył oczy Lejbuś Podrap, który wcześniej ukrył w słomie pieczonego kurczaka. Teraz zaczął go pochłaniać w obawie, że ktoś mu go ukradnie podczas długiej nocy lub że dobiorą się do niego myszy.

Drugi obudził się Jonasz Złodziej. Ten z kolei wsunął pod poduszkę głowę karpia owiniętą w liście kapusty — prezent od służącej, Serele. Basie Dziwka, która ukryła trzy makaroniki w pończosze, też nie mogła spać. Odgłosy młaskania, ciamkania i żucia mieszały się z sapaniem i chrapaniem śpiących. Na dworze leżał świeży śnieg, księżyc świecił jasno. Po jakimś czasie Lejbuś Podrap zapytał:

- Jonasz, przyjacielu, jesz już czy jeszcze trzymasz pod poduszką?
- Jedzenie nie grzech — odparował mu Jonasz Złodziej.



— Zostawcie go, reb Lejbuś — wtrąciła Basie Dziwka, — bo jeszcze połknie kość.

— Co tak chrupiesz? — zapytał Lejbuś. — Macę z zeszłego Pesach?

— Makaronik.

— Zdawało mi się, że coś tam masz. Kto ci to dał, he?

— Mała Cypele.

— Daj mi kawałek...

Basie nic nie odpowiedziała.

Jonasz Złodziej zaśmiał się: — Takie jak ona nie dają niczego za darmo.

— Mogę jej oddać mój ból brzucha.

— Jeśli cię boli, to sobie zatrzymaj — odparła Basie.

— Starczy go i dla ciebie.

— Nie złorzeczcie, reb Lejbuś, i tak jestem przeklęta — powiedziała Basie. Kiedy indziej nie chciałoby jej się nawet rozmawiać z Lejbusiem, ale jedzenie, wino i rozpalony do czerwoności piec zmiękczyły wszystkie serca. Ludzie zapomnieli na jakiś czas o kłótniach. Poza tym noc była długa, a oni nie mogli ponownie zasnąć.

Przez jakiś czas panowała cisza. Słysząc było, jak Lejbuś chrupie kości kurczaka i wysysa szpik. Potem zapytał:

— Ciekawe, która godzina?

— Oddałem zegarek do naprawy — zażartował Jonasz Złodziej.

— Kiedyś, dawno temu, nie potrzeba mi było zegarków. Za dnia potrafiłem poznać czas po słońcu. W nocy patrzyłem na gwiazdy lub niuchałem wiatr. Ale w tym smrodzie nie można niczego wyczuć. Dlaczego koguty nie pieją?

— Wszystkie koguty zostały zarżnięte na wesele — powiedziała Basie.

— Opowiedz nam coś, reb Lejbuś — poprosił Jonasz Złodziej.

— Co mam opowiadać? Opowiedziałem wam już wszystko. Stary Gecl zmyśla różne historie, ale ja nie lubię zmyślać. Co by mi z tego przyszło? Mogę wam powiedzieć, że kiedyś byłem hrabią Potockim lub że Radziwiłł

pałił u mnie w mykwie. I co z tego? Czy kiedyś opowiadałem wam o manekinie?

— W szklance wódki? Ze sztukmistrzem?

— Tak.

— Opowiadałeś.

— A o gradzie?

— O gradzie też.

— A o wołu?

— O tym, jak wół cię napadł w drodze na wieczorną modlitwę?

— Tak.

— Tak, to też nam opowiadałeś.

— No to o czym mogę wam jeszcze opowiedzieć? To ty jesteś złodziejem, masz wiele do opowiadania. Ja całe życie harowałem jak wół.

— A ty, Basie, dlaczego nam nigdy niczego nie opowiadasz? — zapytał Jonasz.

Basie milczała. Nie spodziewali się, że w ogóle odpowie. Aż tu nagle dał się słyszeć jej głos:

— A co ja wam mogę opowiedzieć?

— Powiedz nam, jak zostałeś dziwką i co było dalej.

— Starczy, że otworzę gębę, a baby zaczynają złorzeczyć.

— Baby śpią.

— Zaraz się obudzą. Nie dają mi żyć. Bóg mi wybaczył dawno temu, ale one nie wybaczą. Czy im co złego zrobiłam? Nie jestem z tych stron. Nigdy nie grzeszyłam z ich mężami. Leżę tutaj i nie krzywdzę nawet muchy, ale one pożerają mnie wzrokiem. Plują mi w twarz. Kiedy tylko ktoś przyniesie mi talerz zupy lub miskę kaszy, zaczynają syczeć jak źmije: — Nie dla niej! Nie dla niej! Gdyby to od nich zależało, dawno już umarłabym z głodu. Ale dobrzy ludzie mają nade mną litość. Gdybym miała nogi, nie leżałabym tutaj. Uciekłabym, gdzie pieprz rośnie.

— Ale ich nie masz.

— I na tym polega moje nieszczęście. Tęsknię za śmiercią, a ta nie przy-

chodzi. Zdrowi ludzie odchodzą, a ja leżę tutaj i gniję za życia. Dobrze, że mnie tu wsadzili. Kobiety szczypały mnie, wrywały mi ciało po kawałku. Rzucały we mnie śmieciami. Wylewały na mnie szczyny z nocnika...

— Wiemy, wiemy...

— Nie wiecie nawet jednej tysięcznej tego wszystkiego. Kiedy jakiś chłop kogoś uderzy, wszyscy to widzą i robi się zaraz wielki rejwach. Ale kobiety potrafią drażnić ci serce podstępnie. Teraz, kiedy nie mogą mnie dosięgnąć rękami, przeszywają mnie wzrokiem. Nie mogą mi wybaczyć, że leżę wśród mężczyzn. Nawet kiedy umrę i spocznę z nogami ku drzwiom i słomą pod głową, wciąż będą mi zazdrościć.

— Myślałem, że opowiesz nam jakąś historię.

— Co mogę opowiedzieć? Ciężko mi było od małego. Moja matka, oby się za mną wstawiła, miała wcześniej trzy córki. Ojciec chciał syna. Wybrał się zatem do jakiegoś cadyka, który obiecał mu chłopca. Kiedy akuszerka powiedziała mu, że znowu jest dziewczynka, nie chciał wierzyć. Kazał pokazać sobie dziecko... Mój ojciec był chasydem i w domu nauki panował zwyczaj, że mężczyzna, którego żona rodzi jedną córkę za drugą, dostaje lanie. Chasydzi rozłożyli mojego ojca na stole i wychłostali go pasami. Nigdy nie chciał na mnie spojrzeć. Nie zwracał się nawet do mnie po imieniu. Ale i nigdy mnie nie bił. Tak jakbym była pasierbicą. Kiedy mówiłam do niego „tato”, udawał, że nie słyszy. Czy to moja wina? Moja matka mawiała: „Urodziłaś się w czarnej godzinie”. Kiedy miałam dziewięć lat opuściłam dom.

— Dlaczego opuściłaś dom?

— Bo zarznęłam trzy kaczki.

— Co takiego? Zarznęłaś kaczki?

— Tak, wyrastałam na dzikuskę. Cokolwiek zobaczyłam, zaraz naśladowałam. Pewnego dnia matka wysłała mnie do szojcheta z kurą do zarznięcia. Kiedy zobaczyłam, jak szojchet stoi z nożem w ręku, zarzynając ptactwo, bardzo mi się to spodobało. W komórce mieliśmy zamknięte trzy kaczki. Wzięłam scyzoryk, splunęłam na kamień, naostrzyłam go i podciąłem gardła tym trzem ptakom. Nagle otworzyły się drzwi i wszedł ojciec. Zrobił się biały jak kreda. Pobiegł do matki krzycząc: — Albo ona sobie pójdzie, albo ja... Następnego dnia spakowali moje rzeczy w tobolek i wysłali mnie na służbę do Lublina.

— Ale jak zostałam dziwką?

— A jak ty zostałeś koniokrądem? Po trochu. Młody człowiek obiecuje, że poprowadzi cię pod chupę. A potem mówi ci, żebyś poszła w diabły.

— Kim był ten pierwszy?

— Belfrem.

— Belfer, he? I co?

— Poszedł sobie i tyle go widziano. Niech kto spróbuje znaleźć belfra w szerokim świecie. Po nim był czeladnik krawca, a po krawcu kapelusznik. Kiedy dziewczyna straci cnotę, pada łupem wszystkich. Kto tylko zechce, może z niej skorzystać. Chupa to tylko parę łokci aksamitu i cztery kije. Ale bez niej dziewczyna jest warta mniej niż brud za paznokciem.

— Wiemy o tym. Kiedy poszłaś do burdelu?

— Kiedy dorobiłam się brzucha.

— A co było potem?

— Co miało być? Nic.

— A dziecko, co się z nim stało?

— Zostawiłam na kościelnych schodach.

— Jedno?

— Troje.

— A potem co?

— Nic.

— To żadne opowiadanie.

— Opowiadanie będzie później.

— Co się stało?

— Wstydzę się o tym mówić przy reb Lejbusiu.

— Co takiego? Przecież on śpi.

— Zasnął?

— Nie słyszysz jak chrapie?

— Tak. Ale dopiero co rozmawiał!

— W jego wieku w jednej chwili mówisz, w następnej drzemiesz, po czym pa pa i już po wszystkim. No, ale mnie nie musisz się wstydzić.

— Nie.

— To posłuchajmy.

— Boję się, że baby nie śpią.

— Śpią jak zabite. Mów cicho. Nie jestem głuchy.

— Czasami człowiek ma ochotę pogadać. Byłam już wtedy w Warszawie. U burdelmamy. Miała nas trzy, ja byłam najładniejsza. Nie patrz na to, jak wyglądam dzisiaj. Została ze mnie stara skorupa. Nie mam nóg, włosy mi wyszły, zęby wypadły. Wyglądam jak stary strach na wróble. Ale za młodych lat byłam piękną. Królowa! Tak mnie nazywano. Ludzie nie mogli patrzeć mi prosto w twarz — oślepiała ich jak słońce. Wystarczyło, że jakiś klient raz mnie dostał, to potem nie chciał żadnej innej. Te dwie dziewczyny wystawały pod bramą przez całą noc, a ja siedziałam na łóżku i przychodzili do mnie jak do doktora. Burdelmama miała ostry język, ale kiedy ze mną rozmawiała, to tak jakby zamieniał się w jedwab. Miałam narzeczonego — tak go nazywałyśmy — Jankiela, który za mną szalał. Kupował mi, co tylko chciałam. Jeśli burdelmama odezwała się do mnie nieuprzejmie, natychmiast wyciągał nóż zza cholewy. Był z niego narwaniec. Gość to ostatecznie gość. A Jankiel ni z tego ni z owego dostawał ataku zazdrości. Chwytał człowieka za kołnierz i zrzucał go ze schodów, jeśli ten ośmielił się mnie choćby pocałować. Burdelmama darła się wniebogłosy, a on wrzeszczał: — Zamknij się, bo ci zęby powybijam. Chciał się ze mną ożenić, ale nie dane mu było długo żyć. Złapał ospę, cały był pokryty pęcherzami. Zabrali go karetką do szpitala, a tam wszystkich truli.

— Truli? Dlaczego?

— Po prostu.

— I co potem?

— Umarł i pochowali go. Wtedy los mi się odmienił na gorsze. Przejął mnie kto inny, komu zależało tylko na forsie. Nazywał się Sender, Sender Próznik. Nie obchodziłam go, a on mnie nie obchodził. Kiedy burdelmama zobaczyła, że źle mi się wiedzie, zaczęła mną rządzić. Nie mogłam uciec, bo miałam żółte papiery. A zresztą, gdzie takie jak ja mogą uciec? Chyba że do

grobu. Burdelmama zaczęła mnie obrzucać wyzwiskami, a te dwie dziwki obrzydzały mi życie. Kobieta musi mieć kogoś, kto ją ochroni, bo jak nie, to popada w tarapaty.

Raz na dwa tygodnie miałyśmy wychodne. Kiedy żył Jankiel, zabierał mnie gdzie się dało. Jeździliśmy nawet dorożką. Kupował mi u jednego Turka czekoladki, marmoladki, chałwę i lukrecję — czego tylko dusza zapragnie. Na Placu Broni stała karuzela i chodziliśmy tam, żeby na niej jeździć. Ale kiedy Jankiel odszedł, zostałam sama. Burdelmama mieszkała na Niskiej, a ja wystawałam na Dzikiej. Byłeś kiedy w Warszawie? Nie miałam nic do roboty.

Opierałam się więc o latarnię i gryzłam ziarna słonecznika. Nie zamierzałam nikogo złapać. Nakładałam sukienkę z perkalu i szal na ramiona jak porządna dziewczyna.

Stoję tak sobie raz i rozmyślam o moim życiu. A tu nagle podchodzi do mnie wysoki młody mężczyzna z gęstą czupryną, w kapeluszu z dużym rondem i pelerynie do ziemi. Byłam tak przerażona, że aż krzyknęłam. Wyglądał dziwnie, blady i rozczochrany jak jakiś anarchista. W tamtych czasach robotnicy organizowali związki i rzucali bomby w cara. Sądziłam, że jest jednym z nich. Chciałam uciec, ale on chwycił mnie długą ręką. — Panienko — powiada — nie uciekaj. Nie zjadam ludzi. — Czego pan chce? — pytam. A on na to: — Chcesz zarobić trochę pieniędzy? — Kto nie chce pieniędzy — ja na to — ale nie mam czasu. Za godzinę muszę być z powrotem u starej. — To nie zajmie nawet godziny — mówi. Zaczyna gadać tak szybko, że na początku nie mogę niczego zrozumieć. Jest zakochany, powiada, w dziewczynie, która wyciska z niego ostatnie poty. I dlatego chce, abym z nim poszła, przedstawi mnie jako swoją narzeczoną. — Co panu z tego przyjdzie? — pytam. — Zresztą muszę zaraz wracać. — A on na to: — Chcę ją wystawić na próbę. — Skąd pan wie, kim jestem? — pytam. A on mówi, że mieszka po drugiej stronie ulicy i widzi mnie zawsze przy bramie. Zdaje się, że mnie śledził.

Bałam się, ponieważ nie mogłam zostać długo; Sender nie szczędził mi razów w takich wypadkach. Starczyło, że coś mu się nie spodobało, a mógł cię zatłuc na śmierć. Ale zanim zdążyłam powiedzieć choćby jedno słowo, siedziałam w dorożce. — Zdejmij szal — mówi. Na Nalewkach była modystka. Każe dorożkarzowi zaczekać i wybiera dla mnie kapelusz o szerokim rondzie za trzy ruble. Nakładam go i nie poznaję własnej twarzy w lustrze.

Zabiera mój szal i chowa pod peleryną. Wyjeżdżamy na Miodową i tam kupuje mi torebkę. Wszyscy klienci się targują. W ten sposób udaje im się obniżyć cenę do połowy. Ale on się nie targuje, płaci, ile żądają. Sprzedawczynie śmieją się z niego i dają sobie znaki. Moja matka mawiała często: „Wyślij głupca na targ, a handlarze mają uciechę”. Krótko mówiąc byłam teraz damą z Marszałkowskiej.

Z Miodowej pojechaliśmy z powrotem na Franciszkańską. Dorożkarz zaczął mrużyć, że to więcej niż jeden kurs. Na to ten człowiek bierze pół rubla z kieszeni i wręcza mu. Rozrzucił pieniądze jak jakiś lord.

W końcu dojeżdżamy do sklepu z wyrobami ze skóry, gdzie siedzi jakaś dziewczyna. Nie ma klientów. On puszcza mnie przodem i idzie za mną. W Warszawie określaliśmy to mianem galanterii. Była zwykłą dziewczyną. Nie wiem, co w niej widział. Oczy miała czarne i przenikliwe. Widać było, że to jędra. Tylko na niego spojrzała i zaraz zbladła jak kreda. On bierze mnie pod rękę i prowadzi do kontuaru. — Droga Leo — mówi — to moja narzeczona. — Myślałam, że ta zołza dostanie na miejscu apopleksji. Gdyby mogła, połknęłaby mnie żywcem. — Po co przyprowadziłaś tutaj narzeczoną? — pyta. — Czy chcesz, abym jej pogratulowała? — Nie — odparł, — nie to jest powodem. Chcę zamówić dla niej parę butów, a wiem, że twój ojciec sprzedaje najlepszą skórę. Wybierz jej coś pierwsza klasa. Cena nie gra roli. — Ta dziewczyna musiała mieć nerwy z żelaza, skoro szlag jej nie trafił na miejscu. — Nie można kupować skóry bez szewca — mówi. — Trzeba znać rozmiar i dodatki. — Możesz zdjąć jej miarę — on na to i każe mi usiąść na stołeczku. Unosi moją sukienkę, odrywa kawałek papieru i mierzy mi stopę. — Leo droga — mówi — czy widziałaś kiedy taką stopę? To najmniejsza nóżka w całej Warszawie. Rzeczywiście miałam małe stopy. Łaskocze mnie długimi palcami, a ja ledwo mogę zachować powagę. — Nie myśl, że mnie oszukasz — powiada dziewczyna. — Mogłeś kupić tę skórę gdzie indziej. Przyszedłeś tutaj, żeby mi dokuczyć. Powiem ci więc jedno: kto się ze mną drażni, traci na tym. A poza tym ona wcale nie jest twoją narzeczoną. Złapałeś kogoś z ulicy. Wiem, na co cię stać. Nie potrzeba mi twoich sztuczek. Wynoś się stąd i więcej mi się nie pokazuj. Jeśli jeszcze raz przyjdiesz, z nią albo bez niej, wezwę policję! — Mój pan blednie i nic nie mówi. Puszcza moją stopę, a ja siedzę w jednym bucie i jednej pończosze. A potem wykrzykuje: — Tak, masz rację. Jest dziewczyną z ulicy, ale przysięgam Bogu, że ją poślubię jeszcze dzisiaj! Wie-

czorem będzie moją żoną, a o tobie zapomnę. Wyrwę cię ze swojego serca. Będę ją kochał całą duszą. Nawet jeśli jest ulicznicą, ma w sobie więcej przyzwoitości niż ty... — Takie były jego słowa. Zaczął obrzucać ją najgorszymi wyzwiskami. Złapał mnie za rękę i wrzeszczał: — Chodźmy do rabina, moja oblubienico! Dziś wieczorem zostaniemy mężem i żoną. — Byłam tak oszołomiona, że zostawiłam jeden but w sklepie.

## II

Lejbuś Podrap obudził się.

— Rozmawiacie? Mówcie. Co się potem stało?

— A więc słyszałeś? — zapytał Jonasz Złodziej. — Przecież spałeś!

— Zdrzemnąłem się, ale słyszałem. W moim wieku sen nie jest taki jak dawniej. Śni mi się, że jestem na jarmarku, a wiem, że leżę tutaj w przytułku. Jestem tutaj i jestem tam. Jestem Lejbusiem i jestem rabinem. Dlaczego zostawiłaś pantofel, he?

— Bałam się, że zrobi się zbiegowisko.

— Jak mogłaś chodzić w jednym bucie?

— Kiedy tam stałam, pantofel wyleciał za mną ze sklepu. Pobiegłam, żeby go złapać i jakiś powóz omal mnie nie przejechał. Mój elegancki pan ukląkł w środku rynsztoka i włożył mi bucik na nogę. Zupełnie jak w jakiej sztuce w teatrze. Cała ulica się śmiała. Dorożka już odjechała, a on ciągnął mnie i krzychał: — Gdzie można tu znaleźć rabina? — Ludzie wskazali dom po drugiej stronie ulicy. I wtedy, moi drodzy, zrozumiałam, że nie mam szczęścia. Byliśmy już przy schodach, kiedy nagle zaczęłam się bać. — Kocha pan tamtą dziewczynę, a nie mnie — powiedziałam. — Będę cię kochał, będę cię kochał — on na to. — Jestem farmaceutą. Mogę zamieszkać w Petersburgu, w Moskwie, w całej Rosji, gdzie tylko zechcę. Wyjedziemy z tego miasta, a ja wyrwę ją z mojego serca. Będę cię kochał i wielbił, zostaniesz matką moich dzieci. Pamiętam każde słowo, jakby to się zdarzyło wczoraj. Nie wiedziałam, co to farmaceuta. Później ktoś mi wyjaśnił, że to to samo co aptekarz. Wykształcony człowiek. Ale ja mówię: — Czy pan wie, czym się zajmuję? — Wiem — krzyczy, — ale nie chcę wiedzieć. Wybaczę ci wszystko... — Przecież pan



mnie nawet nie zna — powiadam, a on wrzeszczy: — Nie muszę cię znać. Jesteś czystsza niż ona... — Patrzę na niego, ma pianę na ustach. Oczy jak u szaleńca. Nagle zrobiło mi się niedobrze. Wyrwałam się i zaczęłam biec. Wybiegłam za bramę i słyszałam jeszcze, jak on biegnie za mną i krzyczy: — Dokąd biegiesz? Dokąd biegiesz? Wracaj! ... — Uciekałam jak przed mordercą. Dotarłam do jatek na rynku i tam się od niego uwolniłam. Panował taki tłok, że nie można by wcisnąć szpilki. Dopiero kiedy ochłonęłam, zdałam sobie sprawę, że koniec ze mną. Dokąd biegłam nieszczęsna? W czarną otchłań.

Kiedy wróciłam do domu i zobaczyli mnie w modnym kapeluszu i z torebką, powstało zamieszanie. Stara pyta: — Gdzie jest szal? — A ja nie mam szala. Schował go pod peleryną. Cóż, nie było końca rozmowom i śmiechom. Nie chcieli mi uwierzyć. Kiedy wrócił Sender i dowiedział się o wszystkim, zabrał mi kapelusz i torebkę. Na dokładkę dał mi kuksańca. Miał gdzieś narzeczoną i wszystko jej zanosił. Ach, moi drodzy, powiem wam coś jeszcze: stara potrafiła mi z moich zarobków za szal, żebym tak nie miała porządnego pogrzebu, jeśli kłamię.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli. Potem Lejbuś Podrap zapytał:

— Szkoda ci teraz, co?

— A bo nie? Nie gniłabym w tej dziurze.

— Dlaczego go nie odszukałaś, skoro mieszkał po drugiej stronie ulicy? — zapytał Jonasz Złodziej.

— Po tym wszystkim nie chcieli mi w ogóle dawać wychodnego. Myślałam, że przyjdzie, ale nigdy się nie zjawił.

— Może pogodził się z tą dziewczyną ze sklepu ze skórami?

— Może.

— Jest takie powiedzenie: kuj żelazo, póki gorące — zauważył Lejbuś Podrap.

— To prawda.

— A jednak, jeśli coś nie jest ci pisane, to nic z tego. Czy to rzeczywiście ty biegłaś? Nogi same cię niosły. Albo weź mnie. Czy musiałem skończyć tutaj na tym wiechciu słomy? Równie dobrze mogłem myśleć, że będę tańczył na dachu. Nie byłem bogaczem, ale dorobiłem się pewnego majątku. Miałem

dom, niewielki młyn. Byłem żonaty... Ale jeśli tam w niebie zechcą, żeby człowiek upadł, znajdą już na to sposób. Najpierw moja żona zachorowała i umarła. Potem dom poszedł z dymem. Nikt nie wie, jak to się zaczęło. Pod trójnogiem paliło się parę drewniek. Nagle wybuchł ogień jakby się samo piekło otwarło. Nie było nawet wiatru. Mój dom stał tuż obok domu Chaima Bednarza, ale jego nawet jedna iskra nie dosięgła. Za to ja zostałem zrujnowany. Czy ktoś może to zrozumieć?

— Nie.

— Ktoś widział, jak na łóżku tańczy mały płomyk. Harcował i wywijał koziołki. To wszystko sprawa złych duchów.

— Co złe duchy miały przeciwko tobie?

— Pisany był mi worek żebraka...

Jonasz Złodziej zaczął strzelać kłykciami, najpierw jednej, a potem drugiej dłoni.

— A bo nie? Tej nocy, kiedy poszedłem do Biszczy, wiedziałem dobrze, że nie powinienem tam chodzić. Chłopi mnie usłyszeli. Ostrzegano mnie, że śpią po stajniach. Wojciech starosta postawił wartownika z grzechotką. Potrzeba mi tego było jak dziury w głowie. Zaledwie parę dni przed tym wydarzeniem zdobyłem duży łup. Zeldele, niech spoczywa w pokoju, błagała mnie: — Jonasz, nie próbuj okradać całego świata. Wolę jeść suchy chleb niż patrzeć, jak zarabiasz w ten sposób na życie. I po co nam to? Było nas tylko dwoje. Zelig koniarz chciał mnie najać za woźnicę. Sam mogłem zacząć handlować końmi. Czasem zarobisz więcej, czasem mniej, ale za to uczciwe pieniądze. Tamtej nocy szedłem już spać. Zamknąłem okiennice, ściągnąłem buty. No i nagle znowu je nałożyłem i wyruszyłem do Biszczy. Szedłem z ciężkim sercem. Przystawałem, chciałem zawrócić. Jednak nie zawróciłem — przywieźli mnie do domu na taczce.

— Czym cię tak urządzili? Kijami? — zapytał Lejbuś.

— Czym popadło. Cała wieś na jednego...

— Powiem ci prawdę — to cud, że wyszedłeś z tego cało. Historia, którą ci opowiem, zdarzyła się, zanim przyszedłeś na świat. Był sobie taki jeden, Iczele Nochal — tak go nazywali, bo miał długi nos — który wybrał się do

Bojanowa, żeby ukraść konia. Chłopi osaczyli go i spalili żywcem. Została z niego kupka popiołu. Bractwo Pogrzebowe nie miało czego grzebać...

— Wiem. Słyszałem o tym. Miał więcej szczęścia niż ja.

— Kiedy zmarła twoja żona? Nie pamiętam już.

— Sześć miesięcy później.

— Ze zgryzoty, co?

— Nie, z radości.

— Cóż, wszystko jest z góry przeznaczone. Wszystko, co do ostatniego tchnienia, jest zapisane w niebie. Nie ma mocniejszego od Wszechmocnego — jak mawiała moja babka.

— Kto to wszystko zapisuje? Bóg?

— No chyba, że nie ty.

— Skąd bierze tyle papieru?

— Żeby ci tylko mózg nie wysechł od martwienia się o to.

— Człowiek też częściowo ponosi odpowiedzialność.

— Nieprawda...

W przytulku zapanowała cisza. Hodele Żebraczka jęczała przez sen niezrozumiałe słowa. Cykał świerszcz. Lejbuś Podrap zaczął znowu chrapać, gwizdząc przez nos. Jonasz Złodziej zapytał:

— Masz jeszcze te makaroniki? Gorzko mi w ustach...

Basie nie odpowiedziała.

# Upadek Krzeszowa

## I

### Reb Bunim przybywa do Krzeszowa

Jestem jejcer hore, Zły Duch, Szatan. W księgach kabalistycznych określa się mnie mianem Samaela, a Żydzi czasami nazywają mnie po prostu „ten”.

Dobrze wiadomo, że lubię kojarzyć dziwne małżeństwa, uwielbiam takie niedopasowane związki jak starzec i młoda dziewczyna, brzydka wdowa i dorodny młodzieniec, kaleka i piękność, kantor i głucha kobieta, niemowa i chwalipięta. Pozwólcie, że wam opowiem o jednym takim „ciekawym” związku, jaki uknułem w Krzeszowie, miasteczku nad Sanem, związku, który pozwolił mi być okrutnym jak należy i dał mi okazję dokonania jednej z tych karkołomnych sztuczek, które w okamgnieniu zmuszają ludzi do porzucenia zarówno tego, jak i przyszłego świata.

Krzeszów jest niemal tak duży jak jedna z najmniejszych liter w najmniejszym modlitewniku. Z dwu stron miasteczko otacza gęsty sosnowy las, a z trzeciej strony płynie San. Chłopi w okolicznych wioskach są biedniejsi i bardziej oddaleni od świata niż inni goje w lubelskiej guberni, a pola są tu najbardziej jałowe. Przez większą część roku drogi prowadzące do większych miast zamieniają się w szerokie rowy wypełnione wodą; podróżuje się furą na własne ryzyko. Zimą niedźwiedzie i wilki czyhają na skraju osiedli, często napadając na zabłąkaną krowę lub cielę, a czasami nawet na człowieka. Na domiar wszystkiego, żeby chłopci nigdy nie wydobyli się ze swej niedoli, zaszczepiłem w nich żarliwą wiarę. W tej części kraju w co drugiej wiosce znajduje się kościół, w co dziesiątym domu — kapliczka. Dziewica w zardzewiałej aureoli trzyma w ramionach Jezusa, niemowlę żydowskiego cieśli Josła. Przychodzą do niej staruszkowie i w samym środku zimy klękają, nabawiając się tym

sposobem reumatyzmu. Gdy nadchodzi maj, odbywają się codzienne procesje wygłodzonych ludzi wznoszących ochrypłymi głosami błagania o deszcz. Kadzidło wydaje gorzki zapach, a dobosz gruzlik wali z całej siły w bęben, aby mnie przestraszyć. Mimo to deszcz nie przychodzi. A jeśli nawet, to nigdy na czas. Nie powstrzymuje to jednak ludzi od wiary. I tak się to wszystko toczy od niepamiętnych czasów.

Krzeszowscy Żydzi są bardziej świątli, jak i zamożniejsi niż chłopi. Ich żony prowadzą sklepiki i potrafią oszukiwać na wadze i miarce. Domokrażcy wiedzą, jak nakłonić chłopki do kupienia różnych świecidełek i w ten sposób zdobywają dla siebie pszenicę, kartofle, len, kury, kaczki, gęsi i czasem coś jeszcze na dodatek. Czego kobieta nie da za sznurek paciorków, ozdobną miotłkę do kurzu, kwiecisty perkalik czy po prostu dobre słowo od obcego? Nie powinno zatem nikogo dziwić, że tu i ówdzie pośród płowych dzieci napotyka się czarnookiego diabełka o kręconych włosach i haczykowatym nosie. Chłopi śpią mocno, ale diabeł nie daje spać ich młodym żonom, prowadząc je na ścieżki za stodołą, gdzie wędrowni handlarze czekają w sianie. Psy wyją do księżyca, pieją koguty, a pośród chmur drzemie sam Bóg. Wszechmocny jest sędziwy; żyć wiecznie to niełatwe zadanie.

Ale wróćmy do Żydów z Krzeszowa.

Przez cały rok rynek jest jednym wielkim bagnem z tego choćby powodu, że kobiety wylewają tam pomyje. Domy nie stoją prosto, lecz są na pół zapadnięte w ziemi i mają połatanie dachy; okna chat pozatykane są szmatami lub pokryte krowimi pęcherzami. Lepianki biedaków nie mają podłóg; niektórym nawet brakuje kominów. W takich chałupach dym z pieca ucieka przez dziurę w dachu. Dziewczęta wychodzą za mąż, kiedy mają czternaście lub piętnaście lat i starzeją się szybko od ciągłych porodów. W Krzeszowie szewcy siedzący przy niskich stołkach mogą ćwiczyć swój fach tylko na znożonych, podartych butach. Krawcy nie mają innego wyjścia, jak przenicowywać przynieszone do nich wytarte okrycia na trzecią stronę. Szczotkarze czeszą drewnianymi grzebieniami świńską szczecinę, śpiewając ochrypłym głosem kawałki z obrzędowych pieśni i weselnych piosenek. Po dniu targowym sklepikarze, nie mając nic do roboty, wysiadują w domu nauki drapiąc się i przerzucając kartki Talmudu lub też opowiadając sobie wzajemnie przdziwne historie o potworach, duchach i wilkołakach. Rzecz jasna w takim miasteczku nie ma dla mnie zbyt dużo roboty. Trzeba się dobrze natrudzić,

aby natknąć się w tamtych stronach na jakiś grzech z prawdziwego zdarzenia. Mieszkańcom brakuje zarówno siły, jak i chęci. Co jakiś czas szwaczka plotkuje na temat żony rabina albo córce nosiwody rośnie brzuch, lecz takie rzeczy specjalnie mnie nie bawią. Dlatego rzadko odwiedzam Krzeszów.

Ale w czasach, o których mówię, było w miasteczku kilku zamożnych ludzi, a w zamożnym domu wszystko może się zdarzyć. Dlatego kiedy tylko zwracałem moje oczy w tamte strony, zawsze sprawdzałem, jak się rzeczy mają w domostwie reb Bunima Szora, najbogatszego człowieka w całej gminie. Szczegółowe wyjaśnianie, jak to się stało, że reb Bunim osiadł w Krzeszowie, zajęłoby zbyt wiele czasu. Początkowo mieszkał w Żółkwi, miasteczku położonym niedaleko Lwowa. Opuścił je ze względu na interesy. Handlował drewnem i za bardzo małą sumę pieniędzy kupił ładny kawałek lasu od krzeszowskiego dziedzica. W dodatku jego żona, Szifra Tamar (niewiasta ze znakomitej rodziny, prawnuczka słynnego uczonego reb Samuela Edelsa) cierpiała na chroniczny kaszel, który sprawiał, że pluć krwią i dlatego lwowski doktor zalecił jej zamieszkanie na zalesionym terenie. Tak czy owak reb Bunim przeniósł się z całym dobytkiem do Krzeszowa, sprowadzając ze sobą również dorosłego syna i dziesięcioletnią córeczkę, Lise. Kazał sobie zbudować dom z dala od wszystkich, na końcu ulicy Bóźniczej, po czym zwiózł doń kilka fur mebli, naczyń, ubrań, książek i mnóstwo innych rzeczy. Przywiózł także ze sobą parę służących, staruszkę i młodzieńca imieniem Mendel, który służył mu za furmana. Przybycie nowego mieszkańca wniosło trochę życia do miasteczka. W lasach reb Bunima znalazła się praca dla młodych ludzi, a krzeszowscy woźnice znaleźli zajęcie przy rozwożeniu beli. Reb Bunim doprowadził do porządku mykwę w miasteczku i zapłacił za nowy dach w przytułku.

Reb Bunim był wysokim, potężnym, mocno zbudowanym mężczyzną. Miał głos kantora i czarną jak smoła brodę rozdwojoną na końcach. Nie był wprawdzie specjalnie uczony — z trudem udawało mu się przebrnąć przez jeden rozdział z *Miszny* — ale nigdy nie żałował pieniędzy na cele dobroczynne. Kiedy zasiadał do posiłku, potrafił zjeść za jednym zamachem bochenek chleba i omlet z sześciu jaj, zapijając to kwartą mleka. W piątki wspinał się w mykwie na najwyższą ławę i kazał łaźiebnemu smagać się witikami, dopóki nie nadszedł czas zapalenia świec. Kiedy wyprawiał się do lasu, towarzyszyły mu dwa groźne psy; zawsze zabierał też ze sobą strzelbę.

Mówiono, że na pierwszy rzut oka potrafi powiedzieć, czy drzewo jest zdrowe czy spróchniałe. Jeśli zachodziła potrzeba, pracował osiemnaście godzin bez przerwy i przemierzał całe mile piechotą. Jego żona, Szifra Tamar, była kiedyś bardzo urodziwa, ale że biegła ciągle po doktorach i zamartwiała się o swoje zdrowie, przedwcześnie się postarzała. Była wysoka i chuda, prawie płaska, o długiej, bladej twarzy i nosie jak dziób. Cienkie wargi miała zawsze zaciśnięte, a jej szare oczy spoglądały na świat ze złością. Miesiączki miała bolesne, a kiedy przychodził na nie czas, kładła się do łóżka jakby złożona śmiertelną chorobą. Prawdę mówiąc stale cierpiała — raz był to ból głowy, innym razem opuchnięty ząb lub ucisk na żołądku. Nie była odpowiednią małżonką dla reb Bunima, ale on nie miał w zwyczaju narzekać. Zapewne był przekonany, że tak już jest ze wszystkimi kobietami, bowiem ożenił się, kiedy miał piętnaście lat.

Niewiele można powiedzieć o jego synu. Był jak ojciec — kiepski uczony, o wilczym apetycie, świetny pływak, niezwykle obrotny. Jeszcze zanim jego ojciec przeprowadził się do Krzeszowa, poślubił dziewczynę z Brodów i natychmiast pochłonęły go interesy. Rzadko przyjeżdżał do Krzeszowa. Tak jak ojcu nie brakowało mu pieniędzy. Obydwaj mężczyźni mieli żyłkę do interesów. Pieniądze same do nich płynęły. Wyglądało na to, że nie ma powodu, dla którego reb Bunim i jego rodzina nie mieliby dożyć swych lat w spokoju, jak to często bywa ze zwykłymi ludźmi, którym ze względu na ich prostotę oszczędzono złego losu i którzy bez trudu przechodzą przez życie.

## II Lise

Reb Bunim miał także córkę, a kobiety, jak wiadomo, przynoszą nieszczęście.

Lise była piękna i dobrze ułożona. W wieku dwunastu lat dorównywała wzrostem ojcu. Miała jasne, niemal żółte włosy, a jej skóra była biała i gładka jak atlas. Czasami jej oczy wydawały się niebieskie, innym razem zielone. Swoim zachowaniem sprawiała wrażenie, że jest jednocześnie polską panną i pobożną Żydówką. Kiedy miała sześć lat, jej ojciec najął rebecin, by uczyła ją religii i gramatyki. Później reb Bunim wysłał ją do mełameda, a ona

od samego początku przejawiała wielkie zainteresowanie książkami. Na własną rękę studiowała Biblię po żydowsku i zaglądała do będącego własnością matki żydowskiego komentarza do Pięcioksięgu. Przeczytała także *Dziedzictwo łani*, *Różgę kary*, *Dobre serce*, *Prostą miarę* i inne podobne książki znalezione w domu. Potem zdołała samodzielnie nauczyć się trochę hebrajskiego. Jej ojciec ciągle powtarzał, że nie wypada, aby dziewczyna studiowała Torę, a matka ostrzegała ją, że zostanie starą panną, bo nikt nie zechce uczonej żony, lecz te ostrzeżenia nie robiły wrażenia na Lise. Dalej studiowała, czytała *Powinność serca* i *Josifon*, zaznajamiała się z opowieściami Talmudu i w dodatku nauczyła się przeróżnych przysłów tanaim i amora'im. Nie ograniczała w najmniejszym stopniu swojego pragnienia wiedzy. Za każdym razem, gdy do Krzeszowa przywędrował handlarz książkami, zapraszała go do domu i kupowała co tylko miał w worku. Po szabasowym posiłku jej rówieśnice, córki najlepszych rodzin w Krzeszowie wpadały do niej z wizytą. Plotkowały, grały w warcaby, zadawały sobie nawzajem zagadki i zachowywały się tak, jak to zwykle robią młode dziewczęta. Lise była zawsze bardzo grzeczna, częstowała je szabasowymi owocami, orzechami, ciasteczkami i ciastami, ale nigdy nie miała wiele do powiedzenia — jej umysł zaprzątnięty był ważniejszymi sprawami niż sukienki i buty. Odnosiła się jednak do nich przyjaźnie, nie okazując w żaden sposób wyższości. W święta chodziła do babińca, chociaż nie było w zwyczaju, aby dziewczęta w jej wieku uczestniczyły w nabożeństwach. Nieraz reb Bunim, który był jej bardzo oddany, mówił ze smutkiem: — Jaka szkoda, że nie jest chłopcem. Jaki wspaniały byłby z niej mężczyzna!

Uczucia Szifry Tamar były inne.

— Po prostu marnujesz dziewczynę — twierdziła. — Jeśli tak dalej pójdzie, nie będzie nawet umiała przyrządzić kugła!

Jako że w Krzeszowie nie było odpowiedniego nauczyciela świeckich przedmiotów (Jakiel, jedyny nauczyciel w gminie, ledwo potrafił napisać jedno zdanie po żydowsku), reb Bunim wysłał córkę na naukę do Kałmena Pijawki. Kałmen cieszył się wielkim szacunkiem w Krzeszowie. Wiedział jak wypalać kołtuny, przykładać pijawki i dokonywać operacji za pomocą zwykłego noża do chleba. Posiadał biblioteczkę i przyrządzał własne pigułki z ziół znalezionych na łące. Był niskim, krępyim mężczyzną o ogromnym brzuchu; gdy szedł, wydawało się, że ugina się pod ciężarem własnego ciała.



Ubrany w pluszowy kapelusz, aksamitny kaftan, spodnie do kolan i buty z klamerkami, wyglądał jak dziedzic. W Krzeszowie panował zwyczaj, że procesja odprowadzająca oblubienicę do mykwy zatrzymywała się na chwilę przed gankiem domu Kałmena, aby zaśpiewać coś wesołego na jego cześć. Trzeba dbać — mówiono — o dobry humor takiego człowieka. Można mieć tylko nadzieję, że nigdy nie będzie potrzebny.

Ale reb Bunim potrzebował Kałmena. Pijawka stale zajmował się Szifrą Tamar i nie tylko leczył dolegliwości matki, ale również pozwalał córce pożyczać książki ze swojej biblioteki. Lise przeczytała całą jego kolekcję: księgi medyczne, książki podróżnicze, opisujące odległe lądy i dzikich ludzi, romantyczne historie z wyższych sfer, o tym, jak się zalecali i polowali, o wspaniałych balach, jakie wydawali. To jeszcze nie wszystko. W bibliotece Kałmena były także cudowne opowieści o czarownikach i dziwnych zwierzętach, o rycerzach, królach i książętach. Tak, Lise przeczytała wszystko co do linijki.

No, ale czas już, żeby opowiedzieć o Mendlu, Mendlu służącym, Mendlu Furmanie. Nikt w Krzeszowie nie wiedział, skąd pochodzi. Jedna wersja głosiła, że jest nieślubnym dzieckiem porzuconym na ulicy. Inni twierdzili, że jego matka była przechrztą. Bez względu na pochodzenie niewątpliwie słynął jako nieuk nie tylko w Krzeszowie, ale w całej okolicy. Dosłownie nie odróżniał „a” od „b”, nikt też go nigdy nie widział przy modlitwie, chociaż posiadał własne filakterie. W piątkowe wieczory, kiedy wszyscy inni mężczyźni przebywali w domu modlitwy, Mendel kręcił się po rynku. Pomagał służącym ciągnąć wodę ze studni i przesiadywał koło koni w stajniach. Mendel golił się, wyrzucił swój mały tałes, nie odmawiał błogosławieństw; zupełnie się odciął od żydowskich zwyczajów. Kiedy po raz pierwszy pojawił się w Krzeszowie, kilku ludzi zainteresowało się nim. Zaproponowano mu naukę za darmo. Kilka pobożnych niewiast ostrzegało go, że skończy w gehennie na łożu nabi-janym gwoździami. Ale młodzieniec lekceważył wszystkich. Wydymał tylko wargi i beczelnie gwizdał. Jeśli jakaś kobieta naskoczyła na niego zbyt ostro, odpowiadał zuchwale: — Nie bądź taki kozak! Tak czy owak nie trafisz do mojej gehenny. — I batem, który zawsze nosił ze sobą, zadzierał jej spódnice. W takich razach powstawało wielkie zamieszanie i śmiech, a pobożna niewiasta przysięgała, że nigdy więcej nie wda się w rozmowę z Mendlem Furmanem.

To, że był heretykiem, nie przeszkadzało mu wyglądać bardzo przystojnie.

Prezentował się znakomicie, wysoki i zwinny, o prostych nogach, wąskich biodrach i gęstych czarnych włosach, które były może trochę za bardzo kręcone i w których zawsze tkwiło parę ździebeł siana i słomy. Jego krzaczaste brwi zrastały się nad nosem. Oczy miał czarne, a usta grube. Ubierał się jak goj: w bryczesy, buty z cholewami, krótki kubrak i polską czapkę z daszkiem ze skóry, którą zsuwał na tył głowy, aż sięgała mu karku. Wycinał fujarki z gałązek, grał także na skrzypcach. Inną jego pasją były gołębie; zbudował na dachu domu reb Bunima gołębnik i czasami widać było, jak wspina się na dach, aby je ćwiczyć długim kijem. Chociaż miał własną izbę i bardzo wygodną ławę do spania, wolał sypiać na strychu na sianie, a kiedy był w odpowiednim nastroju, potrafił spać czternaście godzin bez przerwy. Kiedyś w Krzeszowie wybuchł tak straszny pożar, że ludzie postanowili opuścić miasteczko. W domu reb Bunima wszyscy szukali Mendla, żeby pomógł się pakować i wynosić rzeczy. Ale Mendla nie można było nigdzie znaleźć. Dopiero kiedy w końcu ugaszono pożar i zamieszanie ustało, znaleziono go na podwórzu: chrapał pod jabłonką jak gdyby nigdy nic.

Lecz Mendel Furman był nie tylko śpiochem. Wiedziano dobrze, że ugaśnia się za kobietami. Ale jedno można było powiedzieć w jego obronie: nie zalecał się do panien z Krzeszowa. Zadawał się z młodymi chłopkami z okolicznych wiosek. Pociąg, jaki te kobiety do niego czuły, wydawał się prawie nienormalny. Piwosze z miejscowego szynku twierdzili, że wystarczy, aby Mendel tylko spojrział na którąś, a ta natychmiast do niego przychodzi. Wiadomo było, że niejedna odwiedza go na strychu. Oczywiście chłopom się to nie podobało i ostrzegali Mendla, że pewnego dnia odrąbią mu głowę, on jednak lekceważył te pogróżki i pogrążał się coraz głębiej w cielesnych rozkoszach. W wioskach, które odwiedzał z reb Bunimem, nie było takiej, w której nie miałby „żon” i rodzin. To, że wystarczy jedno gwizdnięcie, aby jakaś dziewczyna natychmiast do niego przybiegła, było chyba prawdą. Ale Mendel nie rozpowiadał o swojej władzy nad kobietami. Nie pił wódki, unikał bójek i trzymał się z dala od szewców, krawców, bednarzy i szczotkarzy tworzących biedotę Krzeszowa. Oni także nie uważali go za jednego ze swoich. Mendlowi nie zależało specjalnie na pieniądzach. Mówiono, że reb Bunim daje mu jedynie utrzymanie. Ale kiedy krzeszowski bałagała chciał go zatrudnić i dać mu prawdziwy zarobek, Mendel nie chciał o tym słyszeć. Służył reb Bunimowi jak niewolnik. Konie i buty, gołębie i dziewczęta były jedynymi rzeczami,

na których mu zależało. Tak więc ludzie z miasteczka machnęli ręką na Mendla Furmana.

— Stracona dusza — mówili. — Żydowski goj.

Stopniowo się do niego przyzwyczaili, a potem o nim zapomnieli.

### III Zaręczyny

Kiedy tylko Lise skończyła piętnaście lat, zaczęto się zastanawiać, kogo poślubi. Jako że Szifra Tamar była chora, a stosunki między nią a mężem napięte, reb Bunim postanowił omówić całą sprawę z córką. Zawsze, kiedy poruszali ten temat, Lise robiła się nieśmiała i odpowiadała, że zrobi to, co jej ojciec uważa za stosowne.

— Masz dwie możliwości — powiedział reb Bunim podczas jednej z tych rozmów. — Pierwsza to młody człowiek z Lublina, który pochodzi z bardzo zamożnej rodziny, ale nie jest uczony. Drugi, z Warszawy, to prawdziwy geniusz. Ale muszę cię ostrzec, że nie ma ani grosza. Odpowiedz mi więc, córko. Decyzja należy do ciebie. Którego byś wolała?

— E tam, pieniądze — powiedziała pogardliwie Lise. — Jakąż one mają wartość? Pieniądze można stracić, a wiedzy nie. — I spuściła oczy.

— W takim razie, jeśli cię dobrze rozumiem, wolisz młodzieńca z Warszawy? — spytał reb Bunim gładząc długą, czarną brodę.

— Ojciec wie najlepiej... — szepnęła Lise.

— Jest jeszcze jedna rzecz, o której powinienem wspomnieć — mówił dalej reb Bunim. — Ten bogacz jest bardzo przystojny — wysoki, jasnowłosy. Natomiast ten uczony chłopak jest wyjątkowo niski — o głowę niższy od ciebie.

Lise złapała się za warkocze, a jej twarz poczerwieniała, aby zaraz potem zblednąć. Zagryzła wargi.

— No to co postanowiłaś, córko? — zapytał reb Bunim. — Powiedz, nie musisz się wstydzić.

Lise zaczęła się jąkać, a kolana drżały jej ze wstydu.

— Gdzie on jest? — spytała. — To znaczy, co robi? Gdzie się uczy?

— Ten warszawiak? Jest, niechaj Bóg nas od tego uchroni, sierotą i obecnie uczy się w jesziwie w Sandomierzu. Mówiono mi, że zna cały Talmud na pamięć i że zgłębia także filozofię i Kabałę. Zdaje się, że napisał już jakiś komentarz do Majmonidesa.

— Mhm — mruknęła Lise.

— Czy to znaczy, że go chcesz?

— Jeśli tylko ojciec wyrazi na to zgodę...

I zakrywszy twarz obiema rękami, wybiegła z pokoju. Reb Bunim podążył za nią wzrokiem. Zachwycała go — urodą, czystością, rozumem. Była mu bliższa niż jej matka i choć już niemal dorosła, tuliła się do niego i przeczesywała mu palcami brodę. W piątki, zanim szedł do mykwy, szykowała mu czystą koszulę, a po powrocie, przed zapaleniem świec, podawała mu świeżo upieczone ciasto i kompot z suszonych śliwek. Nigdy nie słyszał, żeby śmiała się donośnie jak inne dziewczęta, nigdy też nie chodziła boso w jego obecności. Po szabasowym posiłku, kiedy ucinał sobie drzemkę, chodziła na palcach, żeby go nie obudzić. Kiedy był chory, kładła mu rękę na czole, żeby zobaczyć, czy nie ma gorączki i przynosiła mu przeróżne lekarstwa i smakołyki. Nieraz reb Bunim zazdrościł szczęśliwcowi, który dostanie ją za żonę.

Parę dni później ludzie z Krzeszowa dowiedzieli się, że do miasteczka przybył przyszły mąż Lise. Młodzieniec przyjechał sam wozem i zatrzymał się w domu rabina Ojzera. Wszyscy byli zdziwieni widząc, jaki z niego niepozorny człowieczek, mały i chudy, z czarnymi rozwichrzonymi pejsami, o bladej twarzy i spiczastej brodzie ledwo pokrytej kilkoma rzadkimi kępkami włosów. Długa kapota zakrywała mu kostki. Plecy miał pochylone i chodził nerwowo, jakby nie wiedział, dokąd idzie. Młode dziewczęta tłoczyły się przy oknach i patrzyły, jak przechodzi. Kiedy przybył do domu nauki, podeszli do niego mężczyźni, aby go powitać, a on natychmiast zaczął z nimi rozprawiać w niezwykle uczony sposób. Nie było wątpliwości, że pochodzi z wielkiego miasta.

— No, no, prawdziwa metropolia z tego Krzeszowa — zauważył młodzieniec.

— Nikt nie twierdzi, że to Warszawa — odparł jeden z chłopców.

Młody kosmopolita uśmiechnął się.

— Jedno miejsce podobne jest do drugiego — rzekł. — Skoro znajdują się na powierzchni ziemi, są wszystkie takie same.

Powiedziawszy to jął sypać cytatami z Talmudu babilońskiego i Talmudu jerozolimskiego, a kiedy skończył, zaczął bawić wszystkich wieściami o tym, co dzieje się w wielkim świecie poza Krzeszowem. Nie znał osobiście Radziwiłła, ale widział go kiedyś; poznał również pewnego wyznawcę Sabataja Cwi, fałszywego Mesjasza. Spotkał także raz Żyda, który przybył z Suzy, starożytnej stolicy Persji i innego, który został konwertytą i w tajemnicy studiował Talmud. Jak gdyby tego nie było dosyć, zaczął zadawać zgromadzonym najtrudniejsze zagadki, a kiedy się zmęczył, dla rozrywki powtarzał anegdoty o rabinie Heszlu. Tak czy inaczej, zdołał też wspomnieć o tym, że umie grać w szachy, malować wzory wykorzystując dwanaście znaków zodiaku i pisać po hebrajsku wiersze, które da się czytać w obie strony i które za każdym razem znaczą to samo. To jeszcze nie wszystko. Ten młody geniusz studiował poza tym filozofię i Kabałę oraz był adeptem mistycznej matematyki: umiał obliczyć ułamki, które można znaleźć w traktacie Kilaim. Nieobca mu też była, rzecz jasna, księga *Zohar* i *Drzewo życia*, a *Przewodnik zbłąkanych* znał jak własną kieszeń.

Kiedy zjawił się w Krzeszowie, wyglądał biednie, ale kilka dni po jego przybyciu reb Bunim wyposażył go w nową kapotę, nowe buty i białe pończochy oraz dał mu w prezencie złoty zegarek. Młodzieniec zaczął też czesać brodę i podkręcać pejsy. Lise zobaczyła narzeczonego dopiero przy spisywaniu umowy zaręczynowej, ale wcześniej już docierały do niej wieści o tym, jaki jest uczony, i była szczęśliwa, że wybrała jego, a nie bogacza z Lublina.

Uroczystości spisania umowy zaręczynowej były huczne niczym wesele. Zaproszono pół miasta. Jak zwykle mężczyźni i kobiety siedzieli osobno, a Szlojmele, przyszły oblubieniec, wygłosił niezwykle mądrą przemowę, po czym podpisał się z wyszukaniem zawijasem. Kilku najbardziej uczonych mężczyzn z miasteczka próbowało rozmawiać z nim na istotne tematy, ale nie mogli dorównać mu erudycją i wiedzą. Jeszcze w czasie uroczystości, przed rozpoczęciem uczyty, reb Bunim złamał przyjęty zwyczaj, że narzeczonemu nie wolno się spotykać przed zawarciem małżeństwa i wpuścił Szlojmele do pokoju Lise, jako że prawdziwa interpretacja prawa mówi, żeby mężczyzna nie brał żony, dopóki jej nie zobaczy. Kapota młodzieńca była rozpię-

ta i ukazywała jego jedwabną kamizelkę i złoty łańcuszek do zegarka. W wyglancowanych butach i aksamitnej jarmułce na czubku głowy wyglądał na światowca. Wysokie czoło miał zroszone potem, a policzki zaróżowione. Z zaciekawieniem, nieśmiało, powiódł wokół ciemnymi oczami, nerwowo owijając sobie wokół palca frędzle od szarfy. Kiedy Lise go zobaczyła, oblała się purpurą. Mówiono, że jest brzydki, ale jej wydał się przystojny. I taki też był pogląd innych zebranych dziewcząt. W jakiś sposób Szlojmele zyskał na wyglądzie.

— Oto narzeczona! — powiedział reb Bunim. — Nie masz się czego wstydząć.

Lise miała na sobie czarną suknię z jedwabiu, a wokół szyi sznur pereł, który otrzymała w prezencie z tej okazji. W blasku świec jej włosy wydawały się niemal czerwone. Na palcu lewej ręki nosiła pierścień z literą M, pierwszą literą „Mazł tow”. W momencie, kiedy Szlojmele wszedł, trzymała haftowaną chusteczkę, ale kiedy go zobaczyła, chusteczka wypadła jej z rąk. Jedna z dziewcząt obecnych w pokoju podeszła, aby ją podnieść.

— Piękny wieczór — powiedział Szlojmele do Lise.

— I wspaniałe lato — odparła narzeczona i jej dwie przyjaciółki.

— Może jest trochę za gorąco — zauważył Szlojmele.

— Tak, jest gorąco — rzekły chórem wszystkie trzy dziewczęta.

— Czy sądzicie, że to moja wina? — zapytał Szlojmele śpiewnym głosem.  
— Jest powiedziane w Talmudzie...

Ale Szlojmele nie zdążył skończyć, bo Lise mu przerwała.

— Wiem bardzo dobrze, co mówi Talmud. „Osłu jest zimno nawet w miesiącu Tamuz”.

— No proszę, talmudystka! — zawołał Szlojmele zdziwiony i czubki jego uszu poczerwieniały.

Rozmowa zaraz potem skończyła się, bowiem goście zaczęli tłumnie wchodzić do pokoju. Rabin Ojzer uważał, że narzeczeni nie powinni spotykać się przed weselem i kazał rozłączyć młodych. Szlojmele znowu znalazł się w otoczeniu mężczyzn i pozostał z nimi aż do białego rana.

## IV Miłość

Lise od pierwszego wejrzenia głęboko pokochała Szlojmele. Czasami wierzyła, że jego twarz ukazała się jej we śnie jeszcze przed małżeństwem. Innym razem zdawało jej się, że byli razem wcześniej, w jakimś innym życiu. A tak naprawdę to ja, Zły Duch, potrzebowałem wielkiej miłości, aby wprowadzić w życie moje dalsze plany.

W nocy, kiedy Lise spała, wyszukałem ducha Szlojmele i przyprowadziłem go do niej; rozmawiali ze sobą, całowali się i wyznawali sobie miłość. Wszystkie jej myśli na jawie były nim zaprzątnięte. Nosiła w sobie jego obraz i ciągle zwracała się do niego, on zaś odpowiadał na jej słowa. Obnażała przed nim swą duszę, a on pocieszał ją i mówił czule słowa, które chciała usłyszeć. Kiedy nakładała sukienkę lub koszulę nocną, wyobrażała sobie, że Szlojmele jest obecny i czuła się zawstydzona i zadowolona zarazem, że jej skóra jest tak jasna i gładka. Czasami zadawała tej zjawie pytania, które nurtowały ją od dzieciństwa: — Szlojmele, czym jest niebo? Jak głęboka jest ziemia? Dlaczego w lecie jest gorąco, a w zimie zimno? Dlaczego trupy zbierają się w nocy na modlitwę w bóżnicy? Jak można zobaczyć demona? Dlaczego widzi się własne odbicie w lustrze?

Wyobrażała sobie nawet, że Szlojmele odpowiada na każde z tych pytań. Było jeszcze jedno pytanie, które zadała cieniowi mieszkającemu w jej duszy: — Szlojmele, czy naprawdę mnie kochasz?

Szlojmele zapewnił ją, że żadna inna dziewczyna nie dorównuje jej urodą. W marzeniach widziała, jak tonie w Sanie, a Szlojmele ją ratuje. Zostaje porwana przez złe duchy, a on ją od nich uwalnia. Właściwie jej umysł zaprzątnięty był bez reszty marzeniami — takie zamieszanie wprowadziła w niej miłość.

Ale tak się złożyło, że reb Bunim odłożył wesele do szabat po Szawuot i Lise musiała czekać prawie trzy czwarte roku dłużej. Teraz dręczona niecierpliwością zrozumiała, jak ciężko było Jakubowi, kiedy musiał czekać siedem lat na poślubienie Racheli. Szlojmele pozostał w domu rabina i nie wolno mu było odwiedzić Lise aż do Chanuki. Dziewczyna często wystawała przy oknie z próżnym zamiarem ujżenia go choćby na chwilę, bowiem ścieżka prowadząca od rabina do domu nauki nie wiodła koło domu reb Bunima.

Jedynie wieści, jakie do niej docierały, pochodziły od dziewcząt przychodzących z wizytą. Jedna donosiła, że trochę urósł, druga, że studiuje Talmud w domu nauki wraz z innymi młodzieńcami. Trzecia dziewczyna zauważyła, że widać żona rabina nie daje Szlojmele dość jedzenia, bowiem bardzo wychudł. Ale Lise wiedzona skromnością powstrzymywała się od zbytnej ciekawości; mimo to rumieniła się za każdym razem, gdy wymieniano imię ukochanego. Aby zima szybciej jej minęła, zaczęła haftować dla przyszłego męża woreczek na filakterie i serwetkę na szabasową chałę. Woreczek był z czarnego aksamitu: wyszyła na nim złotą nicią gwiazdę Dawida wraz z imieniem Szlojmele oraz miesiącem i rokiem. Jeszcze więcej trudu zadała sobie przy serwetce, na której wyszyła dwa kołaczki i kielich. Słowa „święty szabat” były wyhaftowane srebrną nicią, a w czterech rogach widniały wizerunki jelenia, lwa, lamparta i orła. Pamiętała także, aby obszyć serwetkę różnokolorowymi koralikami oraz ozdobić brzegi frędzlami i chwaścikami. Krzeszowskie dziewczęta były pod wrażeniem jej zdolności i prosiły, aby pozwoliła im skopiować wykorzystany przez siebie wzór.

Zaręczyny odmieniły Lise; jeszcze bardziej wypiękniała. Jej oczy spoglądały gdzieś daleko. Poruszała się po domu bezszelestnie jak lunaticzka. Od czasu do czasu uśmiechała się bez żadnego powodu i godzinami wystawała przed lustrem, układając włosy i przemawiając do swego odbicia jak zaczarowana. Kiedy jakiś żebrak przychodził do domu, przyjmowała go uprzejmie i chętnie dawała jałmużnę. Po każdym posiłku szła do przytułku, niosąc zupę i mięso chorym i ubogim. Biedacy uśmiechali się i błogosławili ją: — Niechaj Bóg da, byś niedługo jadła złoty rosół na swoim weselu!

A Lise cichutko odpowiadała: — Amen.

Jako że czas bardzo jej się dłużył, często przeglądała książki w ojcowskiej bibliotece. Natknęła się tam na dzieło pod tytułem *Obowiązki małżeńskie*, w którym było napisane, że narzeczona musi oczyścić się przed uroczystością weselną, pamiętać, kiedy krwawiła i uczęszczać do mykwy. Książka wymieniała także weselne obrzędy, mówiła o okresie siedmiu ślubnych błogosławieństw, pouczała męża i żonę o właściwym zachowaniu, zwracając szczególną uwagę na kobietę i wymieniając mnóstwo szczegółów. Lise bardzo to wszystko zaciekało, jako że miała już niejakie pojęcie o tym, co zachodzi między płciami i była nawet świadkiem ptasich i zwierzęcych zalotów. Zaczęła dokładnie rozmyślać nad tym, co przeczytała, spędzając kilka bezsennych



nocy na głębokich medytacjach. Jej skromność jeszcze się wzmogła, twarz płonęła gorączką; zachowanie jej było tak dziwne, że służąca sądząc, iż Lise została zaczarowana przez złe moce, śpiewała zaklęcia, aby ją uleczyć. Za każdym razem, gdy wspomiano o Szlojmele, oblewała się rumieńcem — bez względu na to, czy wymieniano jego imię w związku z nią czy nie; a kiedy tylko ktoś się do niej zbliżał, ukrywała książkę ze wskazówkami, którą ciągle czytała. Co więcej, stała się niespokojna i podejrzliwa, aż doprowadziła się wkrótce do takiego stanu, że nie mogąc doczekać się dnia ślubu, jednocześnie myślała o nim z przerażeniem. Natomiast Szifra Tamar dalej przygotowywała wyprawę dla córki. Chociaż nie czuła się z nią blisko związana, chciała, aby wesele było jak najwspanialsze i żyło przez lata w pamięci mieszkańców Krzeszowa.

## V Wesele

Wesele było rzeczywiście wspaniałe. Krawcowe z Lublina uszyły strój oblubienicy. Przez wiele tygodni w domu reb Bunima przebywały szwaczki, wyszywając hafty i przyszywając koronki do koszul nocnych, kaftaników i majteczek. Ślubna suknia Lise uszyta była z białego atlasu, a jej tren miał pełne cztery łokcie długości. Co się tyczy jedzenia, to kucharki upiekły szabasową chałę wielkości niemal człowieka, plecioną z obu końców. Nigdy przedtem w Krzeszowie nie widziano takiej chały. Reb Bunim nie żałował wydatków; na jego rozkaz zarzynano na weselną ucztę owce, cielęta, kury, gęsi, kaczki i kapłony. Były także ryby z Sanu i węgierskie wina oraz miód dostarczony przez miejscowego szynkarza. W dzień weselny reb Bunim kazał nakarmić krzeszowskich biedaków, a kiedy rozeszła się o tym wieść, przeróżna hołota z okolicy przybyła do miasteczka, aby także najeść się do syta. Na ulicy ustawiono stoły i ławy, żebrakom podano białe szabasowe chały, faszzerowanego karpia, peklowane mięso, pierniki i beczki piwa. Muzykanci przygrywali żebrakom, a marszelik ich zabawiał. Utworzywszy koło na środku rynku ciżba w łachmanach tańczyła i skakała radośnie. Wszyscy śpiewali i pokrzykiwali — hałas był ogłuszający. Wieczorem goście weselni zaczęli zbierać się w domu reb Bunima. Kobiety nałożyły wyszywane paciorkami narzutki, czepeczki, futra i całą biżuterię, jaką posiadały. Dziewczęta ubrane były w jedwabne suk-

nie i buciki o spiczastych nosach, obstalowane specjalnie na tą okazję. Rzecz jasna krawcowe i szewcy nie byli w stanie wykonać wszystkich zamówień i w związku z tym wybuchały kłótnie. Niejedna dziewczyna została w dzień weselny w domu przytulona do pieca i nieszczęśliwa wypłakiwała oczy.

Tego dnia Lise pościła, a kiedy przyszedł czas na modlitwę, wyznała swoje grzechy. Biła się w piersi jakby to był Jom Kipur, wiedziała bowiem, że w dzień własnego ślubu wszystkie przewinienia są wybaczone. Chociaż nie była szczególnie pobożna, a czasami nawet chwiała się w swej wierze, co często spotyka tych, którzy dużo rozmyślają, teraz modliła się z wielkim zapałem. Wznosiła również modlitwy za człowieka, który przed upływem dnia stanie się jej mężem. Kiedy Szifra Tamar weszła do pokoju i zobaczyła, że jej córka stoi w kącie ze łzami w oczach i bije się w piersi, wykrzyknęła:

— Spójrzcie no tylko na nią! Prawdziwa święta!

I kazała Lise przestać płakać, żeby nie miała czerwonych i opuchniętych oczu, kiedy stanie pod chupą.

Wierzcie mi jednak na słowo, to nie zapał religijny sprawiał, że Lise płakała. Przez wiele dni i tygodni przed weselem nie opuszczałem jej ani na chwilę. Przeróżne dziwne i złe myśli dręczyły dziewczynę. Raz bała się, że może nie jest wcale dziewicą, innym razem śniła jej się chwila, gdy traci dziewictwo i wybuchała łzami w obawie, że nie będzie w stanie wytrzymać bólu. To znowu paliła się ze wstydu lub bała, że w weselną noc strasznie się spoci, zachoruje na żołądek, zmoczy łóżko lub będzie musiała znosić jeszcze gorsze upokorzenia. Podejrzewając także, że jakiś wróg ją zaczarował, przeglądała ubrania w poszukiwaniu ukrytych węzłów. Mimo, że pragnęła pozbyć się tych obaw, nie mogła nad nimi zapanować. — Możliwe — powiedziała do siebie któregoś dnia — że tylko mi się to śni i wcale nie mam wyjść za mąż. A może mój mąż jest jakimś diabłem, który przybrał postać człowieka i ślub będzie jedynie wymysłem, zaś goście złymi duchami?

To był tylko jeden z koszmarów, które ją dręczyły. Poza tym straciła apetyt, zaczęła cierpieć na obstrukcję i chociaż wszystkie dziewczęta w Krzeszowie jej zazdrościły, żadna nie zdawała sobie sprawy, jakie Lise przechodzi katusze.

Jako że narzeczony był sierotą, jego teść, reb Bunim, zajął się przygotowaniem mu garderoby. Zamówił dla swojego zięcia dwa płaszcze podbite

futrem, jeden na co dzień a drugi na szabat, dwa chałaty, jeden z jedwabiu, drugi z atlasu, kapotę z sukna, dwa szlafroki, kilka par spodni, czapę o trzynastu rogach obramowaną futrem tchórza, jak również turecki tałes z trzema ornamentami. Wśród upominków dla narzeczonego znajdowała się srebrna balsaminka z wrytym na niej wizerunkiem Ściany Płaczu, złota puszka na etrog, nóż do chleba z rączką z masy perłowej, pudełko na tytoń z wieczkiem z kości słoniowej, oprawny w srebro Talmud i modlitewnik o srebrnych okładkach. Na kawalerskim obiedzie Szlojmele przemawiał błyskotliwie. Najpierw postawił wszystkim dziesięć pytań, które wydawały się niezwykle istotne, a potem odpowiedział na nie wszystkie jednym stwierdzeniem. Zaraz potem wykazał jednak, że pytania, które zadał, wcale nie były pytaniami, zaś ogromna fasada erudycji, którą właśnie wznosił, nie jest nic warta. Słuchacze siedzieli w osłupieniu niezdolni wykrztusić słowa.

Nie będę zatrzymywał się dłużej nad samą ceremonią weselną. Wystarczy powiedzieć, że tłum tańczył, śpiewał i skakał jak to zawsze bywa na weselach, zwłaszcza kiedy największy bogacz w miasteczku wydaje za mąż córkę. Niektórzy krawcy i szewcy próbowali tańczyć ze służbą, ale zostali przepędzeni. Kilku gości upiło się i zaczęło podrygiwać, krzycząc „Szabes! Szabes!” Kilku innych śpiewało żydowskie piosenki, zaczynające się od słów: „Co gotuje biedak? Barszcz i kartofle...” Muzykanci rzępolili na skrzypkach, dęli w trąbki, uderzali w cymbałki, walili w bębny, grali na fletach i dudach. Staruszki unosiły treny, odrzucały do tyłu głowy w czepcach i klaskając tańczyły twarzą do siebie, zaś kiedy ich głowy niemal się stykały, odwracały się niby ze złością, co sprawiało, że gapie śmiali się jeszcze głośniejsze. Szifra Tamar, chociaż jak zwykle wymawiała się zdrowiem (z trudem podnosiła stopy z podłogi), została porwana przez grupę muzykantów i zmuszona do odtańczenia kozaka i tańca nożyczek. Jak to zwykle na weselach, ja, jejcer hore, ukartowałem kilka scen zazdrości, pokazów próżności i nieposkromionej pychy. Kiedy dziewczęta przedstawiały taniec wodny, unosiły spódnice nad kostki jak gdyby rzeczywiście brodziły w wodzie i wałkonie zaglądający przez okno chcąc nie chcąc czuli niezdrowe podniecenie. Marszelik zaś tak bardzo chciał zabawiać ludzi, że śpiewał niezliczone piosenki o miłości i przekręcał sens Biblii, przepłatając święte wersy sprośnościami, tak jak to robią błazny w Purim. Słyszając to wszystko dziewczęta i młode mężatki klaskały w dłonie i piszczały z uciechy. Nagle zabawę przerwał krzyk jednej z kobiet, która zgubiła właśnie

broszkę i zemdląca ze zmartwienia. Chociaż przetrząsnęto każdy kąt, nie udało się jej odnaleźć. Chwilę później zapanowało jeszcze większe poruszenie, kiedy jedna z dziewcząt oznajmiła, że jakiś młodzieniec ukłuł ją w udo igłą. Po tym zajściu nadszedł czas na mycwe tanc i w jego trakcie Szifra Tamar z jedną z matron poprowadziły Lise do małżeńskiej sypialni, która znajdowała się na parterze i była tak obwieszona draperiami i zasłonami, że nie dochodziło tam w ogóle światło. Po drodze niewiasty udzielały jej rad, jak ma się zachować, i ostrzegały, aby nie bała się, kiedy zobaczy oblubieńca, bowiem pierwszym przykazaniem jest: „Idźcie i rozmnażajcie się”. Wkrótce potem reb Bunim wraz z innym mężczyzną zaprowadzili oblubieńca do oblubienicy.

No cóż, tym razem nie zamierzam zaspokoić waszej ciekawości, opowiadając o tym, co zaszło w małżeńskiej sypialni. Wystarczy powiedzieć, że kiedy Szifra Tamar weszła tam rano, zastała córkę ukrytą pod kołdrą i zbyt zawstydzoną, żeby rozmawiać. Szlojmele wstał już z łóżka i znajdował się w swoim pokoju. Dopiero po wielu prośbach Lise pozwoliła matce sprawdzić prześcieradła: rzeczywiście była na nich krew.

— Mąż tow, córko! — zawołała Szifra Tamar. — Jesteś teraz kobietą i dzielisz z nami wszystkimi przekleństwo Ewy.

Płacząc zarzuciła ramiona na szyję Lise i pocałowała ją.

## VI Dziwne zachowanie

Zaraz po weselu reb Bunim pojechał w lasy załatwiać jakieś interesy, a Szifra Tamar powróciła do swoich lekarstw i łoża boleści. Młodzieńcy w domu nauki sądzili, że kiedy Szlojmele się ożeni, zostanie głową jesziwy i poświęci się sprawom gminy, co wydawało się właściwym zadaniem dla geniusza będącego zięciem bogacza. Ale Szlojmele niczego takiego nie zrobił. Okazało się, że jest domatorem. Spóźniał się na poranną modlitwę, a kiedy tylko odmówiono ostatnie słowa „Na nas” — już był za drzwiami w drodze do domu. Ani myślał też pozostawać dłużej po wieczornej modlitwie. Kobiety z miasteczka twierdziły, że Szlojmele kładzie się do łóżka zaraz po kolacji; nie ulegało w każdym razie wątpliwości, że zielone okiennice w jego sypialni

pozostają zamknięte do późna w dzień. Służąca reb Bunima donosiła, że młoda para zachowuje się w wyjątkowo skandaliczny sposób. Ciągłe szeptali coś do siebie, przekazywali sobie jakieś sekrety, sprawdzali coś razem w książkach i zwracali się do siebie za pomocą dziwnych imion. Jedli z tego samego talerza, pili z tego samego kubka i trzymali się za ręce jak młode pary ze szlacheckiego dworu. Kiedyś służąca zobaczyła, jak Szlojmele zaprzęga Lise swoją szarfą, jakby była koniem pociągowym, a potem chłoszcze ją gałązką. Lise uczestniczyła w tej zabawie, udając rzenie i krok klaczy. Inna zabawa, jaką zauważyła służąca, polegała na tym, że zwycięzca ciągnie przegranego za płatki uszu i przysięgała, że bawili się tak, aż uszy ich były czerwone jak krew.

Tak, byli w sobie zakochani i każdy dzień tylko potęgował ich namiętność. Kiedy Szlojmele szedł się modlić, Lise stała przy oknie, obserwując, jak znika — jak gdyby wybierał się w jakąś długą podróż; a kiedy ona wychodziła do kuchni przygotować trochę rosołu czy kaszy, Szlojmele włókł się za nią lub zaraz wołał, prosząc, aby się pospieszyła.

W szabat w bóżnicy Lise zapominała się modlić, lecz stała za kratą babińca obserwując, jak Szlojmele w tałesie odmawia modlitwę przy wschodniej ścianie. On z kolei patrzył w górę, w stronę babińca, aby ją dojrzeć. Skutkiem tego wzięto ich na języki, ale nie martwiło to reb Bunima, który bardzo się cieszył, widząc, jak dobrze im ze sobą. Za każdym razem, gdy wracał z podróży, przywoził młodej parze prezenty. Natomiast Szifra Tamar wcale się nie cieszyła. Nie podobało jej się to dziwaczne zachowanie, te szepty i czułe słówka, te nieustanne pocałunki i pieszczoty. Nic takiego nie miało nigdy miejsca w jej rodzinnym domu. Nigdy też nie widziała czegoś takiego wśród zwykłych ludzi. Czuła się upokorzona i zaczęła besztać zarówno Lise, jak i Szlojmele. Takiego zachowania nie była w stanie znieść.

— Nie mogę na to patrzeć — narzekała. — Żółć mnie zalewa na samą myśl o takim zachowaniu! — Albo wykrzykiwała nagle:

— Nawet szlachta nie robi z siebie takiego przedstawienia!

Ale Lise wiedziała, jak jej odpowiedzieć.

— Czy Jakubowi nie wolno było okazać miłości do Racheli? — pytała z erudycją matkę. — Czy Salomon nie miał tysiąca żon?

— Nie waż mi się porównywać siebie do tamtych świętych! — wykrzykiwała Szifra Tamar. — Nie masz prawa wymieniać nawet ich imion.

Prawdę mówiąc w młodości Szifra Tamar niezbyt ściśle przestrzegała wszelkich zasad, ale teraz uważnie obserwowała córkę i pilnowała, aby ta dochowywała praw czystości i nawet towarzyszyła Lise do mykwy, sprawdzając czy zanurza się w prawidłowy sposób. W piątkowe wieczory matka i córka coraz to kłóciły się, ponieważ Lise spóźniała się z zapalaniem świec. Po ceremonii weselnej oblubienica goliła głowę i zaczynała nosić zgodnie ze zwyczajem jedwabną chustkę. Tymczasem Szifra Tamar odkryła, że Lise odrosły włosy i że często siada przed lustrem czesząc je i splatając. Szifra Tamar miała również słowne utarczki z zięciem. Była niezadowolona, że chodzi tak rzadko do domu nauki i spędza czas spacerując po sadach i polach. Okazało się także, że lubi dobrze zjeść i jest strasznie leniwy. Chciał codziennie zajadać nadziewaną gęsią szyjkę i prosił Lise, aby dodawała mu miodu do mleka. Jakby tego nie było dosyć, kazał sobie przysyłać do sypialni kompot ze śliwek i ciasteczka oraz rodzynki i sok wiśniowy. W nocy, kiedy kładli się spać, Lise zamykała na klucz i ryglowała drzwi do sypialni, a Szifra Tamar słyszała, jak młoda para się śmieje. Raz zdawało jej się, że biegają boso po podłodze — aż tynk odpadał z sufitu, a świeczniki drżały. Szifra Tamar była zmuszona wysłać na górę służącą, aby zapukała do drzwi i uciszyła młodych kochanków.

Szifra Tamar chciała, aby córka szybko zaszła w ciążę i zaznała bólów rodzenia. Miała nadzieję, że kiedy Lise zostanie matką, będzie tak zajęta karmieniem dziecka, zmienianiem mu pieluszek, opiekowaniem się nim w czasie choroby, że zapomni o głupstwach. Ale mijały miesiące, a Lise wciąż nie była brzemienna. Twarz jej jeszcze bardziej pobladła, a oczy płonęły dziwnym blaskiem. W Krzeszowie gadano, że małżonkowie studiują razem Kabałę.

— To wszystko bardzo dziwne — szeptali do siebie ludzie. — Niezwykłe rzeczy tam się dzieją.

A staruszki przesiadujące na gankach i cerujące skarpety lub przędzące len miały nieustanny temat do rozmów. Nadśluchiwały pilnie ledwo słyszającymi uszami i ze zgorzaniem kręciły głowami.

## VII Tajemnice sypialni

Czas już ujawnić tajemnice owej sypialni. Są tacy, którym nie starcza zaspokajanie własnych pragnień; muszą dodatkowo wypowiadać przeróżne puste słowa i pograżać umysł w namiętnościach. Ci, którzy podążają tą niecną ścieżką, nieuchronnie popadają w melancholię i wkraczają w czterdzieści dziewięć bram nieczystości. Mądrzy ludzie dawno już zwrócili uwagę na to, że wszyscy wiedzą, dlaczego oblubienica staje pod chupą, ale ten, kto bruka ów akt słowami, traci miejsce w przyszłym świecie. Sprytny Szlojmele ze względu na swą wielką wiedzę i zainteresowanie filozofią zaczął coraz bardziej zgłębiać zagadnienia dotyczące „jej i jego”. Na przykład pieszcząc żonę, pytał nagle:

— Przypuśćmy, że wybrałaś tego mężczyznę z Lublina zamiast mnie, czy sądzisz, że leżałabyś z nim teraz w tym łóżku?

Takie uwagi początkowo oburzały Lise i odpowiadała: — Ależ ja nie doko-  
nałam takiego wyboru. Wybrałam ciebie. — Szlojmele jednak nie dawał za wygraną i mówił dalej, zadając jeszcze bardziej nieprzyzwoite pytania, aż Lise w końcu musiała przyznać, że rzeczywiście, gdyby wybrała męża z Lublina, z pewnością leżałaby teraz w jego ramionach, a nie w objęciach Szlojmele. Jakby tego nie było dosyć, męczył ją, co zrobiłaby, gdyby umarł.

— No, powiedz — dopytywał się — wyszłabyś znowu za mąż? — Nie, żaden inny mężczyzna nie mógłby jej zainteresować, twierdziła Lise, ale Szlojmele sprytnie klócił się z nią i zręczną sofistyką podważał jej pewność.

— Pomyśl, jesteś młoda i ładna. Przyszłaby swatka i zasypała cię propozycjami, a ojciec nawet by nie chciał słyszeć o tym, byś pozostała samotna. Znowu więc postawiono by chupę, urządzono uroczystość i raz dwa znalazłabyś się w nowym małżeńskim łóżu.

Na nic się zdały prośby Lise, aby nie mówił w ten sposób, bowiem sprawia jej to przykrość, a poza tym nie ma sensu, jako że nie sposób przewidzieć przyszłości. Bez względu na to, co mówiła, Szlojmele dalej grzeszył słowami, bo wzmagaly jego namiętność i w końcu Lise także zaczęła je lubić, tak że wkrótce spędzali połowę nocy szepcząc oraz zmagając się ze sprawami będącymi poza zasięgiem umysłu. I tak, Szlojmele chciał wiedzieć, co by zrobiła, gdyby po rozbiciu okrętu znalazła się na bezludnej wyspie jedynie z kapita-

nem, jak by się zachowała wśród afrykańskich dzikusów. Przypuśćmy, że zostałyby schwytana przez eunuchów i zabrana do haremu sułtana, co wtedy? Wyobraź sobie siebie jako królową Ester przyprawioną przed oblicze Aswerusa! To była tylko niewielka część jego wymysłów. Kiedy karciała go za to, że jest zbyt pochłonięty głupstwami, podjął z nią studia nad Kabałą, zgłębiając tajemnice bliskości między kobietą i mężczyzną oraz prawdę o małżeńskim zespoleniu. W domu reb Bunima znajdowały się książki takie jak *Drzewo życia*, *Anioł Raził* oraz inne jeszcze księgi kabalistyczne i Szlojmele opowiadał Lise jak Jakub, Rachela, Lea, Bilha i Zilpa kopulują w wyższym świecie, przodem do siebie i tyłem do siebie, oraz o godach Świętego Ojca i Świętej Matki, a były w tych książkach słowa, które wydawały się zwykłym bluźnierstwem.

Na domiar wszystkiego Szlojmele zaczął opowiadać Lise o potędze złych duchów, że nie są to tylko demony, zjawy, diabliki, chochliki i upiory, ale że także mają wpływy w wyższych światach, jak na przykład Noga, połączenie świętości i nieczystości. Przedstawiał rzekome dowody, iż szatańska świta ma jakiś związek ze światem emanacji i można było wnioskować ze słów Szlojmele, że Szatan i Bóg, będąc sobie równi, toczą ustawiczną walkę, w której jeden nie może pokonać drugiego. Twierdził także, że nie ma czegoś takiego jak grzech, jako że grzech podobnie jak dobry uczynek może być albo duży, albo mały, i jeśli zostanie uszlachetniony, wznosi się na wielkie wysokości. Zapewniał ją, że lepiej jest, jeśli człowiek popełnia grzech z zapalem niż robi dobry uczynek bez entuzjazmu, i że tak i nie, ciemność i jasność, prawa strona i lewa, niebo i piekło, świętość i upadek, są odbiciem boskości i bez względu na to, w czym się człowiek pogrąża, pozostaje w cieniu Wszechmocnego, bowiem oprócz Jego światła nic nie istnieje. Przekazywał te wszystkie informacje z taką erudycją i ilustrował swoje argumenty tyloma przykładami, że przyjemnością było go słuchać. Pragnienie Lise, aby przebywać w jego towarzystwie i wchłaniać te wszystkie tajemnice, jeszcze wzrosło. Czasami czuła jednak, że Szlojmele zwodzi ją ze ścieżki prawości. Jego słowa przerażały ją i nie czuła się już panią samej siebie; wydawało jej się, że duszę ma zniewoloną i myśli tylko takie, jakich on zapragnie. Ale nie mając na tyle woli, aby mu się przeciwstawić, mówiła do siebie: — Pójdę, dokąd mnie poprowadzi, bez względu na to, co się stanie. Wkrótce zdobył nad nią taką władzę, że ślepo go słuchała. On zaś rządził nią, jak chciał. Kazał jej rozbierać się przed nim



do naga, chodzić na czworakach jak zwierzę, tańczyć przed nim, śpiewać melodie, które układał na pół po hebrajsku, na pół w jidysz, ona zaś spełniała jego rozkazy.

No cóż, wiadomo zatem, że Szlojmele był ukrytym uczniem Sabataja Cwi. Bo mimo iż fałszywy Mesjasz od dawna już nie żył, kult ten szerzył się wśród jego tajemnych wyznawców w wielu krajach. Spotykali się na targach i jarmarkach, rozpoznawali wzajemnie za pomocą tajemnych znaków, chroniąc się w ten sposób przed gniewem i klątwą innych Żydów. Wielu rabinów, mełamedów, szojchetów i rozmaitych, przyzwoitych na pozór ludzi należało do tejże sekty. Niektórzy z nich udawali cudotwórców, wędrując od miasteczka do miasteczka i rozdając amulety, do których wprowadzali nie święte imię Boga, lecz nieczyste imiona psów i złych duchów, Lilit i Asmodeusza, jak również imię samego Sabataja Cwi. Wszystkiego tego dokonywali z takim sprytem, że tylko członkowie bractwa mogli docenić ich zręczność. Oszukiwanie pobożnych ludzi i wywoływanie zamieszania sprawiało im wielką przyjemność. I tak, jeden z uczniów Sabataja Cwi przybywszy do pewnego miasteczka, oznajmił, że jest cudotwórcą. Wkrótce zaczęło do niego przybywać wielu ludzi z karteczkami, na których spisywali prośby o radę, swoje troski i prośby. Zanim jednak fałszywy cudotwórca opuścił miasteczko, zakpił sobie z mieszkańców, rozrzucając karteczki po całym rynku, gdzie zostały znalezione przez miejscowych łobuzów i okryły wstydem wielu ludzi. Inny wyznawca kultu, kopista, umieszczał w filakteriach nie ustępy z prawa, jak to jest przykazane, lecz różne brudy i kozie łajno, jak również sugestię, aby właściciel pocałował go w tylną część ciała. Inni sekciarze umartwiali się, kapali w lodowatej wodzie, zimą tarzali się w śniegu, latem zaś raczyli się trującym powojem i pościli od szabatu do szabatu. Ale ci także byli występni, usiłowali bowiem wypaczyć zasady Tory i Kabały, i każdy z nich na swój własny sposób składał hołd siłom zła. Szlojmele zaś był jednym z nich.

## VIII

### Szlojmele i Mendel Furman

Pewnego dnia Szifra Tamar, matka Lise, umarła. Po siedmiu dniach żałoby reb Bunim powrócił do interesów, a Lise i Szlojmele zostali sami. Nabywszy

tartak gdzieś na Wołyniu, reb Bunim trzymał tam konie i woły jak również chłopów, którzy dla niego pracowali, a wyjechał, nie zabrawszy ze sobą Mendla Furmana. Młodzieniec pozostał w Krzeszowie. Było lato. Szlojmele i Lise często jeździli po okolicy powozem prowadzonym przez Mendla. Kiedy Lise była zajęta, mężczyźni wyjeżdżali samotnie. Świeży zapach sosen dobrze wpływał na zdrowie Szlojmele. Poza tym lubił się kąpać w Sanie i kiedy już dojeżdżali do miejsca, gdzie woda była płytka, Mendel czekał na niego i służył mu, bo w końcu to Szlojmele miał zostać kiedyś właścicielem całego majątku.

W ten sposób zaprzyjaźnili się. Mendel był o niemal dwie głowy wyższy od Szlojmele, Szlojmele podziwiał też jego życiową wiedzę. Mendel potrafił pływać na plecach i na brzuchu, nurkować i chodzić po dnie z zanurzoną głową, łapać ryby w strumieniu gołymi rękoma i wspinać się na najwyższe drzewa rosnące nad brzegiem rzeki. Szlojmele lękał się każdej krowy, natomiast Mendel ścigał całe stada bydła, nie bojąc się byków. Chwalił się, że może spędzić całą noc na cmentarzu i opowiadał o tym, jak pokonał niedźwiedzie i wilki, które na niego napadły. Twierdził, że dał sobie radę z jakimś rozbójnikiem. W dodatku potrafił wygrywać przeróżne melodie na fujarce, naśladować krakanie wron, stukanie dzięcioła, ryk bydła, beczenie owiec i kóz, miauczenie kota i cykanie świerszczy. Jego akrobatyczne wyczyny bawiły Szlojmele, który lubił jego towarzystwo. Mendel obiecał nawet nauczyć Szlojmele jazdy konnej. Także Lise, która dotąd nie zwracała uwagi na Mendla, traktowała go teraz przyjaźnie, wysyłała go często na posyłki, częstowała piernikiem i słodką wódką, była bowiem bardzo uprzejma.

Raz, kiedy mężczyźni kąpali się w rzece, Szlojmele zauważył jak pięknie Mendel jest zbudowany. Jego długie nogi, wąskie biodra i szeroka pierś emanowały siłą. Kiedy się ubrali, Szlojmele zaczął rozmawiać z Mendlem, który rozprawiał bez oporów o swoich podbojach wśród chłopek, chwając się, ile zdobył kobiet w sąsiednich wioskach i ilu spłodził bękartów. Wymieniał także wśród swoich kochanek dziewczynki, mieszczki i ulicznice. Szlojmele nie wątpił w żadną z tych opowieści. Kiedy zapytał Mendla, czy nie boi się kary, młodzieniec odparł: Co można zrobić trupowi? Nie wierzył w życie po śmierci. W ogóle mówił jak heretyk. Wydymając usta i gwizdząc przeraźliwie, wspiął się zręcznie na drzewo, zrzucając po drodze szyszki i ptasie gniazda. Robiąc to ryczał jak lew i z taką mocą, że jego głos niesiony na mile, rozbrzmiewał

echem z drzewa na drzewo jakby setki złych duchów odpowiadały na jego wezwanie.

Tej nocy Szlojmele opowiedział Lise o wszystkim, co się zdarzyło. Omawiali to zajście z takimi szczegółami, że oboje poczuli podniecenie. Ale Szlojmele nie był w stanie zaspokoić żony. Jego chęci przewyższały możliwości i dlatego musieli się zadowolić sprośną rozmową. Nagle Szlojmele zapytał: — Powiedz mi prawdę, moja najdroższa Lise, czy nie chciałabyś leżeć w łóżku z Mendlem Furmanem?

— Boże broń, jak można mówić takie rzeczy? — odparła Lise. — Czyżbyś postradał zmysły?

— No cóż, jest silnym i przystojnym chłopakiem, dziewczęta za nim szaleją...

— Wstydz się! — wykrzyknęła Lise. — Hańbisz swoje usta!

— Uwielbiam plugastwo! — zawołał Szlojmele z płonącymi oczami. — Przechodzę zupełnie na stronę złych mocy!

— Szlojmele, boję się o ciebie! — powiedziała Lise po długiej chwili milczenia. — Pograżasz się coraz głębiej!

— Trzeba się odważyć na wszystko! — odparł Szlojmele, a kolana pod nim drżały. — Skoro to pokolenie nie może stać się zupełnie czyste, niechaj będzie całkowicie nieczyste!

Lise jakby skurczyła się w sobie i przez długi czas milczała. Szlojmele nie wiedział właściwie, czy śpi czy myśli.

— Czy mówiłeś poważnie? — zapytała z zaciekawieniem zduszonym głosem.

— Tak, poważnie.

— I to by cię wcale nie rozgniewało? — zapytała.

— Nie... Gdyby sprawiło tobie przyjemność, mnie by także ucieszyło. Mogłabyś mi potem o tym opowiedzieć.

— Jesteś poganinem! — wykrzyknęła Lise. — Heretykiem!

— Tak, właśnie! Elisza, syn Abiji, był także heretykiem! Kto zagląda do winnicy, musi za to płacić.

— Cytujesz Talmud w odpowiedzi na wszystko. Uważaj, Szlojmele! Pilnuj się! Igrasz z ogniem!

— Uwielbiam ogień! Uwielbiam zniszczenie... Chciałbym, aby cały świat spłonął, a Asmodeusz przejął rządy.

— Milcz! — zawołała Lise. — Bo zawołam o pomoc.

— Czego się obawiasz, głuptasie? — uspokajał ją Szlojmele. — Myśl to nie czyn. Studiuję z tobą, odkrywam przed tobą tajemnice Tory, a ty pozostajesz naiwna. Jak sądzisz, dlaczego Bóg kazał Ozeaszowi poślubić nierządnicę? Dlaczego król Dawid zabrał Batszebę Uriaszowi Chetycie a Abigail Nabalowi? Dlaczego, w tak podeszłym wieku, kazał, aby przyprowadzono mu Abiszag Szunemitkę? Najszlachetniejsi starożytni uprawiali cudzołóstwo. Grzech jest oczyszczeniem! Ach, Lise ukochana, chciałbym, abyś szła za każdym kaprysem umysłu. Myślę tylko o twoim szczęściu... Nawet kiedy prowadzę cię do otchłani...

Objął ją, pieścił i całował. Lise leżała wyczerpana i zmieszana jego mową. Łóżko pod nią wibrowało, ściany drżały i wydawało jej się, że już kołysze się w sieci, którą ja, książę ciemności, rozpostarłem, aby ją schwytać.

## IX

### Adoniasz, syn Chaggity

Zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Zwykle Lise nie widywała zbyt często Mendla Furmana. Prawie nie zwracała na niego uwagi, kiedy się spotykali. Ale odkąd Szlojmele rozmawiał z nią o Mendlu, ciągle na niego ni z tego, ni z owego wpadała. Wchodziła do kuchni i zastawała go tam, jak wałkoni się ze służącą. Widząc Lise milknął. Wkrótce zaczęła spotykać go wszędzie: w stodole, na koniu, jadącego w stronę Sanu. Siedział wyprostowany jak kozak, nie uznawał siodła i cugli. Kiedyś, gdy Lise potrzebowała wody i nie mogła znaleźć służącej, wzięła dzban i poszła sama w stronę studni. Nagle jak spod ziemi wyrósł Mendel Furman i pomógł jej nabrać wody. Pewnego wieczoru, kiedy Lise spacerowała po łące (tak się złożyło, że Szlojmele przebywał w domu nauki), stary kozioł kahalny zaszedł jej drogę. Lise próbowała go ominąć, ale kiedy skręciła w prawo, on znów zagroził jej drogę. Zrobiła więc krok w lewo, lecz on także skoczył w tę stronę. Jednocześnie zniżył ostre

rogi, jakby chciał ją ubóść, po czym stanął na tylnych nogach opierając o nią przednie kopyta. Jego ognistoczerwone ślepią gorzały wściekłością jakby był opętany. Lise starała się uwolnić, ale kozioł był mocniejszy i niemal ją przewrócił. Krzyknęła i byłaby zemdlą, gdyby nagle nie dał się słyszeć głośny gwizd i świshnięcie bicza. To Mendel Furman przechodził właśnie tamtędy i widząc, co się dzieje, trzasnął kozła batem. Gruby, opatrzony węzłami rzeźmiem niemal złamał kręgosłup zwierzęcia. Becząc zduszonym głosem, uciekał na łeb na szyję. Nogi miał porośnięte sierścią i zmierzwionym włosiem. Przypominał bardziej dziką bestię niż kozła. Lise osłupiała. Przez chwilę patrzyła w milczeniu na Mendla. Potem ocknęła się jakby zbudzona z koszmarne go snu i powiedziała:

— Bardzo dziękuję.

— Co za głupi cap! — zawołał Mendel. — Niech no kiedyś jeszcze dostanę go w swoje ręce! Flaki mu powyrywam!

— Czego on chciał? — zapytała Lise.

— Kto wie? Czasami kozły atakują ludzi. Ale zawsze nastają na kobiety, nigdy na mężczyzn!

— Dlaczego? Chyba żartujesz!

— Nie, mówię serio... W wiosce, do której poszedłem z panem, był kozioł, który czyhał na kobiety wracające z mykwy. Ludzie zapytali rabina, co robić, a on kazał go zarżnąć.

— Naprawdę? Dlaczego kazał go zabić?

— Aby nie bódł więcej kobiet...

Lise podziękowała mu raz jeszcze i uznała za cud to, że zjawił się właśnie w tym momencie. W błyszczących butach i bryczesach, z batem w dłoni, młodzieniec spoglądał na nią doświadczone m i zuchwałym wzrokiem. Lise nie była pewna, czy ma dalej spacerować czy wracać do domu, bo obawiała się kozła i wyobrażała sobie, że knuje zemstę. Młodzieniec, jakby czytając w jej myślach, zaofiarował się, że będzie jej towarzyszył. Kroczył za nią niczym strażnik. Po pewnym czasie Lise postanowiła jednak wrócić do domu. Twarz jej płonęła, a ponieważ czuła na sobie wzrok Mendla, nogi jej się plątały i potykała się. Iskry tańczyły jej przed oczami.

Później, kiedy Szlojmele wrócił do domu, Lise chciała mu wszystko opo-

wiedzieć, ale się powstrzymała. Powiedziała mu dopiero w nocy, gdy zgasili światło. Zdziwienie Szlojmele było bezgraniczne, zaczął wypytywać Lise o różne szczegóły. Całował ją, pieścił i wydawało się, że wydarzenie to niezmiernie go ucieszyło. Nagle powiedział:

— Ten przeklęty kozioł chciał ciebie...

— Jak może kozioł pragnąć kobiety? — zapytała Lise. Wyjaśnił jej zatem, że tak wielka uroda może rozbudzić nawet kozła. Jednocześnie chwalił Mendla za jego oddanie i twierdził, że to, iż pojawił się we właściwym czasie, nie było przypadkiem, lecz dowodem miłości i znakiem, że jest gotów skoczyć za nią w ogień. Kiedy Lise zdziwiła się, skąd Szlojmele to wszystko wie, obiecał wyjawić jej tajemnicę. Zgodnie ze starym zwyczajem kazał jej położyć rękę pod jego udem, prosząc, aby nigdy nie zdradziła ani słowa z tego, co powie. Kiedy usłuchała, zaczął:

— Zarówno ty jak i Furman jesteście kolejnymi wcieleniami i pochodzicie ze wspólnego duchowego źródła. Ty, Lise, byłaś w swoim pierwszym wcieleniu Abiszag Szunemitką, on zaś Adoniaszem, synem Chaggity. Pożądał cię i wysłał Batszebę do króla Salomona, aby oddał mu ciebie za żonę, ale ponieważ zgodnie z prawem byłaś wdową po królu Dawidzie, jego życzenie zasługiwało na karę śmierci. Rogi ołtarza nie zdołały go przed nią uchronić — pojmano go i zabito. Ale prawo sięga tylko ciała, nie duszy. Tak więc kiedy jedna dusza pożąda drugiej, niebiosa oznajmiają, że nie mogą zaznać spokoju, dopóki pragnienie nie zostanie zaspokojone. Jest napisane, że Mesjasz nie przyjdzie, dopóki wszystkie namiętności nie zostaną spełnione i dlatego właśnie wszystkie pokolenia przed nadejściem Mesjasza będą całkowicie nieczyste! A kiedy dusza nie może zaspokoić swego pragnienia w jednym wcieleniu, ulega ciągłym przemianom i tak właśnie stało się z wami. Wasze dusze wędrują nagie od niemal trzech tysięcy lat, nie mogąc wstąpić do świata emanacji, z którego się wywodzą. Szatańskie siły nie pozwoliły wam się spotkać, bo wówczas nastąpiłoby odkupienie. Tak się akurat składało, że kiedy on był księciem, ty byłaś służebnicą, a kiedy ty byłaś księżniczką, on był niewolnikiem. W dodatku oddzielał was ocean. Kiedy żegłował w twoją stronę, szatan wywoływał sztorm i topił okręt. Istniały także inne przeszkody i smutek wasz był ogromny. Teraz przebywacie oboje w tym samym domu, ale jako że on jest nieukiem, ty trzymasz się z dala od niego. Prawdę mówiąc święte duchy mieszkają w waszych ciałach, nawołując się wzajemnie w ciemnościach i pra-

gnąc połączenia. Jesteś mężatką, bowiem istnieje pewien rodzaj oczyszczenia, którego można dokonać tylko na drodze cudzołóstwa. Dlatego właśnie Jakub zadawał się z dwiema siostrami, Juda leżał z Tamar, własną synową, Ruben pogwałcił łoże Bilhy, nałożnicy własnego ojca, zaś Ozeasz wziął sobie żonę z domu rozpusty; podobnie było z innymi. Wiedz także, że ten kozioł to nie zwykły cap, lecz diabeł, jeden z szatańskiej świty, i gdyby Mendel nie przyszedł we właściwym czasie, ta bestia, uchowaj Boże, zraniłaby cię.

Kiedy Lise spytała go, czy on, Szlojmele, stanowi także kolejne wcielenie, odparł, że jest królem Salomonem i że powrócił na ziemię, aby zmasać błąd ze swego wcześniejszego życia, bowiem ze względu na fakt, iż kazał zgładzić Adoniasza, nie wolno mu wstąpić do pałacu przeznaczanego mu w raju. Kiedy Lise zapytała, co się stanie po naprawieniu błędu, czy będą musieli wszyscy opuścić ziemię, Szlojmele odparł, że on i Lise będą cieszyć się długim wspólnym życiem; nie powiedział natomiast nic o przyszłości Mendla, napomykając jedynie, że pobyt młodzieńca na ziemi potrwa krótko. Wygłosił te wszystkie stwierdzenia z dogmatyczną pewnością kabalisty, dla którego żadna tajemnica nie jest święta.

Kiedy Lise usłyszała jego słowa, wstrząsnął nią dreszcz i legła bezwładnie. Znając Biblię, już wcześniej czuła często litość wobec Adoniasza, grzesznego syna króla Dawida, który pożył nałożnicy ojca i chciał zostać królem, po czym zapłacił głową za swe zuchwalstwo. Nieraz płakała z żalu czytając ten rozdział w *Księdze Królewskiej*. Szkoda jej także było Abiszag Szunemitki, najpiękniejszej panny w Ziemi Izraela, która chociaż nie obcowała cielesnie z królem, zmuszona była zostać wdową przez resztę życia. Objawieniem dla niej była wieść, że ona, Lise, jest właściwie Abiszag Szunemitką i że dusza Adoniasza mieszka w ciele Mendla.

Nagle uzmysłowiła sobie, że Mendel rzeczywiście przypomina Adoniasza, tak jak go sobie wyobrażała i zdumiało ją to niezmiernie. Pojęła teraz, dlaczego jego oczy są tak czarne i dziwne, włosy tak gęste, dlaczego unika jej i trzyma się z dala od ludzi, i dlaczego patrzy na nią z takim pożądaniem. Zaczęła wyobrażać sobie, że pamięta swoje wcześniejsze wcielenie jako Abiszag Szunemitka, i przypominać sobie jak, Adoniasz przejeżdżał obok pałacu w rydwanie, a pięćdziesięciu ludzi biegło przed nim, i chociaż służyła królowi Salomonowi, czuła silne pragnienie oddania się Adoniaszowi... Tak jakby

wyjaśnienia Szlojmele odłoniły niezwykłą zagadkę i uwolniły w niej moc tajemnic z dalekiej przeszłości.

Tej nocy para nie spała. Leżeli obok siebie, rozmawiając cicho do samego rana. Lise zadawała pytania, a Szlojmele odpowiadał rozsądnie na wszystkie, bowiem moi ludzie znani są z elokwencji, zaś Lise w swej niewinności wszystkiemu wierzyła. Nawet kabalista dałby się oszukać, że są to słowa żywego Boga i że prorok Eljasz ukazał się Szlojmele. Własne słowa podniecały Szlojmele, wprowadzając go w takie uniesienie, że kręcił się, wzdrygał i szczął zębami jakby miał gorączkę, a łóżko kołysało się pod nim i strugi potu spływały z jego ciała. Kiedy Lise zdała sobie sprawę z tego, co ma zrobić, i że musi usłuchać Szlojmele, zaczęła gorzko płakać, aż poduszka jej była mokra od łez. Szlojmele pocieszał ją i pieścił, wyjawiając najgłębsze tajemnice kabały. Świt zastał Lise w zupełnym odrętwieniu, siły ją opuściły, była bardziej martwa niż żywa. I tak to moc i przewrotne słowa fałszywego kabalisty, ucznia Sabataja Cwi, sprawiły, że niewiasta zboczyła z uczciwej drogi.

Po prawdzie bowiem, ten łajdak Szlojmele wymyślił ów plan, by zaspokoić swoje nieczne żądze, jako że popadł w wyuzdanie w wyniku ciągłych rozmyślań i to, co jemu dawało przyjemność, zwykłemu człowiekowi sprawiłoby ogromne cierpienie. Z nadmiaru pożądania stał się impotentem. Ci, którzy rozumieją złożoność natury ludzkiej, wiedzą, że radość i ból, brzydota i piękno, miłość i nienawiść, litość i okrucieństwo oraz inne sprzeczne ze sobą uczucia łączą się i nie dają od siebie oddzielić. Ale ja potrafię sprawić, że ludzie nie tylko odwracają się od Stwórcy, lecz także niszczą własne ciała, a wszystko to w imię jakiejś urojonej sprawy.

## X Pokuta

Lato tego roku było suche i gorące. Kosząc swoje skromne zbiory, chłopci zawodzili pieśni jakby oplakiwali zmarłego. Zboże wyrosło marne i częściowo wysuszone. Sprowadziłem szarańczę i ptaki z drugiej strony Sanu i cały chłopski wysiłek rzuciłem owadom na pożarcie. Krowom powysychały wymiona, zapewne w wyniku czarów rzuconych przez czarownice. W Łukowie, niedaleko Krzeszowa, widziano wiedźmę jadącą na obręczy i wymachu-



jącą miotłą. Przed nią biegło coś włochatego, z czarnymi kołtunami i ogonem. Młynarze narzekali, że chochliki wrzucają im do mąki diabelskie łajno. Pastuch, który w nocy przy bagnach pilnował koni, widział unoszącą się na niebie postać z cierniową koroną, co chrześcijanie uznali za znak, że dzień Sądu jest bliski.

Był to miesiąc elul. Jakaś zaraza rzuciła się na liście, które opadały z drzew i wirowały na wietrze. Słoneczny żar mieszał się z zimnym wiatrem znad Morza Arktycznego. Ptaki wędrujące do odległych krajów spotykały się na dachu bóżnicy: ćwierkały, szczebiotały i kłóciły się w ptasim języku. Wieczorami polowały nietoperze i dziewczęta bały się wychodzić z domu, bo jeśliby nietoperz zaplątał się której we włosy, nie przeżyłaby nawet roku. Jak zwykle o tej porze moi uczniowie, chochliki, zaczęli psocić. Dzieci chorowały na odrę, ospę, biegunkę, krup i rumień, i chociaż matki starały się temu zapobiec, mierząc groby na cmentarzu i zapalając świece w bóżnicy, ich potomstwo nikło w oczach. W domu nauki dęto kilka razy dziennie w barani róg. Dęcie w szofar ma być jak wiadomo sposobem na odegnanie mnie, jejecer hore, bo kiedy je słyszę mam sobie niby wyobrazić, że nadchodzi Mesjasz i że Bóg, niechaj wychwalane będzie jego imię, ma zamiar mnie zniszczyć. Ale moje uszy nie są takie kiepskie, żebym nie potrafił odróżnić brzmienia Wielkiego Szofara od rogu krzeszowskiego barana...

Widzicie więc, że pozostałem czujny i zgotowałem krzeszowianom niespodziankę, której prędko nie zapomną.

Było to w poniedziałek podczas porannej modlitwy. W bóżnicy panował tłok. Szames miał właśnie wyjąć Torę z Arki Przymierza. Odsunął parochet i otworzył drzwiczki, kiedy nagle w izbie wybuchł tumult. Wierni utkwili wzrok w miejscu, skąd dobiegał hałas. Przez otwarte drzwi wpadł Szlojmele. Jego wygląd budził zdumienie. Ubrany był w zniszczoną kapotę z oderwaną podszewką i klapą jakby obchodził żałobę; na nogach miał pończochy niczym w Tisza Baw, a biodra opasane sznurem zamiast szarfą. Był szary na twarzy, brodę miał potarganą, pejsy w nieładzie. Wierni nie wierzyli własnym oczom. Zbliżył się szybko do miedzianego umywalnika i umył ręce. Potem podszedł do bimy i uderzył w pulpity, wykrzykując drżącym głosem:

— Ludzie! Przynoszę złe wieści!... Straszna rzecz się wydarzyła.

W bóżnicy zrobiło się cicho jak makiem zasiał, tylko płomienie świec

wydawały głośne trzaski. Nagle niczym w lesie przed burzą przez ciżbę przeszedł szmer. Tłum zafalował w stronę bimy. Modlitewniki upadły na podłogę, ale nikt nie trudził się, żeby je podnieść. Chłopcy wspinali się na ławy i stoły, na których leżały święte księgi i nikt nie kazał im stamtąd schodzić. W babińcu powstała wrzawa i zamieszanie. Kobiety tłoczyły się przy kracie, aby zobaczyć, co się dzieje w dole wśród mężczyzn.

Sędziwy rabin, reb Ojzer, znajdował się wciąż pośród żywych i rządził swym ludem żelazną ręką. Chociaż nie lubił przerywać modlitwy, teraz zwrócił się ze swego miejsca przy wschodniej ścianie, gdzie modlił się w tałesie i filakteriach, i wykrzyknął ze złością:

— Czego chcesz? Mów!

— Ludzie, jestem złoczyńcą! Grzesznikiem prowadzącym innych do grzechu. Jak Jeroboam, syn Nebata! — wykrzyknął Szlojmele, bijąc się pięścią w piersi. — Wiedźcie, że zmusiłem żonę do cudzołóstwa. Wyznaję wszystko. Obnażam mą duszę.

Chociaż mówił cicho, jego głos rozbrzmiewał echem jakby sala była pusta. Coś niby śmiech dobiegło z babińca, po czym przerodziło się w cichy jęk, jaki słychać w czasie wieczornych modlitw przed Jom Kipur. Mężczyźni sprawiali wrażenie skamieniałych. Wielu sądziło, że Szlojmele postradał rozum. Do innych plotki docierały już wcześniej. Po pewnym czasie reb Ojzer, który od dawna podejrzewał, że Szlojmele jest ukrytym wyznawcą Sabataja Cwi, drżącymi rękoma zdjął tałes z głowy i założył go sobie na ramiona. Jego twarz z kępkami białej brody i pejsami pożółkła jak u trupa.

— Co takiego zrobiłeś? — zapytał starzec łamiącym się głosem pełnym złych przeczuć. — Z kim twoja żona popełniła cudzołóstwo?

— Z furmanem mojego teścia, tym Mendlem... To wszystko moja wina... Nie chciała tego zrobić, to ja ją namówiłem...

— Ty? — zapytał reb Ojzer oskarżycielskim głosem.

— Tak, rabbi, ja.

Reb Ojzer wyciągnął rękę po szczyptę tabaki, jakby chciał wzmocnić swą znękaną duszę, ale jego ręka drżała i tabaka wyślizgnęła mu się z palców. Kolana tak mu dygotały, że musiał oprzeć się o stolik.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał słabym głosem.

— Nie wiem, rabbi... Coś mnie opętało! — wykrzyknął Szlojmele, a jego drobna postać jeszcze bardziej się skurczyła. — Popęniłem straszny błąd... Straszny błąd!

— Błąd? — zapytał reb Ojzer i uniósł jedno oko. Wydawało się, że kryje ono śmiech nie z tego świata.

— Tak, błąd! — powiedział Szlojmele, smutny i oszołomiony.

— Gwałtu, Żydzi, ogień szaleje, ogień z gehenny! — wykrzyknął nagle mężczyzna o czarnej jak smoła brodzie i długich, zwichrzonych pejsach. — Nasze dzieci przez nich umierają! Niewinne niemowlęta, które nie wiedzą, co to grzech!

Na wzmiankę o dzieciach w babińcu powstał lament. To matki wspominały swoje maleństwa, które niedawno odeszły. Jako że Krzeszów był niewielkim miasteczkiem, wieść o wydarzeniu szybko się rozeszła i powstało straszne poruszenie. Kobiety mieszały się z mężczyznami, filakterie spadały na ziemię, opadały tałesy. Kiedy tłum się uspokoił, Szlojmele zaczął swoją spowiedź. Opowiedział o tym, jak będąc jeszcze chłopcem, przyłączył się do wyznawców kultu Sabataja Cwi, jak studiował z innymi, jak uczono go, że skrajny upadek oznacza tym większą świętość i że im większa podłość tym bliższy jest dzień odkupienia.

— Ludzie, jestem zdrajcą Izraela! — zawodził. — Heretyk zepsuty do cna i zбочeniec! Tajemnie bezczęściłem szabat, jadłem potrawy mleczne z mięsnymi, zaniedbywałem modlitwę, brukałem modlitewniki i nurzałem się we wszelkim bezceństwie... Zmusiłem własną żonę do cudzołóstwa! Wmówiłem jej, że ten obibok Mendel Furman jest tak naprawdę Adoniaszem synem Chaggity, a ona Abiszag Szunemitką i że mogą uzyskać zbawienie jedynie w wyniku zespolenia...! Przekonałem ją nawet, że grzesząc spełni dobry uczynek! Zszedłem z uczciwej drogi, byłem niewierny, mówiłem plugawe słowa, czyniłem zło, pławiłem się w pysze i namawiałem do zła.

Krzyczał przenikliwym głosem za każdym razem bijąc się w piersi.

— Plujcie na mnie, Żydzi... Chłostajcie mnie! Rozszarpcie na kawałki! Osądźcie mnie! — krzyczał. — Dajcie mi śmiercią odkupić moje grzechy.

— Żydzi, nie jestem rabinem Krzeszowa tylko Sodomy! — zawołał reb Ojzer. — Sodomy i Gomory!

— Gwałtu, Żydzi, Szatan tańczy w Krzeszowie! — jęknął czarnowłosy Żyd i chwycił się oburącz za głowę. — Szatan Niszczyciel!

Ten człowiek miał rację. Przez cały dzień i noc rządziłem w Krzeszowie. Tego dnia nikt nie modlił się ani nie studiował, nie dęto w szofar. Żaby na bagnach skrzeczały: — Nieczyste! Nieczyste! Nieczyste! Wrony roznosiły złe wieści. Kozioł kahalny wpadł w szal i napadł na kobietę wracającą z mykwy. W każdym kominie czyhał demon. Przez każdą niewiastę przemawiał zły duch. Lise leżała jeszcze w łóżku, kiedy tłum wtargnął do jej domu. Roztrzaszali szyby kamieniami, wpadli do jej sypialni. Kiedy Lise ujrzała tę ciżbę, zrobiła się biała jak prześcieradło. Prosiła, aby pozwolono jej się ubrać, ale ludzie zdarli z niej pościel, porwali na strzępy jedwabną koszulę i w takim stanie, naga, tylko w łachmanach, z odkrytą głową, zaciągnięto ją do domu rabina. Ów młodzieniec, Mendel, przybył właśnie z wioski, w której spędził kilka dni. Zanim nawet zdążył pojąć, co się dzieje, napadli na niego pomocnicy rzeźnika, związali sznurami, pobili dotkliwie i zawiedli do kahalnego więzienia w przedsionku bóżnicy. Jako że Szlojmele wyznał grzechy dobrowolnie, wymierzono mu jedynie kilka policzków, on jednak z własnej woli położył się na progu bóżnicy i prosił każdego, kto wchodził lub wychodził, aby pluł na niego i po nim stąpał, stanowi to bowiem wstępną pokutę za grzech cudzołóstwa.

## XI Kara

Do późna w nocy reb Ojzer siedział w izbie rabinackiej z dajanem, szojetem, gabajem oraz siedmioma starszymi gminy i innymi szanowanymi obywatelami miasteczka, słuchając opowieści grzeszników. Chociaż okna były zakryte okiennicami, a drzwi zamknięte na klucz, na zewnątrz zebrał się tłum ciekawskich i szames musiał ciągle wychodzić, żeby ich przeganiać. Opowiadanie o całej hańbie i przewinieniach wymienionych przez Szlojmele i Lise zabrałoby zbyt wiele czasu. Wspomnę więc tylko o kilku szczegółach. Chociaż wszyscy sądzili, że Lise będzie płakała i dowodziła swej niewinności lub też po prostu zemdleje, ona była opanowana. Odpowiadała jasno na każde pytanie zadane jej przez rabina. Kiedy przyznała, że cudzołożyła z mło-

dzieńcem, rabin zapytał ją, jak to możliwe, żeby taka dobra i rozsądna Żydówka coś takiego robiła, a ona odparła, że to wszystko jej wina, zgrzeszyła i godzi się teraz na każdą karę.

— Wiem, że zaprzepaściłam i ten świat, i przyszły — powiedziała — i nie ma dla mnie nadziei. — Oznajmiła to tak spokojnie jakby cały ów łańcuch wydarzeń był czymś zwyczajnym, zaskakując w ten sposób wszystkich. A kiedy rabin zapytał, czy jest zakochana w młodzieńcu czy też grzeszyła pod przymusem, odparła że działała z własnej woli.

— Może zły duch cię opętał? — powiedział rabin. — Albo rzucono na ciebie urok? Albo jakaś ciemna siła cię do tego zmusiła? Może byłeś w transie i zapomniałeś o naukach Tory i o tym, że jesteś dobrą żydowską córką? Jeśli tak, nie zaprzeczaj!

Ale Lise utrzymywała, że nie wie nic o żadnych złych duchach, demonach, magii ani przywidzeniach.

Pozostali mężczyźni wypytywali ją dalej, chcieli wiedzieć, czy znalazła węzły w swoim ubraniu lub kołtuny we włosach, albo też żółtą plamę na lustrze czy czarnosiny znak na ciele, ale ona oznajmiła, że niczego takiego nie napotkała. Kiedy Szlojmele wyznawał, że pchnął ją do tego wszystkiego i że Lise jest czystego serca, spuściła głowę i ani nie przytakiwała mu, ani nie zaprzeczała. A kiedy rabin zapytał, czy żałuje swoich przewinień, najpierw milczała, a potem rzekła:

— Na cóż zda się żal! — I dodała: — Chcę być sądzona zgodnie z prawem, bez litości. — Po czym zamilkła i trudno z niej było wydobyć jakieś słowo.

Mendel wyznał, że leżał z Lise, córką swego pana, wiele razy; że przychodziła do niego na poddasze i do ogrodu między klomby i że odwiedzał ją też kilkakrotnie w jej sypialni. Chociaż został pobity, a jego ubranie znajdowało się w strzępach, pozostał nieugięty. Czynił grubiańskie uwagi, bowiem jest napisane: „Grzesznicy nie żałują nawet u samych wrót gehenny...” Kiedy jeden zacny obywatel zapytał go: — Jak mogłeś zrobić coś takiego? — Mendel warknął: — A dlaczego nie? Jest lepsza niż twoja żona.

Jednocześnie złorzeczył na swoich oskarżycieli, nazywał ich złodziejami, żarłokami i lichwiarzami, twierdził, że oszukują na wadze i miarce. Źle się także wyrażał o ich żonach i córkach. Jednemu powiedział, że gdzie jego żona nie stanie, wyrasta kupa brudu, innemu, że śmierdzi za bardzo nawet

dla własnej żony, która nie chce z nim spać; robił też inne podobne uwagi pełne zuchwalstwa, drwiny i szyderstwa.

A kiedy rabin zapytał: — Nie boisz się? Czy zamierzasz żyć wiecznie? — odparł, że nie ma różnicy między umarłym człowiekiem a umarłym koniem. Mężczyźni byli tak rozwścieczeni, że znowu go wychłostali, a tłum na zewnątrz słyszał jego przekleństwa, podczas gdy Lise łkała zakrywszy twarz obiema rękami.

Jako że Szlojmele wyznał swoje grzechy dobrowolnie i był gotów przyjąć karę natychmiast, oszczędzono go i niektórzy ludzie nawet zwracali się do niego uprzejmie. Jeszcze raz wyznał, że kiedy był chłopcem, uczniowie Sabataja Cwi złapali go w swą sieć, i mówił o tym, jak w tajemnicy studiował ich księgi i rękopisy, aż zaczął wierzyć, że im głębiej pograża się człowiek, tym bardziej zbliża się do Końca Dni. A kiedy rabin zapytał, dlaczego nie wybrał innego sposobu grzeszenia, tylko cudzołóstwo, i czy nawet mężczyzna zanurzony w tym, co złe, może pragnąć, aby jego żona została pohańbiona, odparł, że ten właśnie grzech sprawiał mu przyjemność i że kiedy Lise przychodziła do niego z objęć Mendla, wypytywał ją o wszystkie szczegóły i dawało mu to większą rozkosz niż gdyby sam uczestniczył w akcie. Kiedy jeden z mężczyzn zauważył, że nie jest to normalne, Szlojmele odparł, że mimo to tak właśnie było. Opowiedział, że dopiero kiedy leżała z Mendlem wiele razy i zaczęła się odwracać od męża, zdał sobie sprawę, że traci ukochaną żonę i jego rozkosz ustąpiła głębokiemu smutkowi. Próbował wtedy zmienić jej postępowanie, ale było już za późno, bowiem Lise pokochała młodzieńca, tęskniła za nim i mówiła o nim w dzień i w nocy. Szlojmele ujawnił także, że Lise dawała Mendlowi prezenty i brała dla kochanka pieniądze ze swego posagu, on zaś kupił sobie za nie konia, siodło i przeróżne drobiazgi. Aż pewnego dnia Lise wyznała, że Mendel poradził jej, aby rozwiodła się z mężem i zaproponował, aby we dwoje uciekli do jakiegoś obcego kraju. Szlojmele miał jeszcze więcej do powiedzenia. Stwierdził, że zanim się to wszystko zaczęło, Lise zawsze była prawdomówna, natomiast potem zaczęła wykręcać się przeróżnymi kłamstwami i oszustwami aż w końcu doszło do tego, że nie mówiła Szlojmele o spotkaniach z Mendlem. To wyznanie wywołało sprzeczkę, a nawet bójkę. Ludzi zdumiało to, co usłyszeli; trudno było sobie wyobrazić, jak takie małe miasteczko jak Krzeszów mogło stać się miejscem równie bezwstydných poczynań. Wielu obywateli bało się, że Wszechmocny dokona

zemsty na całej gminie i że, Boże broń, nastąpi susza, najazd Tatarów lub powódź. Rabin oznajmił, że natychmiast zarządzi powszechny post.

W obawie, że ludzie z miasteczka rzucą się na grzeszników i kto wie, czy nie poleje się krew, rabin i starsi gminy zatrzymali Mendla w więzieniu aż do następnego dnia. Lise pod opieką kobiet z Bractwa Pogrzebowego została odprowadzona do przytułku i dla własnego bezpieczeństwa zamknięta w osobnej izbie. Szlojmele pozostał w domu rabina. Nie chciał położyć się w łóżku, lecz wyciągnął się na podłodze komórki. Naradziwszy się ze starszymi gminy, rabin ogłosił wyrok: Grzesznicy zostaną poprowadzeni następnego dnia przez miasteczko, aby ludzie ujrzeli hańbę tych, co porzucili Boga. Następnie Szlojmele zostanie rozwiedziony z Lise, z którą zgodnie z prawem nie wolno mu teraz przebywać pod jednym dachem. Nie wolno jej też będzie poślubić Mendla Furmana.

Egzekucja kary rozpoczęła się bardzo wcześnie następnego ranka. Mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczęta zaczęli zbierać się na dziedzińcu bóżnicy. Dzieci nie poszły do chederu i wspinały się teraz na dach domu nauki i balkon babińca, aby lepiej widzieć. Dowcipnisie przynieśli drabiny i szcudła. Mimo ostrzeżenia szamesa, że widowisko należy obserwować z powagą, bez rozpychania się i nadmiernej wesołości, błazeństwom nie było końca. Chociaż był to okres przedświąteczny, szwaczki porzuciły pracę, aby rozkoszować się upadkiem córki bogacza. Krawcy, szewcy, bednarze i szczotkarze zbici w ciżbę żartowali, poszturchiwali się i przekomarzali z kobietami. Dziewczęta z dobrych rodzin udrapowały sobie szale wokół głów niczym żałobnice. Mężatki ubrane były w podwójne fartuchy, jeden z przodu, drugi z tyłu, jakby miały być świadkami wypędzania dybuka lub uczestniczyć w ceremonii chalicy. Kupcy pozamykali sklepy, rzemieślnicy porzucili warsztaty. Nawet goje przyszli zobaczyć, jak Żydzi karzą swoich grzeszników. Wszystkie oczy utkwione były w starą bóżnicę, z której miano wyprowadzić winnych na publiczne pośmiewisko.

Przy pomrukach ze strony gapiów otwarły się dębowe drzwi. Rzeźnicy wyprowadzili Mendla — ze związanymi rękami, w podartej kurtce i podszewce od jarmułki na głowie. Na czole miał szramę. Ciemny zarost pokrywał nieogoloną brodę. Zuchwale spojrział na tłum i wydał wargi, jakby chciał zagwizdać. Rzeźnicy trzymali go mocno za łokcie, bo wcześniej już próbował uciekać. Powitała go kocia muzyka. Chociaż Szlojmele pokutował dobrowolnie i osz-

czędzono mu sądu, zażądał, aby spotkała go taka sama kara jak dwoje pozostałych. Kiedy się pojawił, rozległy się gwizdy, krzyki i śmiechy. Zmienił się nie do poznania. Jego twarz była trupio blada. Zamiast chałatu, małego tałesu i spodni zwisały z niego resztki łachmanów. Jeden policzek miał spuchnięty. Szedł bez butów, a przez dziury w skarpetach wystawały mu nagie palce. Umieszczono go obok Mendla i stał tam pochylony i sztywny jak strach na wróble. Wiele kobiet zaczęło na ten widok zawodzić jakby opłakiwały nieboszczyka. Niektóre narzekały, że starsi gminy są okrutni i że gdyby reb Bunim był na miejscu, do niczego takiego by nie doszło.

Lise nie pojawiała się przez długi czas. Wielkie zaciekawienie jej osobą ściągnęło nieprzebrany tłum. Kobiety w podnieceniu gubiły czepki. Kiedy Lise, prowadzona przez niewiasty z Bractwa Pogrzebowego pojawiła się w drzwiach, ciżba zastygła w bezruchu. Ze wszystkich gardeł wyrwał się krzyk. Ubranie Lise nie było podarte, ale na jej głowie znajdował się garnek na kugel, na szyi wisiał naszyjnik z ząbków czosnku i nieżywej gęsi; w jednej ręce trzymała miotłę, a w drugiej miotelkę do kurzu z gęsich piór. Opasana była powrozem ze słomy. Nie ulegało wątpliwości, że niewiasty z Bractwa Pogrzebowego włożyły niemało trudu, aby córa szlachetnego i bogatego domu doznała jak najdotkliwszej kary za swój upadek. Zgodnie z wyrokiem grzeszników przeprowadzono przez wszystkie ulice miasteczka, przystając przed każdym domem, aby wszyscy mogli na nich napluć i obrzucić wyzwiskami. Pochód rozpoczął się od domu rabina i przeszedł aż do chat najpośledniejszych członków gminy. Wielu ludzi obawiało się, że Lise zemdleje i zepsuje im zabawę, ale widocznie postanowiła znieść do końca wszelkie upokorzenia.

Dla Krzeszowa była to prawdziwa uczta, niczym obchody Lag ba-Omer w środku miesiąca Elul. Chłopcy z chederu poprzynosili sobie jedzenie z domu i uzbrojeni w szyszki, łuki i strzały biegali jak szaleni, wrzeszcząc i becząc przez cały dzień jak kozy. Gospodynie nie napaliły pod kuchnią, dom nauki stał pusty. Nawet chorzy i najubożsi mieszkańcy przytułka wyszli, aby uczestniczyć w Czarnej Uczcie.

Kobiety, których dzieci były chore, lub te, które nie odbyły jeszcze siedmiu dni żałoby, wybiegały przed domy, aby powitać grzeszników okrzykami, lamentem, przekleństwami i zaciśniętymi pięściami. Bojąc się Mendla Furmana, który łatwo mógł się zemścić, i nie czując prawdziwej nienawiści do



Szlojmele, którego uważano za wariata, skupiły swą wściekłość na Lise. Choć szames ostrzegał przed stosowaniem przemocy, niektóre baby szczypały ją i szturchały. Jedna wylała na Lise wiadro pomyj, inna obrzuciła ją kurzymi bebechami; ciskały w nią też wszelkim innym paskudztwem. Ponieważ Lise w czasie przesłuchania opowiedziała historię o koźle, które to wydarzenie sprawiło, że zaczęła myśleć o Mendlu, miejscowe łobuzy schwytały capa i szły wraz z nim za pochodem. Niektórzy ludzie gwizdali, inni śpiewali obraźliwe piosenki. Obrzucali Lise różnymi wyzwiskami. Nazywali ją nierządnicą, dziwką, ladacznicą, rozpustnicą, ulicznicą, oślicą, flądram i suką, nie szczędzili także innych wyrazów. Skrzypkowie, dobosz i cymbalista towarzyszący procesji grali weselnego marsza. Jeden z młodzieńców udając marszelika deklamował wiersze, sprośne i bezwstydne. Niewiasty, które towarzyszyły Lise, próbowały ją rozweselić i pocieszyć, bowiem ten przemarsz miał stanowić jej odkupienie; pokutując mogła odzyskać dobre imię, ale ona była jak skała. Nikt nie widział, aby uroniła choć jedną łzę. Nie przestała też ścisnąć miotły i miotelki z piór. Aby oddać sprawiedliwość Mendlowi muszę przyznać, że i on nie przeciwstawiał się swoim oprawcom. W milczeniu, nie odpowiadając na wszelakie wyzwiska, kroczył naprzód. Co do Szlojmele, z min, jakie robił, trudno było wywnioskować, czy się śmieje czy płacze. Kroczył niepewnie, ciągle przystając, póki ktoś go nie popchnął, żeby szedł dalej. Wkrótce zaczął utykać. Jako że namawiał innych jedynie do grzechu, sam zaś nie grzeszył, szybko pozwolono mu opuścić zbiegowisko. Strażnik odprowadził go do domu rabina. Wieczorem Mendla umieszczono z powrotem w więzieniu. W izbie rabinackiej odbył się rozwód Lise i Szlojmele. Kiedy Lise uniosła obie ręce, a Szlojmele umieścił w nich list rozwodowy, niewiasty uderzyły w lament; mężczyźni mieli łzy w oczach. Potem kobiety z Bractwa Pogrzebowego zaprowadziły Lise z powrotem do ojcowskiego domu.

## XII Upadek Krzeszowa

Tej nocy wiatr dał jakby siedem wieźm się powiesiło. A tak naprawdę powiesiła się tylko jedna młoda kobieta — Lise. Kiedy stara służąca weszła rano do pokoju pani, zastała puste łóżko. Czekala sądząc, że Lise wyszła za potrzebą, ale kiedy minął długi czas, a Lise się nie pojawiała, służąca poszła

jej szukać. Niebawem znalazła ją na strychu — zwisała na sznurze z odkrytą głową, bosa i w nocnej koszuli. Zdążyła już ostygnąć.

Miasteczko było wstrząśnięte do głębi. Te same kobiety, które poprzedniego dnia obrzucały Lise kamieniami i wyrażały oburzenie ze względu na łagodną karę, jaka ją spotkała, ubolewały teraz, że starsi gminy zabili porządną Żydówkę. Mężczyźni podzielili się na dwa obozy. Pierwsi twierdzili, że Lise zapłaciła już za swe przewinienia i że jej ciało należy pochować na cmentarzu obok ciała matki i traktować z należnym szacunkiem; drudzy dowodzili, że powinna zostać pochowana poza cmentarzem, za ogrodzeniem, jak inni samobójcy. Twierdzili oni również, że ze słów i zachowania Lise w izbie rabinackiej widać było, iż zmarła zbuntowana, nie wyraziwszy skruchy. Rabin i starsi gminy należeli do tego drugiego obozu i ich zdanie przeważało. Lise została pochowana za ogrodzeniem, w nocy, przy świetle latarni. Kobiety łkały zdławionymi głosami. Obudzone hałasem wrony przycupnęły na cmentarnych drzewach i zaczęły krakać. Niektórzy starsi gminy prosili Lise o wybaczenie. Na jej powiekach, zgodnie ze zwyczajem, umieszczono skorupki, a między palce włożono gałązkę, aby, kiedy przyjdzie Mesjasz, mogła wykopać sobie tunel z Krzeszowa do Ziemi Świętej. Jako że była młodą kobietą, wezwano Kałmena Pijawkę, aby sprawdził, czy nie była w ciąży, bowiem pochowanie nienarodzonego dziecka mogłoby spowodować nieszczęście. Grabarz powiedział to, co się mówi na pogrzebach: „On skała, dzieło Jego doskonałe, bo wszystkie drogi Jego są słuszne; On Bogiem wiernym, a nie zwodniczym, On sprawiedliwy i prawy”. Wyrwano garście trawy i rzucono przez ramię. Każdy z obecnych rzucił do grobu łopatę ziemi. Chociaż Szlojmele nie był już mężem Lise, szedł za noszami i odmówił kadisz nad jej grobem. Po pogrzebie rzucił się na kopczyk ziemi i nie chciał wstać; musiano go odciągnąć siłą. I chociaż zgodnie z prawem zwolniony był z obowiązku obchodzenia siedmiu dni żałoby, poszedł do domu teścia, by dokonać całego obrzędu.

W okresie trwania żałoby kilku ludzi z miasteczka przyszło modlić się ze Szlojmele i złożyć mu wyrazy współczucia, ale on nie odpowiadał na ich słowa, jakby poprzysiągł sobie wieczne milczenie. Siedział na podnóżku w strzępach i łachmanach, zaglądając do *Księgi Hioba* — jego twarz była jak z wosku, broda i pejsy rozczochrane. Knot migotał w skorupie z olejem. Szmataka moczyła się w szklance wody postawionej z myślą o duszy zmarłej, aby mogła się w niej zanurzyć. Stara służąca przyniosła Szlojmele jedzenie, ale on nie

wziął do ust nic oprócz kromki czerstwego chleba z solą. Po siedmiu dniach żałoby Szlojmele z kosturem w rękę i zawiniątkiem na plecach ruszył w świat. Ludzie z miasteczka szli za nim przez jakiś czas, próbując nakłonić go, aby został lub poczekał przynajmniej do powrotu reb Bunima, ale on nic nie mówił, tylko kręcił głową i szedł dalej, aż ci, którzy do niego przemawiali, zmęczeni się i zawrócili. Nigdy go już potem nie widziano.

Tymczasem reb Bunim przebywał gdzieś na Wołyniu pochłonięty interesami, nic nie wiedząc o swoim nieszczęściu. Kilka dni przed Rosz Haszana kazał jednemu z chłopów zawieźć się wozem do Krzeszowa. Wiózł liczne podarunki dla córki i zięcia. Którejś nocy zatrzymał się w gospodzie. Zapytał o wieści o swojej rodzinie, ale chociaż wszyscy wiedzieli, co się stało, nikt nie miał odwagi mu powiedzieć. Twierdzili, że niczego nie wiedzą. A kiedy reb Bunim poczęstował kilku z nich wódką i ciastem, jedli i pili niechętnie, unikając jego wzroku, kiedy wznosił toasty. Reb Bunima dziwiła ich małomówność.

Kiedy reb Bunim zajechał rankiem do Krzeszowa, miasteczko sprawiało wrażenie opuszczonego. Mieszkańcy właściwie przed nim uciekli. Zbliżywszy się do domu zobaczył, że okiennice są zamknięte i zaryglowane; przeraził się, był to przecież środek dnia. Zawołał Lise, Szlojmele i Mendla, ale nikt mu nie odpowiedział. Służąca także opuściła już dom i leżała chora w przytułku. W końcu ni stąd ni zowąd pojawiła się jakaś staruszka i opowiedziała reb Bunimowi o strasznych wydarzeniach.

— Och, nie ma już Lise! — krzyczała załamując ręce.

— Kiedy umarła? — zapytał reb Bunim blady i znękany.

Wymieniła dzień, kiedy to się stało.

— A gdzie jest Szlojmele?

— Poszedł w świat! — odparła kobieta. — Zaraz po siedmiu dniach żałoby.

— Niechaj będzie wychwalony prawdziwy sędzia! — Reb Bunim odmówił błogosławieństwo za zmarłą. I dodał zdanie z *Księgi Hioba*: — „Nagi wyszedłem z łona matki i nagi tam wrócę”.

Poszedł do swojego pokoju, oderwał sobie klapę od kapoty, zdjął buty i usadowił się na podłodze. Staruszka przyniosła mu chleb, jajko na twardo i trochę popiołu, jak nakazuje prawo. Po pewnym czasie wyjaśniła mu, że

jego jedyna córka nie zmarła zwykłą śmiercią, ale się powiesiła. Wyjaśniła mu także powód jej samobójstwa. Ale reb Bunimem nie wstrząsnęła ta wiadomość; był on bogobojnym człowiekiem i przyjmował każdą karę z niebios, jest przecież napisane: „Człowiek powinien być wdzięczny za zło tak samo jak i za dobro”. Zachował zatem swą wiarę i nie żywił urazy do Pana Wszechświata.

W Rosz Haszana reb Bunim modlił się w domu modlitwy i śpiewał z zapalem psalmy. Potem samotnie spożył świąteczny posiłek. Służąca podała mu baranią głowę, jabłka z miodem i marchewkę, a on jadł wolno, kołysząc się i śpiewając świąteczne pieśni. Ja, Zły Duch, próbowałem skusić tego udręczonego ojca, aby zstąpił ze ścieżki prawości i napełnił duszę melancholią, bo w tym właśnie celu Stwórca zesłał mnie na ziemię. Ale reb Bunim nie zwracał na mnie uwagi i postępował zgodnie z przysłowiem: „Nie będziesz odpowiadał głupcowi na jego głupotę”. Zamiast spierać się ze mną, studiował księgi i modlił się, a wkrótce po Jom Kipur zaczął budować szałas i tak to wypełniał sobie czas Torą i świętymi uczynkami. Wiadome jest, że mam moc tylko nad tymi, którzy poddają w wątpliwość drogi Boże, nie nad tymi, co dokonują szlachetnych czynów. I tak mijały mu święte dni. Poprosił także, aby zwolniono z więzienia Mendla Furmana i pozwolono mu pójść, dokąd zechce. Zaraz po świętach reb Bunim sprzedał za bezcen dom i cały dobytek, po czym opuścił Krzeszów, bowiem przypominał mu zbyt o jego nieszczęściu. Rabin i wszyscy inni ludzie odprowadzili go na krańce miasteczka; pozostawił też pewną sumę pieniędzy na dom nauki, przytułek i inne cele dobroczynne.

Tak więc reb Bunim opuścił miasteczko niczym święty, o którym jest napisane: „Kiedy święty opuszcza miasto, odchodzi z nim jego piękno, sława i chwała”.

Mendel Furman wałęsał się przez jakiś czas po okolicznych wioskach. Krzeszowscy handlarze opowiadali, że chłopci się go boją a on często się z nimi kłóci. Niektórzy mówili, że został koniokrądem, inni, że rozbójnikiem. Krążyła także plotka, że odwiedza grób Lise; na piasku odkryto ślady jego butów. Opowiadano sobie także inne historie na jego temat. Niektórzy ludzie bali się, że dokona zemsty na miasteczku i mieli rację. Pewnej nocy wybuchł pożar. Zaczął się jednocześnie w wielu miejscach i mimo deszczu płomienie skakały z domu na dom. Zniszczeniu uległo prawie trzy czwarte Krzeszowa.

Koziół kahalny również stracił życie. Świadkowie przysięgali, że to Mendel Furman podłożył ogień. Jako że w tym czasie panował straszny ziąb, a niejeden człowiek pozostał bez dachu nad głową, wielu mieszkańców zachorowało. Wybuchła epidemia, mężczyźni, kobiety i dzieci umierali, a Krzeszów uległ prawdziwemu spustoszeniu. Do dziś dnia miasteczko pozostało małe i biedne: nigdy nie podniosło się z upadku. A wszystko to przez grzech popełniony przez męża, żonę i furmana. I chociaż nie jest przyjęte u Żydów, aby wznosić prośby nad grobem samobójcy, młode kobiety, które przybywały odwiedzać groby rodziców, często kładły się na kopczyku za ogrodzeniem, płacząc i wznosząc modlitwy nie tylko za siebie i swoich bliskich, ale także za duszę upadłej Lise, córki Szifry Tamar. I zwyczaj ten zachował się do dziś dnia.

## Słowniczek

**AGUNA** – opuszczona żona, której mąż przepadł bez wieści i która nie będąc prawnie rozwiedziona albo na pewno wdową nie może powtórnie wyjść za mąż

**AMORAIM** – uczeni działający po ostatecznej redakcji Miszny od około r. 200 n.e. do ok. r. 500 n.e., kiedy zakończono Talmud babiloński. Dziełem amoraistów jest Gemara

**ARKA PRZYMIERZA** (Aron Hakodesz) – szafa ołtarzowa umieszczona we wschodniej ścianie bóżnicy lub domu nauki, w której przechowywane są rodłały Tory

**ASMODEUSZ** – król demonów

**BABINIEC** – część synagogi przeznaczona dla kobiet

**BALAGUŁA** – furman

**BALSAMINKA** – pojemniczek na goździki i wonne korzenie, które wacha się w czasie Hawdali

**BELFER** – pomocnik mełameda

**BIMA** – centralne podium w bóżnicy, z którego odczytuje się Torę i gdzie kantor prowadzi część modlitwy

**BRACTWO POGRZEBOWE** (Chewra Kadisza) – dosł. święte bractwo; stowarzyszenie charytatywne, zapewniające wszystkim członkom gminy pogrzeb zgodnie z prawem i tradycją żydowską. Przynależność do Stowarzyszenia uznawana jest za zaszczyt.

**CADYK** (hebr.) – dosł. człowiek sprawiedliwy; charyzmatyczny przywódca chasydzki darzony kultem przez wyznawców ze względu na wiarę w nadprzyrodzoną moc czynienia cudów

**CHALICA** – zwolnienie z obowiązku poślubienia bezdzietnej wdowy przez szwagra

**CHANUKA** — ósmiodniowe święto światła przypadające w grudniu, upamiętniające wznowienie kultu religii możeszowej w odbudowanej w roku 165 p.n.e. Świątyni Pańskiej w Jerozolimie

**CHASYD** — dosł. pobożny; zwolennik ruchu religijno-mistycznego zapoczątkowanego w XVIII wieku przez Izraela ben Eliezera z Podola zwanego Baal Szem Tow.

**CHEDER** (hebr.) — dosł. pokój; tu: tradycyjna elementarna żydowska szkoła religijna, w której dzieci od piątego do trzynastego roku życia uczyły się modlitw i Biblii

**CHUMEC** — chleb kwaszony

**CHUPA** — baldachim, pod którym udziela się ślubu żydowskim nowożeńcom

**CZULENT** — potrawa szabasowa przygotowywana w piątek z przeznaczeniem na sobotę, składająca się z kartofli, fasoli, kaszy, mięsa wołowego oraz przypraw, tradycyjnie spożywana przez Żydów aszkenazyjskich

**DAJAN** — sędzia sądu rabinackiego

**DOM NAUKI** (bet hamidrasz) — budynek lub pomieszczenie wykorzystywane do studiów religijnych oraz modlitwy

**DRZEWO ŻYCIA** (hebr. *Ejc chaim*) — dzieło Jakuba ben Judy z Londynu z końca XIII w.

**DYBUK** (hebr.) — dusza grzesznego nieboszczyka wstępująca w ciało żyjącego człowieka

**ELUL** — ostatni miesiąc w kalendarzu żydowskim (sierpień/wrzesień)

**ETROG** — owoc cytrusowy używany tradycyjnie do błogosławieństw jedynie w czasie Sukot

**FILAKTERIE** (tefilin) — dwa pudełeczka zawierające cytaty z Tory, przytwierdzone przez mężczyzn rzemykiem, jedno do czoła, a drugie do lewego ramienia w czasie porannych modlitw w dni powszednie

**GABAJ** — urzędnik kahału; wybieralny zarządca synagogi albo bractwa

**GAON** — genialny, określenie (a także tytuł) stosowane wobec wybitnych rabinów

**GEHENNA** — miejsce straszliwych cierpień; określenie to pochodzi od doliny Hinnon w starożytnej Jerozolimie, gdzie składano Molochowi dzieci w ofierze

**GEMARA** — część Talmudu zawierająca komentarze do Miszny. Gemara sformułowana została w języku aramejskim.

**GOJ** — nie-Żyd

**GOLEM** — figura ulepiona z gliny przez człowieka i ożywiona za pomocą cudotwórczej formuły; motyw często występujący w literaturze i tradycji żydowskiej. Golem może nieść pomoc Żydom w trudnych czasach, ale potrafi także spowodować zniszczenie

**HAGADA** (hebr.) — pouczenie, opowieść; część Talmudu, powstała w II-IV w., składająca się z legend, przypowieści, alegorii, metafor i aforyzmów poetyckich. Nazwą tą określa się też opowieść o wyjściu Żydów z Egiptu, którą czyta się w pierwszy i drugi wieczór święta Pesach; zob. seder

**HAWDALA** — uroczystość na zakończenie szabatu polegająca na błogosławieniu wina i zapalaniu specjalnych, plecionych świec

**JAD** — wskazówka, inaczej „rączka” ułatwiająca odczytywanie tekstu Tory, wykonana ze srebra, drewna, drogiego kamienia, bogato zdobiona

**JEJCER HORE** — złe skłonności kierujące człowiekiem

**JESZIWA** — wyższa uczelnia talmudyczna

**JOM KIPUR** — jedno z dwóch największych świąt w żydowskim roku obrzędowym; Dzień Pojednania, w Polsce znany także pod nazwą Sądny Dzień; dzień pokuty i postu, obchodzony 10. dnia miesiąca tiszri. Według tradycji los każdego człowieka, który nie został jednoznacznie określony w Rosz Haszana, rozstrzyga się właśnie w Jom Kipur

**JOSEF DELLA REINA** — piętnastowieczny kabalista działający w Palestynie

**JOSIFON** — popularna, pochodząca z X wieku pobiblijna historia Żydów po hebrajsku i w tłumaczeniu na jidysz

**KABALIŚCI** — praktykujący Kabałę i jej badacze

**KABAŁA** (hebr.) — mistyczny, teozoficzno-filozoficzny nurt w judaizmie, oparty na neoplatońskiej teorii emanacji, skierowany przeciwko racjonalistycznym prądom filozoficznym; głosiła m.in. wiarę w magiczną siłę liter tekstu biblijnego oraz w możliwość magicznego działania za pomocą kombinacji liter imiona boskiego

**KADISZ** (hebr.) — powszechna aramejska modlitwa codzienna, ale zazwy-



czaj modlitwa za zmarłych; do jej odmówienia wymagana jest obecność co najmniej dziesięciu mężczyzn

**KAHAŁ** – żydowska gmina religijna

**KANTOR** – przewodzący modłom w bóżnicy, często śpiewem

**KIDUSZ** – „poświęcenie”, modlitwa odmawiana nad kielichem wina, w domu i w bóżnicy, w celu uświęcenia szabatu lub święta

**KILAIM** – jeden z traktatów Miszny. Dosł. „dwojakość, mieszanie dwóch różnych gatunków”. Omawia zakazy mieszania rozmaitych rzeczy (płodów rolnych, zwierząt, przędzy)

**KITŁ** – biały strój symbolizujący całun, noszony przez mężczyzn zwłaszcza w Jom Kipur

**KLEZMER** – grajek, muzykant

**KOHEN** – kapłan lub Żyd pochodzący z rodu kapłańskiego

**KOSZER** (hebr.) – zgodny z żydowskimi przepisami rytualnymi

**KUCZKA** – namiot, szałas stawiany przez Żydów na okres święta Sukot

**KUGEL** – zapiekanka, zazwyczaj słodka, z cynamonem, której głównym składnikiem jest ryż, kasza lub makaron

**LAG BA-OMER** – 33-ci dzień Omeru, czyli 18-ty dzień miesiąca ijar (kwiecień/maj) obchodzony jako pół-święto, jedyny dzień między Pesach i Szawuot kiedy dozwolone jest zawieranie małżeństw, obcinanie włosów oraz różne formy rozrywki

**LAMEDOWNIK** – (od hebr. liter lamed i waw, łącznie oznaczających liczbę 36). Według legendy świat istnieje dzięki 36 sprawiedliwym, żyjącym w ukryciu

**LEWIATAN** (hebr.) – ogromny potwór morski wspomniany w *Księdze Hioba*

**LILIT** – jedna z czterech (obok Namy, Machli i Agrat) królowych-matek demonów; żona Samaela

**LITWAK** – miano nadawane Żydom z Litwy i Białorusi ze względu na używany przez nich odrębny dialekt jidysz; litwacy uważani byli za przeciwników chasydyzmu i cadyków

**ŁAZIEBNA(Y)** – osoba pilnująca i utrzymująca w porządku mykwę; łaziebna sprawdza także koszerność oczyszczenia kobiet po okresie. Funkcję

łaziebnych w łaźniach męskich sprawowali również nie-Żydzi, ale łaźiebna ze względu na swoją funkcję musiała być Żydówką

**MACEWA** – płyta nagrobna

**MAJMONIDES MOJŻESZ** (rabi Mosze ben Majmon – Rambom) (1135-1204) – wybitny filozof żydowski, autor m.in. *Przewodnika zbłąkanych* (*More nebuchim*), dzieła filozoficzno-religijnego, które wywarło ogromny wpływ na rozwój filozofii żydowskiej

**MARSZELIK** – wesolek, błazen, zabawiający weselnych gości żartami i dowcipnymi rymowankami

**MAZŁ TOW** – dosł. dobry los; słowa wyrażające życzenia i gratulacje składane z okazji radosnego wydarzenia

**MEŁAMED** – nauczyciel w chederze

**MENORA** – siedmioramienny świecznik obrzędowy

**MEZUZA** – amulet, zwitek pergaminu zawierający cytaty z Tory znajdujący się w futerale z blachy lub drewna i przybity do framugi drzwi wejściowych pobożnych Żydów

**MINJAN** – zgromadzenie złożone z dziesięciu Żydów płci męskiej powyżej trzynastego roku życia, niezbędne do odprawienia publicznych modłów w synagodze i niektórych uroczystości religijnych

**MISNAGDIM** – ortodoksyjni Żydzi, przeciwnicy chasydów

**MISZNA** – część Talmudu zawierająca zebrane i zapisane przez rabina Judę w końcu II wieku główne przepisy prawa zwyczajowego ujęte w 63 traktaty

**MYCWE TANC** – taniec stanowiący część obrzędu weselnego, mający na celu uhonorowanie nowożeńców

**MYKWA** – łaźnia przeznaczona do kąpieli rytualnych

**PAROCHET** – kotara zasłaniająca Arkę Przymierza, w której przechowywane są zwoje Tory (rodały)

**PESACH** – święto wolności, upamiętniające wyjście Żydów z Egiptu; przypada na wiosnę

**PURYM** (Purim) – radosne święto upamiętniające ocalenie Żydów przed zagładą szykowaną im przez Hamana, biblijnego dostojnika perskiego

**RABIN** – religijny przełożony gminy żydowskiej, orzekający w sprawach sądowych i rytualnych oraz nadzorujący nauczanie

**REB** — tytuł grzecznościowy, podkreślający uczoność mężczyzny; może służyć także jako odpowiednik polskiego „pan”

**REBECIN** — kobieta ucząca dziewczęta modlitw i zasad wiary żydowskiej w ich własnych domach; także — żona rabina

**RIMONIM** — „owoce granatu”, srebrne ozdoby rozmaitych kształtów stanowiące zakończenie drążków, na które nawija się zwój Tory

**ROSZ HASZANA** — Nowy Rok, najważniejsze (wraz z Jom Kipur) święto żydowskie obchodzone jesienią; dzień w którym decydują się losy człowieka

**SEDER** — uroczysta uczta paschalna odbywająca się według ustalonego rytuału w pierwszy, a w diasporze także w drugi wieczór Pesach; odczytuje się podczas niej Hagadę, opowieść o wyjściu Żydów z Egiptu

**SEFARDYJCZYK** — Żyd, którego przodkowie wywodzą się z Półwyspu Iberyjskiego

**SOJFER** — kopista przepisujący Tory, mezuzy, kontrakty ślubne i akty rozwodowe

**SUKOT** — Święto Szałasów, znane także po polsku pod nazwą Kuczki, albo Święto Kuczek, upamiętniające stawianie szałasów w trakcie wędrówki Żydów przez pustynię. Także uroczystość zakończenia zbiorów

**SZABAT** (szabes) — cotygodniowe święto zaczynające się w piątek wieczorem, a kończące w sobotę

**SZAMES** (hebr.) — posługacz w bóżnicy, albo u rabina

**SZAWUOT** — święto przypadające w siedem tygodni po Pesach; zwane również świętem Nadania Prawa, bowiem zbiega się w czasie z rocznicą objawienia na górze Synaj

**SZOJCHET** — rzeźak rytualny

**SZOFAR** — róg barani, którego dźwięki rozlegają się w bóżnicach w czasie nabożeństwa w dniu Rosz Haszana oraz na zakończenie Jom Kipur; ma też obwieścić przyjście Mesjasza

**SZTRAJMŁ** — męska czapa albo kapelusz obramowane lisim albo innym futrem

**TALMUD** — dzieło religijne składające się z Miszny i Gemary, zawierające pobiblijny dorobek judaizmu. Został opracowany w dwu niezależnych redakcjach: jerozolimskiej (IV w.) i babilońskiej (VI w.)

**TALES** — białe okrycie (najczęściej w czarne lub niebieskie pasy) z frędzlami (cyces) używane do modlitwy przez żonatych mężczyzn

**MAŁY TALES** — mały szal lub kaftanik noszony przez Żydów stale pod ubraniem już od dzieciństwa w odróżnieniu od tałesu dużego, zakładanego na ubranie w czasie modlitwy wyłącznie przez mężczyzn żonatych

**TAMUZ** — dziesiąty miesiąc kalendarza żydowskiego przypadający zwykle w okresie czerwca/lipca

**TANAIM** — uczeni zajmujący się wyjaśnianiem i komentowaniem Tory, działający od ok. 20 do 200 r.n.e.

**TAS** — srebrna tarcza bogato zdobiona, różnego kształtu i wielkości, zawieszana na zwoju Tory ubranym w sukienkę

**TISZA BAW** — dosł. dziewiąty dzień miesiąca aw; w dniu tym obowiązuje ścisły post ze względu na pamięć o zburzeniu w roku 586 p.n.e. Świątyni Jerozolimskiej przez Nabuchodonozora

**TORA** — w znaczeniu węższym Pięcioksiąg, w szerszym nauka, wiedza. Oznacza także rodłały przechowywane w Arce Przymierza

**ZOHAR** hebr. — dosł. blask; podstawowe dzieło kabalistyczne napisane przez Mojżesza z Leonu w XIII w., będące mistycznym komentarzem do Pięcioksięgu

## Spis treści

Spinoza z ulicy Rynkowej.....	3
Czarne wesele.....	20
Opowieść o parze kłamców.....	28
Cień kołyski.....	47
Szida i Kuziba.....	69
Karykatura.....	75
Żebrak tak powiedział.....	84
Przywrócony życiu.....	94
Rada.....	104
W przytułku.....	112
Upadek Krzeszowa.....	124
Słowniczek.....	166